

Iwona Banach  
CHWAST

ZYSK I S-KA WYDAWNICTWO

© Copyright by Iwona Banach, 2005

Projekt okładki Agnieszka Herman

Fotografia na I stronie okładki Marek Leskier

Fotografia na IV stronie okładki Dagmara Banach

Redaktor

Paulina Jeske-Choińska

Redaktor techniczny Teodor Jeske-Choiński

1619 51

ISBN 83-7298-781-5

Zysk i S-ka Wydawnictwo

ul. Wielka 10, 61-774 Poznań

tel. (061) 853 27 51, 853 27 67, fax 852 63 26

Dział handlowy, tel./fax (061) 855 06 90

sklep@zysk.com.pl

www.zysk.com.pl

...Leczpróżno wzywałem litości, jak inni przede mną wzywali... Głos tylko mnie doszedł z ciemności, Co wołał: „Idź dalej, idź dalej!”.

Adam Asnyk, Idź dalej

## ROZDZIAŁ I

Więc już tu jestem. Jesteśmy. Tu, na końcu drogi. Tak strasznie szybko. Tak strasznie nieodwołalnie. Wiatr targa moje myśli, jakby chciał je wyrwać z korzeniami, szarpie włosy, wdziera się pod ubrania. Dookoła czysta jasność, taka, jaką można zobaczyć tylko w śniegu. Olśnienie. Wyzwolenie. Już się nie boję. Na dole zostawiłam wszystkie problemy, wszystkie tęsknoty i nadzieje. Za chwilę po prostu ich nie będzie. Po prostu pstryk i wszystko się skończy jak za dotknięciem czarodziejskiej różdżki. Nie będzie wiatru, drzew, miłości, choć jej i tak już chyba nie było albo może jeszcze nie było. Nie było jej dla mnie.

I nie będzie przyszłości. Nareszcie jej nie będzie. Żadnych „a jeżeli”, żadnych „a może”, żadnych „a gdyby”. Nic, czysta cisza i spokój duszy, nawet jeśli za cenę piekła. Tego prawdziwego piekła. Bo to tutejsze znam aż za dobrze i już się do niego zdążyłam przyzwyczać.

Nie będzie żadnych myśli. Żadnych łez, żadnych lęków. Odejdziemy zwyczajnie. Wcale nie z twarzą, wcale nie z honorem i wcale nie z tarczą. Bo tu nie chodzi o twarz, o honor czy o cokolwiek...

Będzie tam roztrzaskana jak plastikowa lalka w kałuży krwi. Bez kształtu. Bez twarzy.

Ale tu nie chodzi o twarz, tu chodzi o czas. O czas i miejsce. Ale najważniejszy jest czas.

I będę wolna.

Drzewa pode mną szemrzą konarami niezrozumiałe litanie. Góry, których zarys widać gdzieś tam, daleko, tną niebo brzytwą szczytów.

Niemi świadkowie życia i śmierci. Jak wygląda nasze ludzkie życie z ich nieludzkiej perspektywy?

Będę musiała ją zepchnąć. Będę musiała... Co zobaczę w jej oczach? Najpierw zdziwienie, że mama... Co ona robi, ta mama? I dlaczego tak szarpie? Dlaczego ma takie wielkie, przerażone oczy? I dlaczego pcha? Przecież nie wolno się wychylać! Ale ja będę musiała. Inaczej się nie da. Na chwilę zawiodę jej zaufanie. Przez chwilę będzie się bała. Innego wyboru nie ma. Nie mamy. Nawet nie wiemy, jak to jest mieć wybór.

Powinnam najpierw ją zepchnąć, potem zejść, zobaczyć, że na pewno nie żyje, potem wejść jeszcze raz i dopiero skoczyć. Powinnam się upewnić, że nikt nie będzie jej ratował, że nikt nie będzie w stanie jej uratować.

Naiwni! Naiwni ci, którzy sądzą, że dając życie, dają życie! Naiwni ci, którzy w imię zła, głupio pojętego obowiązku usiłują ratować życie, którego już i tak nie ma. Nie ma, nie było i nie będzie, nawet gdyby...

Nie ma gdyby. Przyszłość nie istnieje i cokolwiek mnie jeszcze trzyma na tę krótką chwilę tu, na tym dachu, to świadomość cierpienia. Jej, nie mojego.

Co poczuje, kiedy to zrobię? Jak bardzo mnie znienawidzi, nie rozumiejąc; jak bardzo będzie się bronić? Bo będzie się bronić, ale ja jej nie mogę wytłumaczyć. Nie umiem. Nie umiem i nie spróbuję.

Wiatr targa moim ciałem, jakby chciał sprawdzić, czy jestem gotowa na wszystko. — Mamo?

Nie! Tylko do mnie teraz nic nie mów. Chciałabym krzyknąć: tylko nie mów!

Mamo... Kupisz mi lody? Kupisz mi lody, kiedy już zjedziemy?

Fala gorąca zalewa mi serce. Lody?

I co mam jej powiedzieć? Że nie zjedziemy? Że nie będzie lodów, że nie będzie nic? Że przed nami... A potem pójdziemy...

— Nie ma potem — odpowiadam machinalnie.

— Jest potem. Potem, kiedy jest potem — mówi i przeczuwa, że dzieje się ze mną coś złego. Szarpie mnie za rękaw.

— Mamo...

Co mam jej powiedzieć? Co mam jej powiedzieć? Ze muszę ją zabić? Ze muszę?! Bo przecież muszę, nie mam innego wyjścia, świat zapętlił mi się na szyi i ciągnie w dół jak młyński kamień.

Muszę ją zabić!

Muszę ją zabić. Dudni w mojej głowie jedno jedyne zdanie, powtarzane bez końca, i nawet jeżeli jestem zła, to jestem dobra. Tylko to mogę dla niej zrobić i tylko ja mogę to zrobić. Nikt inny, nawet jeżeli nigdy więcej jej nie zobaczę tam, po śmierci; ale tam... Tam się nie liczy.

Pozostaje tylko jedno, podejść na brzeg i...

Powinam ją zepchnąć, potem zejść, zobaczyć, że na pewno nie żyje, potem wejść jeszcze raz i dopiero skoczyć. Powinam się upewnić, że nie żyje. Tak byłoby najlepiej, ale nie będę miała czasu.

Ktoś może mnie zobaczyć i odbierze mi drogę odwrotu.

— Patrzcie... Ona zabiła własne dziecko! Co za matka! Tfu! Więc nie zejdem, żeby sprawdzić. A co będzie, jeżeli przeżyje?

Więc nie będę do końca pewna, że zrobiłam to dobrze. Będę musiała zaufać temu dachowi, tym kilku piętrom i kamiennym chodnikom pod nimi.

Będę musiała zawierzyć im swój los'. I jej los. Bo ten, który dla niej wybrałam, jest najlepszy.

— Nie jesteś Bogiem!

— Nie, nie jestem... szkoda.

„Dzisiaj, w godzinach porannych, policja została powiadomiona o...”

Dzisiaj w godzinach porannych... A właściwie to już nie będzie dzisiaj. Ten dzień minie. To, co się stanie, nic nie zmieni. Nic i wszystko. Nie będę już cierpieć, choć moje cierpienie nie jest tu najważniejsze.

Dzisiaj, w godzinach porannych...”

W całej Polsce pudła telewizorów rozniosą wiadomość do obcych, nic dla mnie nieznaczących ludzi, którzy będą o tym mówić. Napawać się tym, sycić i tylko to będzie istniało na ustach wszystkich. Jakby nie było nic innego. Wszyscy będą szeptać podnieceni, po kątach, o tym, co stało się w godzinach porannych, roztrząsać, udawać, że rozumieją, taka straszna tragedia... A może taka piękna tragedia?

I dlaczego ona to zrobiła? Z niedowierzaniem będą cmokać i kręcić głowami. I co to za matka, będą się zastanawiać. Ja bym taką własnymi rękami... I wszyscy będą czekać na następne wiadomości, przyklejeni do ekranów, żeby nie przegapić, żeby nie uronić ani słowa...

Taka tragedia, taka tragedia... Wypadek autobusu? Tornado? Zamach terrorystyczny? To się już przejadło, owszem, to straszne, ale to nas nie dotyczy, chyba że to polski autobus, a, to wtedy...

To takie odległe i takie powszednie. A tu taka tragedia, wreszcie coś ciekawego!

A tu taka tragedia. I wszyscy będą się tym karmić, jakby mieli do tego prawo. Kto im je dał? Sami je sobie wezmą. Zanim stało się nieodwracalne, patrzyli, nie widząc, słuchali, nie słysząc, teraz będą sobie uzurpować prawo do sądenia.

Nagle pojawię się w codziennych rozmowach zupełnie mi obcych ludzi, ach, to ta, co to... I wszyscy będą mieli na ustach jedno pytanie: Jak ona mogła?! Jak ona mogła zrobić coś tak obrzydliwego, i nikt nie będzie pytał dlaczego, co sprawiło, że to

zrobiłam, jaki straszny, potworny los zmusił mnie do tego. Nie, tak naprawdę ich to nie interesuje, tak naprawdę jestem i będę im obojętna, bawi ich tylko ten dreszczyk przebiegający po plecach w sytych, spokojnych domach, dreszczyk dający namiastkę życia. Patrz, wreszcie coś się dzieje...

I to kiwanie głowami, i ta dezaprobata, i ten grymas na ustach między jednym kęsem a drugim. No i jak te kotlety?

— Nawet ci się udały, kochanie... A wiesz, słyszałaś o tej, co to...

— Słyszałam, straszna tragedia... może buraczków?

Nie. Nie podniecam się złudną karierą w telewizyjnych wiadomościach. Nie jestem Herostratesem.

I wiem, że nawet w sercach tych, którzy wiedzą, nie wzbudzę litości ani wyrzutów sumienia.

Robię to dla niej.

— Tak! Tak! Dla niej! Cokolwiek byście mówili! Dla niej! Muszę ją tylko zabić, i choć to nie jest proste, zrobię to. To

jest jedyna rzecz, którą jeszcze mogę dla niej uczynić. Jeszcze, bo za chwilę nawet tego nie będę w stanie zrobić.

Jest jednak coś, co mnie trzyma. Jest coś, co oddziela od tej ostatecznej krawędzi, za którą tylko Ikarowy los.

Pamiętam. Za bardzo pamiętam...

Gdybym umiała nie pamiętać! Ale pamiętam...

\*

Pociąg dojeżdżał do Krakowa. Panika gęstniała we mnie już od kilku godzin, jak zawsze. Skumulowała się, pchając mnie w kierunku drzwi o dobre pół godziny za wcześnie.

Pytania kłębiły mi się w głowie. Pytania o przyszłość. Ile lat ich sobie nie zadawałam? Jak to będzie? Jak ja sobie poradzę? Doświadczenie podpowiadało mi, że zawsze sobie jakoś radzę... Tak, lepiej, gorzej, ale dam sobie radę. A jednak nie umiałam opanować tego uczucia, które pchało mnie w kierunku drzwi pędzącego jeszcze pociągu.

— Zapnij kurteczkę — powiedziałam nerwowo. — Rękawiczki masz w kieszeni. Nie, nie w prawej, w lewej! To nie jest lewa. Pokaż, gdzie masz serduszko. Dobrze. To w lewej. Nie, kochanie, to nie jest lewa.

Nie, kochanie...

Nie, kochanie... Cierpliwość. Trzeba być cierpliwym ponad miarę i nade wszystko, bo jeden niecierpliwy gest, jedno słowo m dużo, za głośno, za szybko zniszczyłoby delikatną nić porozumienia pomiędzy nią a mną i nic nie można by już było zrobić, aby być choć trochę razem.

Jak zwykle sama w końcu wyciągnęłam rękawiczki i włożyłam na jej rozgrzane ręce. Żeby tylko się nie zaziębiła, pomyślałam, poprawiając jej szalik. Nie teraz! Tylko nie teraz — powtarzałam w głowie jak litanie, choć wiedziałam, że to nic nie da. Nic nie pomoże, nic nie zaradzi. Że nawet nie ma znaczenia. Nie ma już znaczenia. Choć może byłoby łatwiej, gdyby miało.

Chciałam, żeby wzięła swój plecak. Chciałam, żeby mi pomogła, ale usłyszałam tylko:

— Nie.

Krótką odpowiedź ucięła wszelką dyskusję i cokolwiek bym zrobiła, ona i tak postawiłaby na swoim. Dlaczego? Bo nie... Taka była jej odpowiedź: krótka, twarda i bezsensownie nieodwołalna.

— Nie.

W jedną rękę wzięłam torbę podróżną wypchaną do granic wytrzymałości. Żeby ją dopiąć, musiałam się na niej położyć, i dysząc, długo się potem uspokajałam... Tak długo. Kilka par spodnijków swetry. Miś, bez którego mała nie zaśnie... Wszystkie te potrzebne, niepotrzebne rzeczy, które ciążą jak wielki kamień. Którego nie mogłam nawet utrzymać w ręku.

Można by bez tego... Bez spodni, swetra, misia... Nie, bez misia nie można. Bez misia świat by się skończył.

Tak jak kiedyś już się skończył. Skończył się, nastąpiła najczarniejsza noc i trzeba było ukradkiem iść do śmietnika i wyciągnąć go spodniek i fusów od kawy. Przetrzeć bure futerko, rzyszyć guzik zamiast nosa. Bo on jest jednym z tych misiów, które muszą trwać, nawet bez oka, bez ucha, bez wnętrzości, ale muszą.

Bo misie, te ukochane, mają wielką dziejową misję do spełnienia. Mają porządkować świat. Nawet kiedy źle, kiedy smutno, kiedy boli albo kiedy wszystko się wali, one muszą stać na straży, opoki stoją, można spać.

Ale dorośli nie rozumieją mowy misiów.

— Wyrzuć to paskudztwo — powie ktoś i wyrzuci do śmietnika strażnika wszechświata. Jedyne, który rozumie.

— Wyrzuć to paskudztwo.

I można kupić sto tysięcy misiów, a żaden nie uratuje walącego się na głowę świata. Byłam obciążona do granic wytrzymałości, ale jak się zaczyna życie od nowa... W lewym ręku trzymałam reklamówkę zjedzeniem i kilkoma podręcznymi drobiazgami. Plecak i jej ciepłą rączkę. Bez tej rączki nowe życie nie miałyby sensu. W prawym ręku miałam jeszcze jedną torbę podróżną, którą kupiłam kilka dni wcześniej. Starannie ją wybierałam, głaskałam chropowatą, a jednak gładką powierzchnię. Wdychałam zapach świeżej tkaniny. Zapach nowości, zapach przygody. On tam był w niej jako dodatek, jako prezent, i wystarczyło włożyć głowę do torby i pochłaniać ten zapach...

Potem zniknął. W torbie upchane były jak gniotły się ubrania. Była ciężka do granic moich możliwości. Wpijała mi się skórzanymi paskami w blade z wysiłku ręce i żłobiła w nich czerwone ślady, które jeszcze długo paliły ciężkim ogniem. Czy warto?

Czy warto? Zadawałam sobie po raz kolejny pytanie, które kiedyś, w końcu trzeba sobie zadać, w stosunku do torby, wysiłku, życia, w stosunku do tego, co się stało albo może się stać. I wszystko to, nowe życie, pędzący pociąg, smak i zapach tej nie-przygody, wszystko to dawało nadzieję tam, gdzie już jej nie było od dawna. Przecież straciłam ją wieki temu. Jej resztkami usiłowałam nakarmić głodną duszę. Ze jutro, że kiedyś, że w końcu, że bajka na dobranoc, bo można mieć nadzieję nawet na bajkę. To pomaga. Ta wielka nadzieja, wielka jak cały świat, że jutro, że potem, że

w końcu, nie istniała nigdy, albo nawet gdy istniała, to była chwila, potem trzeba było zadowolić się codzienną nadzieją na to, że obiad się uda, że pogoda, że zaśnie, że będzie lepiej, bo musi! Musi, przecież nie ma innego wyjścia! Musi!

Ta nadzieja też karmi.

Ale pewnego dnia powiedziano mi, że owszem. Mogę tak żyć, jeszcze jakiś czas.

Jakiś czas to niedużo.

Więc musiałam dostosować nadzieję do tego jakiegoś czasu, poza którym nie będzie już nic.

\*

Na dworcu w Krakowie przesiadka. Żeby dostać się do drugiego pociągu, trzeba było przebiec przez cały peron, potem w dół po schodach i znów w górę. Miałam zaledwie kilka minut. Dałam radę. Ikar... Pożyczyłam od niego skrzydła.

Dałam radę, jeszcze dałam. Może gdyby to było potem... ale wtedy tak. Serce waliło w takt stukotu pociągu. Za chwilę... Za chwilę, za chwilę... Czego się bałam? Czego się bałam w tym jednym konkretnym miejscu, w tej jednej sytuacji i chwili? Gdybym zwerbalizowała ten strach, pewnie by odszedł, bo nie było się czego bać...

A może po prostu bałam się życia?

A może to był tylko strach? Uczucie, które znałam najlepiej? Był — wierny, ciepły, rozedrgany. Z nim czułam się właściwie dobrze.

Nic się nie stanie, pociąg się nie wykolei, a ja nie będę leżeć pod kołami, a ona tam, a tu tyle krwi...

\*

Ale to się stanie. I skoczmy razem. I będzie tyle krwi. I roz-pryśnie się na milion kawałków i czas, i czaszka, i los. I tylko plama zostanie. Nie na długo.

Starannie wszystko obmyślałam. Bo to trzeba przemyśleć starannie. I brałam pod uwagę wszystko. Nóż za ostry. Pociąg? Z tego można wyjść. Bez rąk, bez nóg, bez chęci i środków do życia, ale można wyjść, a ja wcale nie chciałam z niczego wychodzić.

Woda?

A jeżeli jakiś nadgorliwiec rzuci się i utonie? Albo ją ura-tuje?

Bo tu chodzi właśnie o nią. Ja mogłabym poczekać, ale kto by to za mnie zrobił?

Więc trzeba razem. Trucizna...

\*

Nie wypadnę z pociągu, nikt na nas nie napadnie, przy wy-siadaniu nic mi się nie stanie. Nie złamię nogi.. Idiotka!

\*

Pamiętam jeszcze ten tłum na korytarzu tamtego pierwszego pociągu. Jakaś kobieta wepchnęła się między mnie a małą. Bezcelnie, spocona, szarobura i brudna, wepchnęła się, jakby to było jej miejsce, jej bagaż, jej dziecko... Oddzieliła nas od siebie i miałam ochotę krzyczeć.

Nie odważyłam się. Krzyk nigdy nie był moją mocną stroną.

— Przepraszam panią, ale ja muszę... — nie dała mi dojść do głosu.

— Co pani musi!? No co? A może ja nie muszę? Jak się tak bardzo musi, to trzeba sobie kupić samochód.

— Ale moja córka...

Kobieta zrobiła dziwny grymas, leniwie oparła się o okno. Nie było odwołania, nie przepuściła mnie. Rozdarta pomiędzy pewnością, że coś się stanie, a tą cokołowatą kobietą, od której nie było odwołania, patrzyłam przed siebie.

Moje dziecko stało z przodu wagonu, patrząc na widok za oknem.

Co ja miałam zrobić?!

— Mała, chodź! — zawołam w końcu, mając nadzieję, że posłucha. Odwróciła się. Udało mi się ją złapać za kaptur i wciągnęłam ją do przedziału, do którego udało mi się wejść ku niezadowoleni pasażerów.

No gdzie?! — krzyczał starszy mężczyzna. — Gdzie z tymi tobołami?!

— Przepraszam...

Przepraszam... Wydaje się, że to słowo może wszystko, ale ono czasami, wobec niektórych ludzi, nie może nic. Przepraszam... Przepraszam... Wystarczyło spojrzeć na tę moją przepraszającą minę i na to moje przepraszam, i każdy już wiedział, że można bezkarnie robić mi krzywdę. Jakąkolwiek.

— Bo ty jesteś po prostu ofiarą!!! Ofiarą losu!

Można było powiedzieć mi wszystko. I można było zemścić się na mnie za kogoś innego, silniejszego, odważniejszego, kochanego albo znienawidzonego, za kogoś, komu nie można było tego zrobić... Bo za silny, za mądry, za ukochany...Jemu czyjej nie można było, a mnie tak. Mnie można, ja się sama o to proszę.

Osiem par oczu wpatrywało się we mnie z wyrazem niechęci.

Przeprosiny nic nie dały, patrzyli na mnie takim wzrokiem, jakbym była trędowata.

Ze wstrętem odsuwali się od małej.

Wstręt i zaniepokojenie. Te dwa odległe, a tak bliskie uczucia malowały się na ich twarzach. To tak, jakby oglądali zatopionego w formalinie tasiemca uzbrojonego. On nie żyje, nie może im nic zrobić, jest obrzydliwy, taki blady, śliski i... taki obrzydliwie ciekawy.

Pociąg tańczył na torach, jakby dostał czkawki. Myśli z piskiem hamowały na dworcu raz po raz i wciąż od nowa. Jak to będzie?

Obładowana bagażami z trudem pokonałam pustoszejący korytarz, popychając przodem małą. Udało mi się wyrzucić na peron bagaże i w końcu wyciągnęłam małą z pociągu.

Szybkie spojrzenie w obie strony. Wrażenie kołyszącej się pustki. Jak zawsze, kiedy wysiadam z pociągu, kiedy coś się zaczyna, a w moim ciele dudni jeszcze bieg pociągu. Rzuciłam się do niezgrabnego biegu, ciągnąc dziecko za sobą w kierunku schodów. Powietrze wdzierало się w moje płuca z trudem i świstem. Schody w dół, potem w górę. Ile ich było? Całe mnóstwo. Dworcowy Mount Everest.

— Może pani pomóc? — zapytał mężczyzna z wielkim psem, który wspinał się obok mnie.

— Nie, dziękuję! — odpowiedziałam, bojąc się, że ukradnie mi torbę. Bo po co



ktoś miałby mi pomagać? Tak zwyczajnie? Bezinteresownie? Niemożliwe!  
W bezinteresowność przestałam wierzyć już tak dawno. Więc złodziej? Bzdura.  
Nic wielkiego tam nie było, a jednak się bałam. Bo co? Bo strach był zawsze moim  
sprzymierzeńcem. Oswoiłam go. Pomagał, jak mógł. To dlatego. Po prostu jestem  
przyzwyczajona radzić sobie sama. Zawsze i prawie od zawsze.

Mała z trudem wchodziła po schodach.

— Miś — powiedziała, pokazując coś przed sobą.

— Mam twojego misia, córeczko — odpowiedziałam resztką sił. W moich  
płucach ktoś rozpałił płomień. Powietrze raniło je z każdym kolejnym oddechem.

— Nie, miś. Miś — powiedziała, ale pociągnęłam ją za sobą jeszcze mocniej.

— Nie, miś. Miś! — powiedziała twardo jeszcze raz, tak jak tylko ona umiała. —  
Miś.

— Nie mam siły, dziecko — odpowiedziałam, prawie wypelzając na peron.

Najpierw głowa, potem bagaże, potem ja, na ugiętych nogach. Na ostatnim oddechu.  
Pociąg. Jest tam, stoi, jakby na mnie czekał. Zwykły. Bez przedziałów. Jakie to  
szczęście, nie będę musiała jej wkładać tak wysoko. Podłoga wagonu jest prawie na  
równi z peronem, a wagon? Prawie pusty!

Lubię puste wagony. Puste przedziały, puste ulice. Lubię, kiedy dookoła mnie nie  
kłębi się życie.

\*

Trucizna to zły pomysł.

No i jeszcze te wspomnienia. To coś, co mnie tu trzyma. A przecież to wszystko nie  
było nawet przyjemne. Było. Było inne. Było moje. Było ostatnie. Tyle że mogło nie  
być.

Dopiero po jakimś czasie się dowiedziałam, że są szanse, niewielkie, ale są. To nawet  
nie pięćdziesiąt procent. To nawet nie trzydzieści, ale musisz spróbować. Masz dla  
kogo.

A jeżeli się nie uda? — chciałam zapytać. Jeżeli się nie uda, zrobisz to za mnie? Nie  
zapytałam, bo to by zniweczyło cały mój plan.

Bo on by tego nie zrobił.

Nikt by tego nie zrobił. Tylko matka. Nieważne, że życie wieczne, że piekło, że  
potępienie, nieważne, że anatema, że przekleństwo...

Matka może to zrobić. Może, a czasami musi.

Bo to nie jest złe. Ludzie! Obudźcie się! Chciałabym krzyczeć. Śmierć nie jest zła!  
Śmierć jest wyjściem!

Co lepsze? Życie w upodleniu? W nienawiści? W samotności?

Co lepsze, nienawiść?

Bo ludzi nie interesuje życie, tylko śmierć. Możesz zdychać z głodu i nie wzbudzisz  
litości. Twoje dzieci mogą jeść trawę zamiast chleba, ale oni i tak znajdą wymówkę,  
że niezaradna, że taki los, że biedna kobieta... Że świat teraz taki okrutny...

A wystarczy zabić i już... Taka tragedia... Taka tragedia i nagle wszyscy na chwilę  
budzą się z bezdusznego snu i są tacy dobrzy. Przed kamerami wzdychają prawie  
całkiem szczerze i nie trzeba obierać cebuli, żeby łzy...

Wystarczy zabić.

## ROZDZIAŁ II

Miejsce tuż przy oknie. Niewielki luksus, za który się nie płaci, a jednak luksus. W świecie, gdzie nie ma nic, nawet tak niewielki luksus dodaje odwagi, blasku, ciepła. Z jednej strony okna mała, z drugiej ja. Oddech. Coraz gorzej mi się oddycha. To miało nadejść. Upredzono mnie o tym, ale myślałam, że jeszcze nie teraz.

Brudne, prawie całkiem zamazane okna wpuszczały do środka trochę szarego światła. Pochmurny poranek pachniał podróżą. Jest dopiero dziesiąta. Za dwie, trzy minuty rozpocznie się moja kolejna podróż.

Fakt, ona się już rozpoczęła, ale dotąd to jeszcze nie było to. Od tej chwili będzie tylko radość.

— Miś — mówi mała. — Miś.

Podalam jej wyjętego z torby burego misia, którego nigdy nie dała uprać. Nawet wtedy, kiedy potajemnie wyjęłam go ze śmietnika, na który został skazany wyrokiem jednoosobowego, najwyższego sądu rodzinnego, bez prawa do ułaskawienia.

— Nie — powiedziała po raz kolejny, wykrzywiając buzię. — Miś!

Dopiero wtedy zauważyłam leżącego w przejściu obok któregoś siedzenia wielkiego, dostojnego owczarka. Bo owczarki, jak mało które psy, potrafią być dostojne. W ich oczach widać pobłażanie. Pobłażanie dla całego rodzaju ludzkiego, a pysk, pysk patrzy na nas z rozbawieniem, jakby chciał powiedzieć: dziwne stworzenia ci ludzie...  
Dziwne stworzenia...

— ■ Nie, córeczko. To pies.

— Nie, Miś — mówi zdecydowanie, z determinacją, która czasami mnie u niej śmieszy. Zdecydowała, że to coś, to wielkie, kudłate, pewnie niebezpieczne psisko to Miś. Ale ona nie była nawet w zoo.

\*

i Bo do zoo nie wpuszczają zwierząt! O! Więc nawet nie)ś o pieniądze, bo i tak ci ich nie dam. Do zoo? Też coś... Bóg stworzył mojego męża, ale zapomniał dać mu serce.

\*

Pies miał przenikliwie złote oczy i przez małą chwilę widziałam w nich dezaprobatę, ale co on może wiedzieć, ten pies? Co on może rozumieć?

Pociąg ruszył, poczułam podniecenie. Przez chwilę nawet robiłam plany. Owszem, przez chwilę i na chwilę, ale robienie planów nigdy nie było moją mocną stroną. Bezszelестny ruch. Delikatnie uciekają wagony stojącego na drugim torze pociągu. Jeden, drugi, nagle zgrzyt. Ostatni. A peron jak stał, tak stoi, a powinien...  
No tak. To tylko złudzenie. To nie nasz pociąg ruszył. To tamten, a przez chwilę czułam, że...

Złudzenia. Złudzenia jakiegokolwiek, czegokolwiek są niespra-wiedliwe.

Znowu ogarnęło mnie zniechęcenie. Jedno z tych, które po-jawiają się delikatnym ciepłem w żołądku, a kończą falą gorąca w duszy. Zakopane. Jedziemy do

Zakopanego.

Po co? Dlaczego?

Dlaczego tam? (

Pojedziemy i będzie pięknie. Nawet jeśli krótko, to pięknie.

Czy mała to rozumie? Czy cokolwiek z tego wszystkiego zrozumie? To całe zamieszanie? Ten przewrót? To całe nagłe »nie! ...To całe nagłe „nie wytrzymam!“ i ten prywatny Neapol zagubionych. Zakopane. Nie rozumie, nie zrozumie, nie będzie miała na to czasu. Kiedy już tam będzie. Poczujecie... Jak zobaczy góry. Nigdy czegoś takiego nie widziała. I zobaczy tyle innych ^eczy. Ja też je zobaczę. Obie po raz pierwszy. Dlaczego akurat Zakopane? Rodzinny mit.

Rodzinna mitologia, opowieści ojca, które wrosły we mnie, nie pytając o pozwolenie, i od urodzenia wiem, że jeżeli... to tylko Zakopane. Nie dlatego, że modne, nie dlatego, że góry, nie dla cegokolwiek, tylko dlatego, że ojciec... I nie zamieniłabym tego nawet na Paryż... Tyle że na Paryż nie byłoby mnie stać, a Zakopane jest bliżej. Nie byłam tam, a jakoś tak, gdzieś w środku głowy czułam, że to jest właśnie mój Neapol, Paryż, Wenecja.

Choć to tylko Zakopane. Tylko i aż. Czy inne miasto mogłoby być tym czymś? Za oknami uciekały łąki, spiczaste domki, coraz bardziej strome pagórki. Pociąg jak zaczarowany, jakby chciał nas zawieźć z po-wrotem tam, skąd wyjechałyśmy, zmieniał raz po raz kierunek. Tańczył na torach jak niezdecydowana baletnica. Szare światło kładło cienie na szarej buzi córki. Jej oczy mówiły mi, że coś jest nie tak. Usta zaczęły delikatnie drgać.

— Co się stało, córeczko? — przeciągnęłam dłonią po jej szarych włosach i bladym policzku. Zmęczenie podkrawało jej oczy.

Nagle zgasła jak płomyk, aby po chwili zanieść się dzikim szlochom. Nie potrafiłam się przedrzeć przez tarczę jej łez, choć to nie była tarcza obronna.

— Co się stało, kochanie? — zapytałam jeszcze raz, bezradna w obliczu tragedii, bezradna i bezsilna. Na każdą jednak dziecięcą tragedię trzeba było znaleźć lekarstwo.

— Nie zawiezie do domu! — krzyczała, aż ludzie zaczęli się nam przyglądać. — Nie zawiezie...!

Taniec pociągu zachwiało jej poczucie rzeczywistości i po prostu ją przestraszył. W tę dobrze, w tamtą źle. Myślała, że pociąg chce nas zawieźć z powrotem do domu.

Niegrzeczny pociąg.

— Nie zawiezie do domu? — powtarzała przestraszona. — Nie zawiezie?

— Nie zawiezie! — odpowiedziałam pewnie, nawet twardo. Nigdy żaden pociąg nie zawiezie nas do domu. Obiecałam to sobie i jej, ale ona jeszcze o tym nie wiedziała.

Nie zrozumiałaby i nie musiała rozumieć. Wystarczyło, że ja wiedziałam i rozumiałam.

\*

To właśnie tamta kobieta, która osłaniała rękoma twarz przed wszystkożernym tłumem reporterów, sprawiła, że zaczęłam o tym myśleć. Albo nie tyle zaczęłam, ile wyjęłam te myśli z zakamarków duszy, w których je przechowywałam prawie od

zawsze.

To była zwykła, szara, bezkształtna, bezbarwna kobieta. Chyba nawet nie była alkoholiczką.

Nawet chyba nie była wykształcona. Nie miała nic. Ledwie dwie, trzy, cztery klasy szkoły podstawowej, a umiała to zrobić.

Fakt, nie jest to wielki wysiłek intelektualny, wziąć dziecko jak pakunek i wrzucić do wody.

Tamta kobieta, która osłaniała rękoma twarz, która nie chciała rozgłosu, której bezzębne usta mówiły tylko:

— Tak. Przyznaję się do winy.

To ona zabiła czwórkę swoich dzieci i od razu została rzucona na pastwę mas. Co pół godziny w radiu, co godzina w telewizji i bez napięcia, i pod napięciem, i ktokolwiek widział, ktokolwiek wie...

I prasa w wieloszpaltowych artykułach opisywała ze szczegółami, jak brała je, jedno po drugim, jak rzucała, jak skoczyła i jak jakiś idiota wyciągnął ją z wody, tylko po to, żeby...

Jej zbrodnia na małą chwilę poruszyła sumienia. Syte sumienia znad kotletów i znad parujących zup. Na chwilę.

Nie umiała poruszyć ich sumienia wtedy, kiedy przydałby się kotlet... Nie, o kotlecie nawet nie marzyła, ale talerz zupy... Cała czwórka wtedy by się najadła.

Ale wtedy nikt jakoś nie miał sumienia, a teraz... Nagle? Wszyscy? Marnotrawstwo, w końcu one już i tak nie żyją, to po co im czyjeś syte sumienie? Po to, żeby pastwić się nad jedyną kobietą, która nie chciała widzieć, jak powoli umierają? Nad jedyną, która wzięła odpowiedzialność?

„Dzisiaj, w godzinach porannych, policja została powiadomiona o...”

\*

Czasami chciałabym, żeby zrozumiała. Żeby powiedziała tak, nie, nie wiem, ze świadomością, że tak, że nie, że nie wiem, ale ona nie zrozumie i to musi mi wystarczyć, to muszę zaakceptować, muszę zrozumieć. Bo ja muszę rozumieć wszystko.

I nie ma: tak, nie, nie wiem, i nie będzie, choć bardzo mi brak...

Pokażę jej... ludzi. Całe mnóstwo ludzi. Będziemy razem chodzić po ulicach, jeść pizzę, hamburgery... napijemy się soku w kawiarni na Krupówkach. Pokażę jej owieczkę. Pewnie jakaś tam będzie, mimo że zimno. Takie codzienne szczęście. Szczęście, które inni mają na co dzień. Szczęście, którego dla nas zabrakło.

Bo ludzie nie wiedzą, że są szczęśliwi, dopiero kiedy szlachetne zdrowie... wtedy zaczynają wiedzieć. Ale za późno. Odeszło.

A to takie proste. Dzbanek z chabrami. Owoc w dłoni dziecka. Wieczorne zmęczenie bez nienawiści i bez znużenia. To takie proste, ale dla nas go nie było.

— A potem pojedziemy taksówką — uśmiechając się, odgoniłam złe myśli — prawdziwą taksówką.

— Iuuuu, iuuuu, iuuuu.

— Nie, córciu, to było pogotowie. Taksówka to co innego.

— Nie iuuu?  
— Nie, córeczko. Brum, brum.  
— Samochodzik!  
— Samochodzik! Pojedziemy samochodzikiem. Tylko chwilkę. Potem pójdziemy... Niedaleko. Tupu tupu. Pani albo pan — poprawiam się, nie chcąc jej okłamywać, ale nie jest specjalnie zadowolona.  
— Nie pan, pani! — decyduje, jakby decyzja kiedykolwiek mogła należeć właśnie do niej.  
— Niech będzie. Pani. Pani da nam klucz i pokaże nam pokoik.  
— A jeść?  
— Nie martw się, kochanie. Będziemy jeść. Zaraz potem. Same dobre rzeczy!  
— Frytki!  
— A może oscypek?  
— Nie. Nie chcę szczypać — mówi i robi dziwną minę. To wszystko dla nas? Naprawdę? Zakopane, góry, pokoik? Tyle szczęścia! Tyle szczęścia w jednym małym dziecku.

\*

Trucizna to nie jest dobre wyjście. Bo jaka? Skąd ją wziąć? Lekarstwa? Nawet jeżeli, to mogą nie zadziałać. Jakieś płukanie żołądka, jakieś medyczne czary-mary i któraś z nas zostanie tu na zawsze. Sama. Nie. Trucizna nie jest dobrym wyjściem.

\*

Pamiętam, choć wolałabym zapomnieć.

— No, ona nie jest wcale taka mała! — głos teściowej jest jak nóż, który ucina wszystko. — Jest duża. Koniec. Kropka.

Mała. Duża. Co to właściwie ma za znaczenie? Właściwie ma, bo jeżeli jest mała, to nie może, a jeśli duża, to może.

— Umyj naczynia — teściowa rzuca i patrzy bez litości, jak z rąk dziecka wypada talerz, który rozpryskuje się po raz kolejny na podłodze.

— Ty ścierwo! Ty zasrane, zaszczane ścierwo. Won z mojej kuchni! Won, ale jeść za karę nie dostaniesz! Słyszysz? I ty też nie dostaniesz! Nie zasłużyłaś!

Głodne pomruki żołądka gaszę wodą z kranu.

Niedobre — mówi mała. — Daj jeść. Nie zasłużyła.

Czy na jedzenie trzeba zasługiwać? Nawet kiedy jest się głodnym? Nawet kiedy jest się dzieckiem? Nawet głodnym dzieckiem?

Tamta kobieta oznaczona już tylko literą, Anna B., Zofia K., Maria Alfabet, do końca życia dostanie trzy posiłki dziennie. W więzieniu, ale trzy posiłki dziennie. Dlaczego nie dano jej tego wcześniej, żeby mogła podzielić się ze swoimi dziećmi?

Zabiła i już nigdy nie będzie głodna.

Tylko że nie ma z kim podzielić się tym dobrem.

Za oknami nic jeszcze nie zapowiadało strzelistych tatrzańskich szczytów, ale to już nie był ten płaski krajobraz z naszych stron. Jak na mnie, która pierwszy raz jechała

w tym kierunku, to już właściwie góry. Bo to było nawet wysokie. Może jeszcze takie trochę gładkie, ale już już.

— Podoba ci się? — zapytałam, wskazując widok za oknem.

— Nie — odpowiedziała z właściwą jej szczerością. — Za bardzo... — przez chwilę szukała słów, znalazła jedno, które chyba odpowiadało temu, co miała na myśli — są za bardzo trawiaste.

I nie bardzo wiedziałam, co jest za bardzo trawiaste. Chyba góry. Trawiaste. Piękne zielone słowo.

Przed wyjazdem pokazywałam jej zdjęcia Tatr. Były zdecydowanie mniej trawiaste.

— Daleko?

— Nie wiem, córeczko. Chyba daleko. Jeszcze dwie godziny.

Zaspokoiliam jej ciekawość i wróciła do środka siebie, gdzie nudziła się o wiele mniej.

Tak. Jeszcze dwie godziny, jeszcze godzina. Nigdy tak bardzo jak wtedy nie zastanawiałam się nad upływem czasu. Choć nie... Zawsze mnie fascynował, i to nie w tym dobrym sensie.

Czasem płynął zbyt szybko, czasem po prostu nie płynął. Zatrzymywał się niby na chwilę i zapominał. Zapominał o całym świecie, o mnie, o sobie, o wszystkich, i choćby nie wiem, co się działo, albo bardziej przez to, co się działo, on stał i trzeba było czekać i czekać, a sekundy jak zaklęte spacerowały po cyferblacie, tik-tak, tik-tak, jakby wcale nie chciały upływać.

\*

Czas nie jest sprzymierzeńcem głodnych. Ta kobieta chciała go pokonać. Ty mnie tak, to ja ciebie tak. Fakt, zabiła. Fakt, własne dzieci. Fakt, każde po kolei bez jęku, bez sensu, bez słowa. Fakt, była ich czwórka. Marcinek miał zaledwie dwa latka, ale i tak całe życie spędziłby na wózku. Bliźniaki? Bóg jeden wie, po co właściwie je urodziła. Trzeba było wyskrobać, po co się miały męczyć? A najstarsza Hania? Ze miała pięć lat? A co miała zrobić? Przecież już od miesiący jedli tylko to, co wyprosiła w sklepie na zeszyt. Ale zeszyt się skończył.

Kasza manna na wodzie? Dobre i to. Chleb z cebulą? O ile był chleb. I te ciągłe pytania Hani. Mamo, a jak smakuje pizza? Mamo, a hamburger, ten, co go widziałam w reklamie, to on dobry? Jak myślisz? Mamo, a jak będziemy mieli pieniądze, to mi kupisz jogurt, taki z nalepkami...

Mamo, a jak będziemy mieli pieniądze...

Ona wiedziała, że nie będą nigdy ich mieli, więc po prostu je zabiła. Wcale nie za... Za cokolwiek, ale aby... Aby już nigdy nie były głodne, nie chodziły w dziurawych butach, aby nie płakały, nie krzyczały i aby... aby dały jej wreszcie święty spokój.

\*

Jedna stacja, druga stacja, kolejna, co chwila słychać było przeciągle westchnienie otwierających się przed podróżnymi drzwi to na takiej, to na innej stacji, stacyjce, gdzie prawie nikt nie czekał i prawie nikt nie wysiadał. Prawie, bo w pociągu robiło się coraz luźniej. Niby przyspieszony, a powolny, niby zwyczajny, a tyle w nim zapowiedzi przyszłych dni. Jak nigdy dotąd.

Dziwne nazwy przemykały po peronach, niezauważalne. Znane mi chyba ze słyszenia, z historii, z książek. Nie byłam tu nigdy... i nie będę. Przepłynę tylko wraz z czasem w pędzącym pociągu.

Mała niespokojnie patrzyła to tu, to tam, jakby szukała czegoś konkretnego, co było zakryte dla moich oczu.

— Mokotywa jest zepsuta? — zapytała nagle, a ja na chwilę, wyrwana z własnych, błądzących po wszechświecie myśli, musiałam natychmiast zorientować się, o czym mówiła. Tak było zawsze.

— O, dwie żyrafy!

W łazience nigdy nie trzymałam żyraf, a więc to były żelazka. Bo tylko one były dwa.

— Zepsuta? Dlaczego? — zapytałam, aby zyskać na czasie

— przecież jedziemy?

Przez chwilę myślałam, że coś się stało, nie zauważyłam, że pociąg stanął w polu i stoi. Ale nie. To nie to. Jechałyśmy. Więc dlaczego zepsuta?

— Nie robi puf! — mała wydeła usta, naśladując buchającą parę — puf, puf, czytałaś mi, że mokotywa robi puf.

— Tamta była inna — dotarło wreszcie do mnie, o jakiej lokomotywie mówiła.

— Tamta była stara, a ta jest...

— Nowa?

— Nie. Nie nowa, a nowoczesna.

Ona już nie zobaczy prawdziwej lokomotywy, jakie ja widywałam, kiedy byłam dzieckiem. Prawdziwej. Takiej jak ta w wierszu. Ja takie widziałam. Zawsze lubiłam chować się w dymie i parze buchającej z jej wnętrza wszystkimi — jak mi się wydawało

— otworami i przez chwilę czuć się jak w chmurach.

Para otulała mnie, pachnąca dymem i sama nie wiem jeszcze czym i sprawiała, że przez chwilę nie istniałam, na tę chwilę przestawał też istnieć dworzec, peron, ludzie... To było przyjemne uczucie. Teraz już nie ma tak przyjemnych uczuć ani tak pięknych lokomotyw. Pozamykano je na bocznych torach muzeów kolejnictwa, na bocznicach czasu, gdzie czekają samotnie, aż ktoś do nich zajrzy.

Nasz pociąg podrygiwał, wzdychał i drżał, jakby miał się rozsypać, a jednak jechał. Bezosobowo brudny, bezosobowo śmierdzący i bezosobowo bezosobowy. Stan przejściowy pomiędzy życiem a Zakopanem. Stan przejściowy pomiędzy Krakowem a...

Ludzie wpatrzeni bezmyślnie to w okna, to w sufity kołysali się w takt melodii pociągu, jakby chcieli zaśpiewać razem z nim czkawkę o podróży, której nikt jeszcze nie napisał.

Szara kobieta w futrze z norek i blady mężczyzna w nieokreślonym wieku. Chyba z daleka, bo na ich twarzach widać było to nieuchwytnie, a jednak obecne zmęczenie, znużenie siedzeniem w jednym miejscu, znużenie patrzeniem na te same twarze, na te same ławki. Na uciekające za oknami domy i drzewa.

Ospały tłumek zaczynał nagle powoli ożywać, jakby ktoś obudził go z zaczarowanej drzemki. Jakby ktoś wielkim kijem wetkniętym w to ludzkie mrowisko dźgał po kolei

każdego z nas. Rusz się. No!

Poczułam, że dojeżdżamy. Jedni zdejmowali z pól plecak, inni wkładali płaszcze przeciwdeszczowe. Kurtki. Czapki.

Z oddali niespodziewanie w płataninie szyn pojawił się peron, budynek dworca, ludzie.

Wszystko było tak samo szare jak dotąd: i powietrze, i budynki, i ludzie. Za długo chyba marzyłam o tym Zakopanem, żeby teraz nie czuć rozczarowania.

Nie spodziewałam się czegoś tak beznamiennie szarego, tak brzydkiego, tak bezsensownie nijakiego. Gdyby nie napis Zakopane, nie uwierzyłabym. Nie uwierzyłabym? Ja nie uwierzyłam!

Pomyślałam, że ten pociąg mnie oszukał, że ktoś pozamieniał napisy, że to bez sensu, że to oszustwo!

Czekałam, aż pasażerowie opuszczą pociąg, żeby wygramolić się z moimi bagażami i małą z pociągu. Czekałam, choć nie uwierzyłam w to Zakopane.

Wiem, że wiara to jedno, a rzeczywistość to drugie... Ale... Ale to nie mogło być Zakopane!

Nie trzeba było marzyć! Skarciłam się za to, co sobie wyobrałam. Skarciłam się za to piękno, które w marzeniach zużyłam na moment przyjazdu i na Zakopane. A jeżeli to właśnie tak będzie wyglądać? Jeżeli to miasto wcale nie jest piękne?

Jeżeli ten rodzinny mit skazał mnie na wygnanie w miejsce, którego brzydota zarazi wszystko wokoło, i mnie, i ją, i czas, który pozostał?

Wiele lat temu miałam już to samo uczucie. Lublin i jego przydworcowe dzielnice tak samo przywitały mnie brzydota, szarością i deszczem, ale od Lublina niczego nie oczekiwałam, mógł być piękny, brzydki, nijaki, było mi to obojętne, od Zakopanego oczekiwałam choć odrobiny piękna.

— Pokoje — słyszę natrętne pokrzykiwania. — Wolne pokoje. — A może pensjonat?

— Pokój z wyżywieniem... Pokój z wyżywieniem...

Hałas ogłuszył mnie i z trudem, zaczepiana co chwila przez kogoś innego, torowałam sobie drogę do wyjścia z dworca. Przez cały czas zastanawiałam się, gdzie ono jest. W każdym innym mieście należałoby wejść do budynku stacji, a potem z niego wyjść. Tu jest jakoś inaczej.

Doszłam do miejsca, gdzie tory się kończą. Tak jakby dalej nie było już nic. Kończą się tak ewidentnie, że aż zatyka mi dech w piersiach. Dalej nie pojedę. Ja wiem, że nie ma żadnego dalej, przynajmniej na mojej, na naszej drodze, ale inni? Czy tu w tym Zakopanem, aż tak bardzo kończy się świat?

— Może potrzebny pokój — zaczepiła mnie kobieta w nieokreślonym wieku, z kartką na szyi. Na kartce napis: wolne pokoje.

— Nie. Ja już mam... No chodź, mała — powiedziała zniecierpliwiona do wlokącej się za mną córeczki. — Nie grzeb się.

— Kaptur! — odpowiedziała grzecznie, a ja powinnam przecież wiedzieć. Kiedy pada, dziecku należy nałożyć kaptur. Stałam i z rezygnacją naciągnęłam jej kaptur. Z rezygnacją, bo mogłaby przecież przejść ten kawałek...

Ale ona, jak się uprze, tak musi być. Kaptur przy tym mżaw-kowatym deszczu był trochę na wyrost, ale cóż, skoro chciała, proszę bardzo.



Córeczko — poprosiłam błagalnie, uginając się pod ciężarem bagaży, zawodu i zwykłego podróznego zmęczenia — nie marudź! Chodź!

Idę — wydukała i ruszyła przez gęsty tłum ciągnięta za rękę.

Gdzie tu są taksówki? — rzuciłam na oślep i sama nie wiem, kto mi wskazał, że to tuż na wprost mnie, może z dziesięć kroków. Trzeba jeszcze tylko przedrzeć się przez tłum i sama nie wiem, kogo w nim więcej, tych, co przyjechali, czy tych, co czekali. Nie, nie na znajomych, ale na turystów. Wolne pokoje.

Omiotłam wzrokiem pobojowisko, jakie zostało po moich marzeniach, tu, na zakopiańskim dworcu. To nie miało tak wyglądać, ale udawałam, że byłam szczęśliwa. Tak właśnie, udawałam. To udawanie było w tamtym momencie moim zadaniem nadrzędnym.

Dopchałam się do jednej z kilku stojących jeszcze taksówek. Tłum przede mną kłębił się i falował, tłum za mną popychał i potraçał raz dziecko, raz mnie. W końcu znowu mogłam sobie pozwolić na oddech. Usadowiliśmy się wygodnie w pachnącym wnętrzu. Ledwie wyczuwalne uff wyrwało mi się z serca. Byłam dzielna. Sama to wszystko zrobiłam, sama zaplanowałam, sama wykonałam we wszystkich szczegółach.

Dowiozłam ją. Dowiozłam ją i te wszystkie potwornie ciężkie bagaże. Nie do wiary. Bagaże w bagażniku, mama i dziecko grzecznie na tylnym siedzeniu. Podałam jeden z kilku posiadanych adresów. Ten, pod który zadzwoniłam jeszcze wczoraj i wiedziałam, że były wolne miejsca. Pewnie w większości były, ale...

A jednak było coś. Coś miłego. Coś, co od razu, od samego dworca przypadło mi do gustu. Całkowita anonimowość. To nie była taka sama anonimowość jak w Warszawie czy w Gdańsku. Ta była mniej wielkomiejska, bardziej oswojona. Nikt, absolutnie nikt nas nie znał. Nie dlatego, żeby znało nas zbyt wielu ludzi... To nie to, ale czasem dobrze jest być gdzieś ndziej.

W pensjonacie, na pierwszy rzut oka czystym, jakaś rozczochrana kobieta wprowadziła nas do stołówki, która służyła też za recepcję.

— To pani dzwoniła? Skinęłam głową.

— Pokój dwuosobowy. Dam pani jedenastkę. Do kiedy? Pytanie, na które przecież byłam przygotowana, przerosło mnie. Wiedziała, że zadając je, nie miała na myśli tego, co ja myślę lub o czym wolałam nie myśleć. Tylko, co miałam jej powiedzieć? Do końca świata? Dwa dni? Miesiąc? Rok? Na rok nie starczyłoby mi pieniędzy, a miesiąc... Co będzie, jeśli nie będzie mi tu dobrze?

— Na razie na tydzień. — Kobieta wpisała coś do zatłuszczonego zeszytu. Sprawiała na mnie wrażenie zbyt bezpośredniej. Nie lubiłam bezpośredniości. Nie ceniłam jej nigdy u ludzi. Bezpośredniość umiała szybko przedzierzgnąć się w chamstwo albo we wścibstwo.

— A tej małej co? — zapytała wreszcie kobieta, jakby nie mogła się powstrzymać. A tak mi dobrze szło...

— A tej małej co?

— A tej małej co?

A gównu was wszystkich to obchodzi!

Powinłam się już była przyzwyczaić. Powinłam była się oswoić, powinłam była wiedzieć, że ludzie tacy po prostu są, że wszystko im przeszkadza i zaraz zadają bezczelne pytania, jakby mieli do nich prawo, a przecież nikt im go nigdy nie dał.

— A tej małej co?

W tej czy innej formie słyszałam to już miliony, miliardy razy i za każdym razem to było niesprawiedliwe, ale myślałam, że tu, że tu to co innego, w końcu płacę, a skoro płacę, to wymagam, więc co?

— A tej małej co?

To nie był zamach na moją osobę. To nie był zamach na małą, tylko próba ponownego odebrania nam prawa do bycia jak inni. Próba wetknięcia nas do szuflady. Próba poniżenia nas.

Nie! Tak nie będzie! My mamy prawo!

Zostawiając małą, wybiegłam przed budynek i w ostatniej chwili udało mi się zawrócić odjeżdżającą już taksówkę. Wróciłam po bagaże.

Nic! Rozumie pani? Tej małej nic nie jest! Zresztą co to panią obchodzi?! Rezygnujemy! — rzuciłam w głąb stołówki podnieśmionym głosem i powlokłam za rękę małą w kierunku wyjścia.

— Ale pani? Coś pani? Zwariowała? Ja tylko tak... — wołał za mną głos ze stołówki. Nie odpowiedziałam. Nawet jeżeli ona tylko tak, to nie miałam zamiaru dłużej tam zostawać.

Bo co to takiego. Tylko tak...

Tylko tak, czyli jak? Czyli po chamsku? Z butami? Już pierwszego dnia? Pierwszej chwili, żeby się dowiedzieć, czy to nie jest zakaźne? Czy może, żeby opowiadać wszystkim, którzy będą nas obmacywać tłustym wzrokiem w stołówce, a wiecie, ta mała to...

Tylko tak? Czyli jak?

— Niech mnie pan zawiezie do jakiegoś pensjonatu, żeby nie było drogo, żeby było miło, żeby... no wie pan... żeby można było... — nie dokończyłam, bo sama nie wiedziałam, co miałabym powiedzieć. Bo żeby co można tam było?

— Znam coś odpowiedniego — powiedział i skręcił w jakąś dziwną uliczkę schodzącą stromo w dół — bo to wie pani, tu na tej Antałówce, to zadupie. Wszędzie daleko. Zawiozę panią na Krzeptówki... To niby też nie blisko, ale za to lepiej dojechać, a i dojść można...

Jak daleko? — zapytałam, nie mając złudzeń, że zawiezie mnie do żony, ojca, matki, wuja albo do ciotki, w najgorszym wypadku do znajomych, od których dostaje zapłatę za każdego przywiezionego klienta.

Będzie ze sześć... sześć i pół — odpowiedział trochę niechętnie na dawno przeze mnie zapomniane pytanie. — Będzie SIC podobać — dodał po chwili... — A jak nie, to niech dzwoni podał mi wizytówkę. — Zawiozę w inne miejsce, bo teraz to miejsca

ni mo.

Nagle ostatnia część zdania wypowiedzianego niby to w gwarze, niby tylko niestarannie, sprawiła, że poczułam wreszcie, że jestem tam, gdzie powinnam być, choć początek nie był dobry. Ale czegoż tu chcieć od początku? No bo co to takiego? Początek... To tylko chwila. Mgnienie. Sen...

\*

O tamtej drugiej dowiedziałam się z „Kuriera”. Też to zrobiła. Tylko że ona miała jedno dziecko. Córkę. Dziecko. Miała dwadzieścia lat.

Nie. Nie ona. To dziecko.

Dzieci nie mogą mieć dwudziestu lat! Mogą!

No więc miała dwudziestoletnie dziecko. Dziewczynkę. Zabiła ją. Udusiła własnymi rękoma, a potem podcięła sobie żyły i chyba by jej się udało, ale jej teściowa...

— O nie! Tak to nie będzie — powiedziała i zadzwoniła po pogotowie, i zabrali ją. I uratowali.

Po co ona tam w ogóle wchodziła? Na złość. Bo ona jej nienawidziła. Nie, nie za dziecko, dziecka też nienawidziła, za sprawę w sądzie. Ze powiedziała o tym, co on, jej syn, jej kochany syn robił, a przecież nie wolno takich rzeczy wyciągać! Nie publicznie! Brudy prać przy obcych, wstyd! Wstyd! No i skazali biedaka. Z zawieszeniem, ale ile się nacierpiał? Ile wstydu zniósł przez tę kurwę?

Więc mowy nie było, żeby dała jej spokojnie umrzeć. O nie!

— W pierdłu do końca życia! Do końca życia! O! Jak Kuba Bogu, tak Bóg Kubie!

O! Publicznie brudy prać? Przy obcych? Ze niby co się stało?

Zabiła ją, ale samej siebie nie dała rady. Wszystko przez teściową.

### ROZDZIAŁ III

Zamazane deszczem szyby taksówki odsłaniały niewiele, dopiero ostry zakręt pokazał mi gdzieś wysoko i daleko postrzępiony jak dziecięca wycinanka zarys gór. Niezwykłe. Monumentalne. Ale też i dziwne. — To śpiąca góra — powiedziała mała, patrząc z zaciekawieniem przez okno.

— Nie! To chyba Giewont — odpowiedziałam, a ona uśmiechnęła się w ten swój szczególny sposób.

— Śpiąca góra. Z rycerzami. O!

Dojechaliśmy do jakiegoś domu, po którym wcale nie było widać, że to pensjonat. Prawie taki jak wszystkie domy wokoło. Poorany balkonami od samego prawie dołu do samej góry. Spiczasty. Kolorowy. Rzeźbiony.

W chwilę potem byliśmy już w swoim pokoju. Z ulgą usiadłam na jednym z łóżek, zajrzałam do łazienki, dotknęłam stolika, szafy, dywanu. Rytuał przyjazdu.

Natęctwo, które tkwi we mnie od zawsze. Dotknąć... Poczucie gładki lakier stolika, szelestliwy krochmal firanek, zwiewny poszum zasłon. Potem łóżko z zimną pościelą. Wszystko to jest moje. Na chwilę, ale moje. Czyste, ładne, pachnące i moje. Ten akt posiadania, który przecież był tylko złudzeniem, z którego na dodatek zdawałam sobie sprawę, dodał mi jednak pewności siebie.

Zza okna wyjrzały jakieś wiszące sztuczne kwiaty, też jakby na chwilę moje, i wydało mi się, że ktoś je tu zostawił specjalnie dla mnie, żeby mnie przywitać. E, to tylko dla turystów! Pomyślałam i roześmiałam się we-wnętrze. Dla turystów? Czyli dla mnie!

Mała tak jak ja usiadła na swoim już teraz łóżku i rozglądała się ciekawie dookoła. To było dobre miejsce. Bezosobowe, ale przyjazne. Z balkonu widać było tylko chmury, ale podobno, kiedy jest słońce... No i był balkon. Też nasz. Małej i mój.

— Zabieraj ją stamtąd! Słyszysz?! Nie pozwolę, żeby lu-dzie...

Zabieraj ją stamtąd, czyli z balkonu. Z tamtego balkonu. Naszego. Domowego, bo on nie lubił, jak ludzie patrzyli na naszą córeczkę. Nie... Nie chodziło o uroki. Chodziło o ludzi. To się nazywa dyskomfort patrzącego.

Bo ludzie... Ludzie zawsze są najważniejsi. Nawet wtedy, kiedy nie powinni być wcale ważni.

\*

Mała położyła misia na swoim łóżku i usiadła przy stoliku. Odprawiła też swój rytuał powitalny, nie miałam nic przeciwko temu. Dotykała, patrzyła, dotykała... Teraz dopiero widać, jak bardzo jest zmęczona. Szara, bla-doszara buzia i podkrażone oczy mówią aż za dużo. Za dużo mówią o zmęczeniu. Zmęczeniu podróżą i wszystkim tym, co ostatnio się stało. A może wcale się nie stało? Może to tylko moja wyobraźnia?

Ta druga kobieta, ta, która zadusiła własnymi rękoma, ona też nie zrobiła tego bez przyczyny. Tylko mężczyźni umieją zabijać dla zabawy, bez sensu i bez celu. Umieją zabijać i za-bijają. Czasem po troszeczkę, po odrobince, dzień po dniu. Czasem szybciej. Im wolno. To oni są panami świata, tego jednego i wszystkich własnych, kolejnych, ograniczonych ścianami mieszkań.

To on był panem świata. Tak. Nawet kiedy przychodził pijany, a może wtedy jeszcze bardziej? Wtedy bił tę dziewczynkę.

Lubił to robić. Przywiązywał ją do taboretu, rozbierał i bił.

Nigdy nie robił tego bez przyczyny. Zawsze, najpierw musiał znaleźć coś, za co musiał ją ukarać. Więc karał ją za wszystko, mocno i długo. A matka patrzyła. Prosiła, błagała, tłumaczyła, ale on nie słuchał.

A potem ta dziewczynka nie dawała rady, bo za bardzo ją bolało, tym pasem, po gołej pupie, i wokoło rozlewała się kałuża moczu, którego nie dała rady zatrzymać. A ojciec kazał go zlizywać z podłogi. Dokładnie! Jeszcze tu! Pod szafą.

A matka patrzyła.

Więc zabiła tę dziewczynkę.

Jaką dziewczynkę? Ona miała dwadzieścia lat! Nie była już dzieckiem...

Niektóre dzieci zawsze zostają dziećmi, kiedy coś pójdzie nie tak, o kilka genów za mało, o kilka za dużo... I coś tam się blokuje, coś psuje i zostają dziećmi na zawsze.

A matka patrzyła. I nie raz. Nie dwa. Przez całe życie karał ją za to, że urodziła się taka inna, że musi się za nią wstydzić, że...

A matka patrzyła. Nie umiała nic innego. Najpierw złożyła doniesienie. Tak to się chyba nazywa. To znaczy do sądu. Ale mała szkodliwość czynu, co to komu szkodzi, że da klapsa, więc dostał coś tam w zawieszeniu. I karany nie był...

I wrócił do domu, i się śmiał. A jak on się śmiał, to zaraz nabierał ochoty do bicia, no a mała znowu... Co tu dużo mówić, ze strachu. A on włożył jej majtki na głowę i się śmiał.

Mała szkodliwość była też za drugim razem i można coś było odwieszać, ale jakoś nikomu się nie chciało.

I teściowa z pretensjami. Że taki dobry chłopak, a tak się przy niej zmarnował.

Więc nie! Tobie się nie uda! Będziesz gnić w pierdlu do nca życia! — zdecydowała i wezwała pogotowie. Uratowała jej życie! Cóż za akt dobroci!

Nagle ogarnęła mnie panika. Zaczęłam sobie po raz kolejny zadawać pytania. Nie, nie te egzystencjalne, te dotyczące tego, co tu i teraz. Co ja robię? Co ja zrobiłam? O Boże, zwariowałam!!

Żadnych zabawek, żadnych książek, żadnych znajomych, pustka, co my będziemy tu robić?!

Wiedziałam, po co przyjechałam. Po odrobinę szczęścia, ale czy uda mi się być szczęśliwą? Zresztą nie chodziło o mnie. Czy mała będzie szczęśliwa? Czy w ogóle to potrafi? A może nie w ogóle, ale jeszcze. Czy jeszcze to potrafi?

Wiedziałam, po co przyjechałam. Chciałam znaleźć ten wysoki dom z kamiennym chodnikiem wokoło. Wejść tam i skoczyć. To była jedyna prawda. Tamta, ta o szczęściu, to tylko dodatek, bo skoro miałam jeszcze trochę czasu, to dlaczego nie pobawić się w szczęście, ono rzeczywiście podobno istnieje!

Wiedziałam, po co przyjechałam. Wybrać odpowiedni budynek i skoczyć. Najpierw to był urząd miasta w Zakopanem, ale za niski, a wokoło trawniki. I bałam się, że mnie ktoś zatrzyma, że zapyta, powie: Przepraszam, ale tam nie wolno, z dziećmi nie wpuszczamy. Musiałam znaleźć coś innego, a tu, w Zakopanem, bloki? Nie ma. Są, ale odkryć to udało mi się dopiero po jakimś czasie.

A szczęście? A co komu szkodzi szczęście?

Ona też kiedyś umiała się śmiać. Śmiech... Nie wzięłyśmy ze sobą nic. Prawda, wzięłyśmy trochę ubrań, niewiele, żeby nie wzbudzać podejrzeń; i tak nie dałabym rady przydzwigać ich więcej.

Nie wzięłyśmy żadnych wspomnień. Oprócz burego misia. To było celowe.

Będziemy sobie robić nowe wspomnienia. Same dobre. Same miłe, same... Bo co można było stamtąd zabrać? Wspomnienie o nienawiści utrwalone na zdjęciu, kiedy mała usiłuje pocałować tatusia, a tatuś jej się brzydzi? Wspomnienia głodnych wieczorów, kiedy nie zasłużyłyśmy na jedzenie? Jakże jeszcze wspomnienia?

Będziemy robić sobie nowe, własne, dobre i wesołe wspomnienia, będziemy robić to, co powinnyśmy robić od dawna. Bawić się, śmiać, cieszyć. Ona i ja. Matka i córka. Przeszłość i przyszłość.. Nie. Terazniejszość. O przyszłości nie będziemy myśleć.

. Mamo, pić — siedziała grzecznie jak przyklejona do krzesła. Przez chwilę, kiedy nastawiałam czajnik, myślałam, że powinnam zdjąć ze stołu serwetę. Nie! Nie zdejmę. Najwyżej się zaplami. Так. I nie będę jej karać. Za nic. Ani za to, że rozbije talerz, ani za to, że się obleje zupą, ani za to, że zgubi kapeć.

— Zaraz, kochanie... Zaraz zrobię herbatki... No, tak! Przecież my nie mamy cukru! — złapałam się na myśli, że teraz nawet robienie herbaty jest inne, bo najpierw trzeba ją kupić. Zero rutyny, wszystko od nowa i po nowemu.

— Zaczekaj — wystawiłam czajnik na balkon. — Mama wyjdzie na chwilę i kupi, co potrzeba — powiedziałam niepewnie, czekając, jak na to zareaguje.

— Idę z tobą — powiedziała twardo.

Więc słyszała, co powiedziałam przed wyjazdem do teściowej. Musiała słyszeć, a wydawało mi się, że śpi. Specjalnie wybrałam taki moment, żeby jej nie przerazić. Słyszała.

Tylko jak to zrozumiała? Jak przetworzyła, a może wcale nie przetworzyła? Zakład? To przecież może być zakład pracy. Ale może być też zakład dla niej. Taki, do jakiego już raz zawiózł ją Michał.

I sprawa z głowy, zaczynamy nowe życie. Nie mogłam. Pojechałam po nią. Zobaczyłam, jak siedzi samotna pod ścianą, jak patrzy bezmyślnie w dal, jak kiwa się miarowo w tę i tamtą stronę.

Córeczko! Nie pozwolę, żebyś spędziła tu resztę życia! Nie pozwolę, żebyś nie widziała wiatru ani deszczu, żebyś patrzyła

o na te ściany, żebyś umierała codziennie po raz kolejny, κ A m Я stamtąd. Michał za to znienawidził mnie jeszcze TQfl^, cn^ó właściwie zupełnie mnie to nie obchodziło.

dyszała.

— To nie jest zakład? Prawda? — zapytała, z trudem wkładając bućki.

— Co, córeczko, nie jest zakład?

— No tu. Tu nie jest zakład? — sapnęła niepewnie.

— Nie, córeczko — rumieniec wstydu wypełził mi na twarz. — Nie. To pensjonat.

— A co to znaczy?

Nie wiem, co to znaczy. Bo co to znaczy pensjonat? Jak jej odpowiedzieć?

— Nie wiem, jak ci to powiedzieć, to taki hotel...

— Ale nie zakład? — mała jeszcze raz zadała to samo pytanie. Przecież nie może pamiętać. Nie ma nawet prawa pamiętać, więc co?

— Nie zakład, córeczko. Co ci przyszło do głowy? — uśmiechnęłam się nie całkiem szczerze, bo wiedziałam tak naprawdę,

0 co pytała. —■ O jaki zakład ci chodzi?

Ale ona już zapomniała. Tak już z nią jest. Wydaje się, że nie pamięta, a pyta, wydaje się, że pamięta, a zagłębia się nagle w zupełnie inną sprawę, pytanie, rzeczywistość.

Teraz jest głodna.

1 kiedy będziemy jeść? A będzie dobre? A jak nie zasłużymy, to co będzie?

— Zasłużymy! Na pewno zasłużymy! Nie martw się. Odważnie zeszyliśmy na dół, zamykając za sobą drzwi pokoju.

Każde takie wyjście będzie wymagało odwagi, chyba żeby przestać myśleć, ale ja tego nie umiem.

Mała złapała mnie kurczowo za rękę. Czy ona też czuje to co ja? Czy zdaje sobie sprawę? Czasem myślę, że nie, że ją to ominęło, że nie ma tego złego... że choć taka z tego korzyść.

Czasami jednak wydaje mi się, że ona wie, rozumie, tylko nic nie mówi, żeby nie robić mi przykrości.

Na dworze mżyło. Mżawka nadała delikatnej miękkości kraj-obrazowi, domom, oknom i naszym włosom. Po raz pierwszy od tak wielu lat czułam, że żyję. Decyzja, którą podjęłam, zdjęła z moich barków ciężar, z którym musiałam dotąd żyć. Nie zdjęła go do końca, ale zdejmie. Tego dnia, kiedy już nie będę musiała się

3 8

martwić, co się z nią stanie, kiedy mnie zabraknie. Bo to, że zabraknie, już wiem. To uczucie, tak ulotne jak oddech, sprawiło, że serce biło mi radośniej.

\*

Jeszcze przez chwilę. Jeszcze przez chwilę będę... Będziemy szczęśliwe. Wiedziałam to już wtedy. Wiem to i teraz. Przez chwilę byliśmy nawet szczęśliwe. O wiele bardziej, niż tego pragnęłam.

W tym mieście, o którym marzyłam, choć wcale go nie znałam, pośród doskonale obcych ludzi, w których oczach nie było żadnej iskry ciekawości. A nawet jeżeli była, to tylko przez chwilę. Bo nawet i tu... Ale tyle tu było innych, ciekawszych ludzi, innych, ciekawszych rzeczy, innych, ciekawszych..., pośród których mogliśmy zniknąć.

Mąż.

Kiedy wypowiadałam w myślach to słowo, tak może w zało-żeniu ciepłe, zimny dreszcz przebiegał mi po plecach. Czy już się zorientował, co zrobiłam?

Czy się zastanawiał dlaczego? Nie, nie zastanawiał się, dlaczego to zrobiłam. To go zupełnie nie interesowało. A gdyby nawet taka myśl przebiegła mu przez głowę, to i tak nie brałby pod uwagę żadnych „dlaczego” pochodzących ode mnie.

— Bzdury!

Powiedziałby, pomyślał, krzyknął, cokolwiek by to było, o ile pochodziłoby ode mnie.

— Bzdury!

A teraz... czy już wiedział, co zrobiłam, czy jeszcze liczył, że to. co powiedziałam teściowej, było prawdą?

Gdyby mnie znał, wiedziałby, że to niemożliwe. Gdyby mnie znał, on i ona, syn i matka, mąż i żona chciałoby się powiedzieć, oni nigdy nie chcieli mnie znać, poznać, pokochać.

0 me było im do niczego potrzebne. Więc żyliśmy we trójkę, czwórkę obok siebie. Bezpiecznie, wygodnie i pusto.

Czy już wiedział? W tamtej dokładnie chwili? Czy wiedział, co mnie skłoniło i co zamierzałam? Czy wiedział, że ukradłam mu pieniądze?

Czy mnie szukał?

Nie. Nie sądziłam, aby to zrobił, a jeżeli nawet, to nie znalazłby mnie. Nigdy. A jeżeli miałby znaleźć, to i tak... będzie za późno.

Poszliśmy do sklepu, który był dosłownie tuż obok, wróciliśmy z herbatą, cytryną, cukrem. Kupiłam też chipsy, które moja córka uwielbiała, krzyżówki dla mnie, oscypek, na wszelki wypadek...

Kolorową książeczkę do malowania. Kolorowe, czekoladowe jajko z zabawką. Komiks. Kredki. Ciastka z posypką kokosową. Wszystko to, o czym tak bardzo czasami marzyłam. O czym ja marzyłam, żeby jej dać.

Jak pięknie jest kupować dziecku cokolwiek. Jak pięknie jest mieć pieniądze, choć tyle, żeby nie było głodne. Jak niewiele trzeba, żeby zobaczyć uśmiech dziecka. Dlatego rozumiem tamtą kobietę. Ona zrobiła to z miłości do dzieci i za tę miłość spędzi resztę życia w więzieniu. Tylko przecież to nie jest życie. Więc po co było ją ratować?

Za swój czyn odpowiedziałaby już po tamtej stronie. Może Bóg by jej wybaczył? To przecież On stworzył ten świat, w którym dzieci są głodne.

\*

Ta druga nawet nie była głodna. Ta druga tylko nie chciała patrzeć, jak ojciec bije jej córeczkę.

Bo tak zwany dobry klaps, który jeszcze nigdy nikomu nie zaszkodził, za pomocą męskiej prawdy o życiu zamienił się w pas i już był nie do zniesienia.

I on nawet nie wiedział, że był sadystą. On tylko wiedział, że ma prawo. I wychowywał ją, wychowywał z wielkim zapalem-Bo dobry klaps jeszcze nikomu nie zaszkodził. I żebyś wyszła na ludzi lafiryndo. Aż do tego dnia, gdzie za jak zawsze zamkniętymi drzwiami matka udusiła ją z bezsilności, rozpacz i z miłości. Żeby już nie cierpiała.

Jej mąż będzie czuł się teraz samotny w swoim królestwie bez poddanych. Będzie tęsknił za tym, co dawało mu taką satysfakcję. Będzie mu brak tych lekcji wychowania... No bo kogo on teraz będzie bił?!

A matka tylko pomogła jej uciec. Dzielna kobieta! Powinna była wcześniej...

Po co było czekać? Bo wierzyła w sądy? Bzdura. Są bezduszne. W pomoc? Skąd? Zza ściany? Za ścianą głosy cichły, kiedy trzeba było coś zrobić.

Więc powinna była wcześniej, ale pewnie mówiła sobie, że córka tak lubi kwiaty, a tam ich przecież nie będzie, że lubi śpiewać, choć nie bardzo jej to wychodzi, że śmieje się prawie zupełnie jak normalna dziewczyna, i czekała, żeby sobie dziecko jeszcze trochę pożyło. Aż do dnia, kiedy dłużej się już nie dało.

Dzielna kobieta.

Dałabym jej medal za odwagę. Za odwagę wobec wszystkich tych tchórzów zza ściany.

Pamiętam pierwszą budkę telefoniczną, obok której przeszliśmy tamtego pierwszego dnia. Dlaczego ją pamiętam? Bo nagle zaczęła mnie kusić. Zadzwoń. Niech wie. Zadzwoń, zobaczysz, czy krzyczy. Przecież ten krzyk jest ci potrzebny, żeby poczuć,



że dobrze robisz.

Byłam jak uzależniona od jego słów, gestów, grymasów, tylko atego chciałam tam zadzwonić i go usłyszeć, i powiedzieć mu: k°niec! Już nas nie ma! Odeszłyśmy! Żeby wiedział.

j0 w^em dlaczego, ale czułam się przywiązana jakąś nicią życia, z którego uciekłam. Tak bardzo dotychczas bezwolna, m> ze po dokonaniu tego, czego dokonałam, powinnam go

26

zawiadomić. Choćby o tym, że miałam odwagę to zrobić, ale w głębi chciałam chyba czegoś innego. Chciałam ciepłych słów, wróc, byłem głupcem, oczywiście, że cię kocham i małą też, i tak, nigdzie jej nie oddamy, będziemy rodziną.

Ale my nie byliśmy nigdy rodziną, więc i nie będziemy.

— Kochanie, kupiłam pierogi... I co ty na to? Kochanie uciekłam. I co ty na to?

— Przepraszam panią — wtedy usłyszałam jakiś męski głos obok, który uwolnił mnie od przymusu ciągnącego mnie w stronę budki telefonicznej.

— Przepraszam panią, czy mogłaby pani podać mi tę pa~czkę?

— Nie widzi pan, że jestem zajęta? — warknęłam wrednym głosem na młodego mężczyznę, który schylony usiłował podnieść paczkę, ale jakoś mu to zupełnie nie wychodziło.

—• Miś — krzyknęła mała.

— Cicho! — skarciłam ją, a mężczyzna bezradnie rozłożył ręce.

— Przepraszam panią, ale ja nie widzę.

Tak wtedy powiedział, a ja byłam wściekła. Byłam zła. Nie chciałam nic i nikogo, tylko świętego spokoju, więc krzyknęłam na niego.

— Ślepy pan jest czy co?! — i wtedy zdałam sobie sprawę ze swojego chamstwa. Dopiero wtedy, bo on nie widział... On naprawdę nie widział... Był niewidomy.

— Miś!

Obok mężczyzny wielki pies przewodnik o złotych wilczych oczach oczarowywał moją córkę zimnym nosem, ciepłym językiem i tańczącym ogonem.

— Uważaj! Ten pies cię ugryzie! — krzyknęłam, sama nie wiem dlaczego.

— On nie gryzie — mężczyzna popatrzył na mnie niewidzą-cymi oczami i zrobiło mi się głupio, bo był w jakiś sposób piękny — To pies przewodnik. Jest łagodny jak baranek... To co? Poda mi pani tę paczkę? — zapytał jeszcze raz.

— jyjjs! — W głosie małej kipiała radość, tak jak tamtego dnia kiedy przyniosłam do domu szczeniaka. Ta radość trwała tak krótko. I nie pomogło tłumaczenie, że z psem dziecko chowa się o wiele lepiej.

— Zabierz tego kundla! Natychmiast! Słyszysz?

Ale to nie kundel...

Ja decyduję. Zabierz to natychmiast! Natychmiast!

— Ale to nie kundel...

Zabierz, kurwa, to bydlę! Słyszysz? Czy jesteś głucha? Bo

jak nie, to wypierdolę cię razem z nim i z tą pokraką! To mój dom! I nie będę tolerował nieposłuszeństwa!

Tamten pies, właściwie piesek, miał mieć na imię Miś. Odtąd wszystkie psy miały na imię Miś. Tak już zostało. Musiałam go wynieść. Rozdarta między płaczem małej a wolą Michała, muśiałam. Może już wtedy trzeba było coś zmienić?

— Miś!

— Ale on na pewno inaczej się nazywa — podałam mężczyźnie paczkę, trochę zdezorientowana.

— Nie, on rzeczywiście ma na imię Miś. A właściwie Misiak, ale może być i Miś, nie widzi pani, jaki jest puchaty?

— Widzę — odciągnęłam dziecko jak najdalej od tego psa. Widzę, oczywiście, że widzę...

Nie jestem ślepa, dodałam w duszy, bo jakoś, sama nie wiem czemu, chciałam, żeby tu też ktoś mnie nienawidził. To było okropne.

Przeszliśmy kilka kroków dzielących nas od pensjonatu i wbiegaliśmy na górę, do pokoju. Nie na prawdziwą górę, tu wszystkie pokoje były na górze, dół zajmowała jadalnia, kuchnia i sala kominkowa.

Ja biegłam, chcąc odgrodzić się myślami od tego mężczyzny, psa i wszystkiego, co dookoła, mała się ociągała. Ona chciała zostać. ^ pokoju poczułam się zmęczona. Zmęczona nie zmęczeniem, e tym nieopisanym zwątpieniem, które wkradło się w moje serce

myśl. Co ja zrobiłam? Po co? Czy to ma jakiś sens? Czy to coś mieni? Może trzeba było po prostu zostać. Przeczekać...

Co przeczekać? Życie — to, które jeszcze mi zostało. Przeczekać do końca. Do śmierci. Nie zrobić nic. W końcu jakoś będzie sobie musiała beze mnie poradzić...

Jakoś, tylko jak?

— Córciu...

Powiedziałam do niej tak jak zwykle i nagle wpadła mi do głowy dziwaczna myśl. A jakby tak nadać jej imię?

Nie, oczywiście ona już miała imię. Nawet dwa, ale nigdy nikt ich nie używał. Ja mówiłam do niej mała, Michał — ty pokrako, a teściowa...

— Zabierz stąd to... gówno...

Agata, Agatka, Aga, Agusia, Gusia, Gunia, Agunia... Tyle do wyboru!

— Agatko — powiedziałam tak jakoś uroczyście — masz tu herbatkę. Posłodzisz sama?

\*

Wieczór. Wieczór pierwszego dnia wolności był jak chleb z za-kalcem. Dobry, pachnący, ale jednak niedoskonały. Moje sumienie, w którym wszystko tak dokładnie poukładałam, nagle stanęło naprzeciw mnie i już nie wiedziałam, co jest dobre, a co złe.

Na myśl o tym, co dopiero ma nastąpić, co musi nastąpić i nastąpi pewnego dnia, pojawił się strach. Nie przed tym, co ma być, ale jak ma być.

\*

— Mamo? Mamo, kiedy my stąd pójdziemy? Chciałam po-bawić się z Misiem. Dach. Dookoła wiatr i przestrzeń. Świat w zawieszeniu czeka na mój ostatni krok. A ona?

Czy ona nie zdaje sobie sprawy, że nigdy już nie pobawi się z nikim i niczym? Ze przyszłyśmy tu po śmierć?

I niech mi ktoś powie: Stój, co robisz kobieto! Nie zabijaj jej! Niech mi ktoś to wykrzyczy w ten wiatr. Nie usłyszę.

Nie usłyszę, bo każde „nie zabijaj” to tylko początek. A co dalej? To już nikogo nie obchodzi.

\*

Wtedy miałyśmy jeszcze czas. Całe mnóstwo czasu. Dzięki temu, że wiedziałam, ile naprawdę go jest, widziałam jego skoń-czoność i nie robiłam planów na „kiedyś”. Kiedyś pójdziemy do kina, kiedyś zrobimy... Czy jakiegokolwiek inne „kiedyś”. Nie. Nie mamy czasu na kiedyś. Nie ma też „za kilka lat” ani „za jakiś czas”. Mamy za to możliwość planowania jutra. To też coś.

Jutro wszystko będzie dobre, inne, nowe. Dobre. Jutro. Jutro.

Kiedyś też tak myślałam. Jutro. A kiedy nastąpiło, zoba-czyłam ojca. Wisiał na haku od żyrandola. I nie było już żadnego jutra.

Więc od czego zacząć to wszystko nowe? Nie ma od czego zaczynać. Wpatrzona w sufit, wsłuchiwałam się w oddech Agi i nawet on mnie przytłaczał.

Przypominało to czekanie, a przecież nie muszę, nie musiałam już czekać. Nic się nie miało stać. Nie tego dnia. Jeszcze nie tego dnia, choć jednak... jednak miało się stać.

\*

Stałam zapatrzona w kolorowe witraże małego kościółka, w którym braliśmy skromny ślub. Zapatrzona i zaczarowana. Tłum kłębiący się dookoła zdawał się mnie nie zauważać, a przecież to ja byłam ważna. Najważniejsza. Tego jednego właśnie dnia.

Obok mnie człowiek, z którym postanowiłam spędzić resztę życia. Nie umiałam odpowiedzieć sobie na pytanie, jaki jest, .^c to jeszcze dałoby się określić, nie umiałam powiedzieć, Ja 'będzie. Za rok, dwa, za życie, i to chyba przerażało mnie najbardziej.

Patrząc na przechadzające się po parku starsze małżeństwa, zadawałam sobie wciąż to jedno pytanie. Jak bardzo się zmienili każde z osobna i siebie nawzajem?

Czy są tymi samymi ludźmi? Tymi samymi, choć nie takimi samymi, czy też nie zostało już w nich nic z dawnych marzeń, słów i gestów?

Wierzyłam. Wierzyłam w Boga, w siebie, w Michała, w życie i w przyszłość. Taka wiara jest konieczna, kiedy chce się żyć. Wiara w Boga dawała mi nadzieję, wiara w Michała spokój, wiara w przyszłość mamiała złudnym dobrem przyszłych dni...

A wiara w siebie? Nigdy nie była zbyt mocna.

Michał nie był zły. Michał nie był okrutny. Był zwykłym chłopcem, jakich są tysiące. Dlaczego wybrałam właśnie jego?

Był zwykłym człowiekiem, który nie ma w sobie nic szczególnego, ani szczególnej dobroci, ani szczególnej nienawiści.

Tak właśnie go widziałam, ale chyba wymalowałam jego portret nie tymi farbami, bo szybko zbladł w zderzeniu z rzeczywistością.

Kochałam go. Tak. Pierwsze kilka dni. Tygodni. Miesiący. Potem ze zdziwieniem dostrzegłam w nim inne, obce cechy. Nie lubiłam ich, ale myślałam, że to chwilowe, że to nic, że się zmieni. I zmieniał się, ale nie na dobre.

I zmienił się. Wystarczyło kilka lat. Bo ludzie się zmieniają i to chyba jest najsmutniejsze. Dlaczego się zmienił? Bo takie jest życie. Mężczyźni się zmieniają, kiedy mieszkają zbyt długo ze swoimi matkami.

Albo wcale się nie zmienił, tylko jego obraz w mojej duszy wyidealizowałam za bardzo? Może wcale nie był ciepły? Może wcale nie był dobry? Jego postać układałam ze słów i gestów, które tłumaczyłam sobie sama. Może źle je przetłumaczyłam?

Potem nadal go kochałam. Jeszcze trochę. Jeszcze, aż kiedyś, zasypiając, zauważyłam, że go nienawidzę.

Nie zauważyłam tego przejścia, tej zmiany. Dokonywała się po troszku. Po odcieniu, po geście, aż zrozumiałam, że nienawidzę go z całego serca.

Wspólne życie przyniosło tak wiele rozczarowań. Nie budził się już w nocy, żeby opowiadać mi bajki, nie wstawał rano, żeby biec po bułki. Przestał się śmiać. A to przecież było jeszcze, zanim..-

Zaraz po ślubie przyrósł prawie na stałe do zielonego fotela przed telewizorem.

Owszem, pracował, jadł, spał, ale to, co odtąd nazywał życiem, podporządkowane było telewizji.

Potrafił godzinami wpatrywać się w błękitnookie pudło i nie widział już nic poza nim.

Tuż przy nim czaił się posterunek straży. Dzielna matka. Teściowa broniła do niego dostępu dniem i nocą.

— A zostaw go w spokoju! Nie marudź! Patrz, jaki zmęczony!

Każda próba odczarowania go sprzed telewizora kończyła się niepowodzeniem.

Matka. Wierny cerber. Udaremniała każdy mój, nawet najmniejszy wysiłek w tym kierunku. Kochała go. Dla niej był Bogiem. Jej miłość z nadludzką wręcz siłą odrywała go ode mnie.

I byliśmy my, i on. Błękitnooki telewizor. Gdzieś pomiędzy nami a telewizorem niechciane, przez nikogo niezauważane przepływało życie. Ciepłe, dobre, mądre i radosne.

Ugotowałybyś coś — mruzczała teściowa, kiedy zbyt długo siedziałam w pokoju, obok Michała, licząc, że uda mi się go obudzić z tego teleletargu. — Głodny!

I sprzątnij w łazience — dodawała po chwili, żeby jakoś mnie zająć i tym samym usunąć.

I tak stawałam się cieniem. Bo w domu Bogiem był telewizor, na jego ołtarzu złożyliśmy obiatę z codziennych rozmów, j ° Palenie z przelotnych pocałunków, złożyliśmy ofiarę z czu- ° sci. Zabrał wszystko. Michał i matka byli jego wiernymi stugami.

Istnieliśmy oddzielnie.

ując się pomiędzy nimi, usiłowałam nie oszaleć.

— To się jeszcze zmieni — mówiłam sobie. — To chwilowe. Przecież jesteśmy zaledwie rok po ślubie. Nie dwadzieścia lat, ale rok. Coś zaiskrzy, coś się rozпали. A jednak w miarę upływu czasu nie rozpalało się nic. Nie rozpalało się, a ja gasłam.

— Ugotowałabyś coś...

— Sprzątnij tę łazienkę, bo tam śmierdzi...

— Wstydu nie masz, żeby tak chłopa męczyć! Daj mu odpocząć!

To zawieszenie, w którym żyłam jak w gęstym, sennym budyniu, dotyczyło wszystkiego. Zepsutego kranu, zakupów. Michał, czy ty mnie jeszcze kochasz, chcę mieć dziecko...

Chcę mieć jeszcze jedno dziecko.

#### ROZDZIAŁ IV

Ubrałam ją bardzo ładnie. Żeby ludzie, jak ją zobaczą tam na dole, pod blokiem, pomyśleli choć raz: Patrzcie, jaka ładna dziewczyna. Nie dziewczynka. Dziewczyna. Ubrałam ją ładnie, żeby pożałowali. Choć ich żal jest tylko chwilowy i tylko na tę okazję. To taki śmiertelny żal, bo gdyby chodziło o życie, to nie. Do roboty! Do roboty! Do roboty! Do roboty byś się wzięła, pokrako, a nie porządnych ludzi zaczepiać.

Porządność porządnych ludzi to jedno wielkie oszustwo. Bo co się stanie, kiedy mnie zabraknie? Nic. Bo mnie nie zabraknie albo raczej po prostu już wtedy nie będzie mnie potrzebować, ale co by się stało? Co by było, gdyby? Jakie byłoby jej życie, jeżeli to coś nazwać by można życiem?

Białe, białe? Szare ściany jakiegoś smutnego zakładu, gdzie bezosobowe pielęgniarki, odbębniając za marne grosze swoją robotę, będą ją przestawiać jak mebel z jednego kąta w drugi. Gdzie w poniedziałek białe szaleństwo, we wtorek kasza, a w środę ani odrobiny ciepła.

Jak będzie żyła? Jak zwierzę w schronisku? Nie, my, ludzie, bardziej dbamy o bezpieczne psy niż o bezpieczne dzieci.

Więc nie skażę jej na tę wegetację warzywa, które jest, bo jest, a jak go nie ma, to też niewielki kram...

Czy i ona tego chce? Nie wiem. Nie pytałam i nie zapytam. To ja dałam jej tę marną namiastkę życia i to ja jej ją odbiorę, a jeżeli choć na chwilę mnie znienawidzi, trudno, nienawiść i strach są wliczone w koszty.

Boja obliczyła wszystko. Ukradłam te pieniądze, żeby dać Jej chwilę szczęścia.

Żeby przez ten miesiąc, dwa, trzy, żyła jak z owiek, żeby miała miłość, dobro, czystą pościel i żadnych zyków. Żeby wiedziała, że nie zawsze jest tak jak dotychczas, że miłość istnieje. Tylko że ją po prostu ominęła.

~zy będzie żałować?

Ja nie będę. Nie mogę sobie na to pozwolić. Mamo...

— Co dziecko?

— Nie podchodź tam. Tam się spada...

\*

Poranek powitał mnie ostrym słońcem wpadającym przez niezastłonięte okna. Nigdy ich nie zasłaniam. Nigdy nie zasłańniałam. Bałam się, że przeoczę świt, bo kiedy nadchodził świt, odchodziły koszmary. Wtedy odchodziły pytania o to, co dalej, co jutro, o to, jak będzie...

Potem wracały, bo one takie już są, że zawsze wracają.

Ciężkimi krokami przez ciemność nocy. Słyszałam ich oddech, był ciężki i zdyszany, jakby biegły, żeby ani na chwilę nie dać mi odpocząć, ani na chwilę nie pozwolić mi zapomnieć. Potem cicho skrzypiała rzeczywistość. Cienkim jękiem obwieszczała mi, że to się znowu zaczyna.

Każde kolejne „co będzie dalej”. Jak to będzie, co z dzieckiem, co potem, wdierało mi się w duszę ostrym bólem, na który umiałam odpowiedzieć tylko, że nie wiem. Nie to dobre „nie wiem, zobaczymy”, ale to „nie wiem”, które znaczy, że świat się skończył i na nic, na nikogo już nie można liczyć.

Mogłam udawać najbardziej, najlepiej na świecie, posapywać, pochrapywać, spać z kołdrą na głowie. One i tak tego nie dostrzegały. Budziły mnie nocą, oblewały zimnym potem, ścisnęły serce i duszę.

Nienawidziłam ich i siebie. Gdybym choć na noc umiała zapomnieć, dni byłyby słoneczniejsze, a życie łatwiejsze i dla niej, i dla mnie.

Aga obudziła się i rozejrzała nieprzytomnie po pokoju.

— Pamiętasz, gdzie jesteśmy? — zapytałam ją najłagodniej, jak umiałam. — No? Pamiętasz?

— Nie... Tak.. Daleko. Jesteśmy daleko — powiedziała, ziewając i przeciągając się śmiesznie. Jest już taka duża... Taka duża...

Jeszcze twarze zasnutę snem, jeszcze oczy pełne sennych obrazów, jeszcze rano, a tu z oddali stołówki wzywają cię zapachy...

50

Śniadanie. Tutaj w tym niewielkim pensjonacie właśnie śniadanie nęciło mnie najbardziej. Śniadanie, nie obiad, nie kolacja, ale śniadanie, bo śniadanie to coś intymnego. Kawa z mlekiem, bułka ze świeżym masłem, wszystko takie śniadaniowe. Wędliny równiutko poukładane na talerzu. Prawdziwe życie, nierealny świat. Nierealny, ale czasami można go sobie kupić.

— Tylko pamiętaj, kochanie. Pamiętaj, nie biegnij do stolika, nie jesteś małym dzieckiem, dobrze?

— Tak — odpowiedziała, naciągając skarpetki.

— I będziesz jadła z zamkniętą buzią, dobrze?

— Z zamkniętą buzią nie da się jeść!

Nie zdziwiłam się, nie załamalam rąk. Tak było zawsze. Tylko po co? Po co to robić, przecież tak naprawdę to nie ma znaczenia, czy ktoś mlaska przy jedzeniu, czy siorbie... To przecież nie zmienia świata, nic nie zmienia, bo co? Dobre obyczaje? Ze konieczne? Bzdura, to tylko niepotrzebne konwenanse, które utrudniają życie.

— Pamiętaj, żeby nie mlaskać... — Aga patrzy na mnie zdziwiona.

— Tak.

Tylko czy na pewno będzie pamiętać?

— I nie bekać...

— Tak.

Poszliśmy przez korytarz cały w srebrnopopielatych kafelkach.

— Uważaj, córeczko, nie spadnij! — upomniałam ją po raz nie wiadomo który, trzymając ją za rękę.

A chwilę potem byliśmy już w stołówce, schludnej, kolorowej i pachnącej dobrym jedzeniem.

Nasz stół w rogu, przy oknie, oddzielony przepierzeniem, był jakby trochę z dala od innych stolików. To właściwie mi odpowiadało.

— Miś! — krzyknęła nagle mała i już wiedziałam, co zobaczę, kiedy ją dogonię, bo oczywiście nie wytrzymała, wyrwała się i pobięła.

Przy naszym stoliku siedział już mężczyzna, którego spotkałam wczoraj po południu, a pod stołem bezczelnie leżał pies o niebezpiecznie złotych oczach.

Mogłabym się złościć, wiem, może ktoś inny na moim miejscu coś by powiedział, zrobił, jakoś zareagował, ale ja lubię psy. Szczególnie tak dobrze ułożone, piękne owczarki.

Zawsze chciałam mieć psa. Mała też, ale Michał nie lubił psów, zresztą psy nie lubiły też jego, taki wzajemny brak akceptacji, wzajemny brak dobrej woli. To tak jak z małą.

Przecież mógłby choć spróbować ją pokochać, mógłby choć chcieć, o ile łatwiej i lepiej wyglądałoby teraz wszystko, ale on nawet nie chciał.

Typowo po męsku odrzucił możliwość pokochania „takiego” dziecka. A co „takie dziecko” jest winne, że jest „takie”? A co jest winne, że ma takiego ojca...

\*

A co jest winne, że ma takiego ojca? Ja nic nie byłam winna, ale czułam, że mnie zostawił, że ten sznur, ten hak, ta sina twarz, że to wszystko mogło, nawet powinno było poczekać. Że miał obowiązek żyć!

Gdyby żył, byłoby łatwiej. Gdyby żył, mogłabym jeszcze trochę poczekać, ale on się załamał.

Nie wolno mu było... Rodzicom nie wolno się załamywać! Nie wolno zostawiać! Nie mają prawa! Co oni myślą, że taki akt, jakim jest poczęcie, może pozostać bez konsekwencji?

Rozumiem, kiedy nie ma wyboru, ale tu był!

I nie musiał tego robić w domu. Nie miał prawa mi tego zrobić. To co? Nie mógł już pójść na strych? Do piwnicy? Dokądkolwiek? Musiał to zrobić na haku od żyrandola w pokoju stołowym, w którym już zawsze jego cień padał na talerz z zupą i gdyby była nawet najlepsza na świecie, to jej zapach...

Wietrzyłam. Dniami i nocami. On, zapach, pozostał na zawsze.

I ta jego sina twarz. Odnajdowałam ją potem wszędzie, w każdym cieniu rzuconym na ulicę przez drzewo, kwiat, chmurę, w każdym zacieku na ścianie, w kurzu na biurku i w snach.

Tylko w snach była jeszcze straszniejsza.

Nie kocham cię — mówiła sinymi ustami — nigdy cię nie

kochałem, dlatego to zrobiłem, dlatego zrobiłem to w dzień twoich urodzin, dlatego w domu, to taki prezent, żebyś wiedziała...

Więc ojciec także mnie nie kochał.

Michał mógłby pokochać małą, mógłby, gdyby chociaż spróbował, gdyby chociaż się postarał, pogłaskać po główce, uśmiechnąć się. Pobawić. Co z tego, że jest „taka”?

Mógłby choć ją zaakceptować. Pogodzić z tym, że jest, i z tym, jaka jest.

— Ty chyba oszalałaś?! — odpowiadał mi, pukając się w czoło. — To nie może być moje dziecko! Rozumiesz? Nie może!

To była cała prawda o Michale, bo to dziecko, mimo że było jego, nie mogło być jego. Dlaczego? Bo nie było chłopcem? To też, ale też i dlatego, że było takie.

— To nie może być moje dziecko! Rozumiesz? Nie może!

— Jest.

-To nie może być moje dziecko! Rozumiesz? Nie może!

Z uporem maniaka. Nie może. Nieważne, że jest. Puściłaś się nie wiadomo z kim i teraz będę niańczyć bachora.

Puściłaś się, to trzeba było uważać, a nie... coś takiego. Nedorobione jakieś...

Bo on nie mógł spłodzić takiego czegoś, nie. Nie on. Wielki, P'ekny, bezduszny Michał. Wcześniej nie wiedziałam, jak bardzo jest bezduszny, później, kiedy się dowiedziałam, było o wiele za pozno na cokolwiek, nawet na jakiegokolwiek życie.

~To nie może być moje dziecko! Nie może!

szl °       wiele razy zadawałam sobie pytanie, za kogo ja wy-  
zarn. Przecież on nie był taki, wtedy, nie mógł być, ale prawda  
za   oczywista> niż mogło się wydawać. Ja nie wyszłam

\* !chała, ale za jego obraz. Za człowieka, którego sama sobie umyśliłam, na własny użytek.

Mój Michał był dobry. Wielkoduszny. Zabawny. Mój... Ale mojego Michała tak naprawdę nigdy nie było. Wyobraźnia splatała mi bezdusznego figla i uwięziła pomiędzy obrazem a rzeczywistością. Wyobrażenie o nim, jak wszystkie złudzenia, rozwiało się, rzeczywistość się rozpanoszyła i nabrała ostrych kształtów.

I może dałoby się jakoś żyć. Może znalazłby się usłużny kompromis między nim a mną, między prawdą a marzeniem. Między tym, co było, a tym, co miało być, ale... „Ale” urodziło się pewnego dnia w postaci maleńkiej dziewczynki, która nie była doskonała. Jej niedoskonałość rosła z każdym dniem, a ona, jakby tego nie zauważając, chciała być kochana.

Lgnęła do niego. Wyciągała rączki, płakała. Uśmiechała się przymilnie i wołała go dziecinnym gruchaniem. Był głuchy. Tak jak głucha była jego matka.

— Nie. Ja tego nie dotknę — powiedziała zaraz na początku i dotrzymała słowa, a przecież ta inność nie była ani zakaźna, ani widoczna. Owszem, stawała się widoczna coraz bardziej i bardziej, ale jeszcze nie wtedy.

Nie poszłam do pracy. Zostałam zawieszona na zawsze pomiędzy telewizorem, dzieckiem i nimi. Może powinnam była jednak walczyć? Walczyć o prawo do miłości, do szacunku, do pracy? Może powinnam była choć na parę godzin do ludzi... Ale nie mogłam.

Nie mogłam zostawić jej ani na chwilę z ludźmi, dla których nie istniała.



Mała wołała do niego zza sztachetek drewnianego łóżeczka. On zagłuszał ją telewizorem.

— Niech „to” nie wrzeszczy — mówił czasem, kiedy jakimś cudem zwrócił na nią uwagę. Byłam mu nawet za to wdzięczna, myślałam, że przez takie małe, nic nieznaczące zdarzenia, dzień po dniu przyzwyczajasz się, zgodzi na to, o zgodę na co nikt go nie pytał.

Bo powinien był spróbować. Choć spróbować chcieć. Chcieć ją pokochać, bo była jego dzieckiem, więc powinien choć chcieć, on wołał inaczej.

Bo łatwiej było inaczej. Bo on nawet nie chciał chcieć, on nawet nie brał pod uwagę takiej możliwości. Bo się bał. Bał się, że jeżeli ją pokocha, mimochodem, wbrew własnej woli, a nawet nie wbrew, ale poza nią, poza tą wolą, to będzie cierpieć.

Będzie cierpieć, jeżeli ją pokocha, tak jak kocha się kundelka, który pojawia się na wycieraczkę, niechętnie, bez potrzeby i zupełnie nie wiadomo po co. I ani to chart, ani to wyżeł, takie nic, z czym wstyd się pokazać na ulicy, a jednak... I kocha się to coś.

Bał się ją pokochać nawet w taki sposób, bo musiałby przestać się wstydzić.

Musiałby przyznać jej prawo do istnienia, prawo do czegokolwiek...

Choć z drugiej strony ten jego brak zgody na miłość do własnego dziecka skazywał go na potępienie, bo co to za ojciec, co to za matka...

A on nie chciał kochać i nie chciał, aby go potępiano.

— To nie jest moje dziecko — zawyrokował po męsku, a od jego wyroków nie było odwołania — i ani mi się waży, jakie badania? Jakiego badania? Ty dziwko! Nie dość, że płacę? Nie dość, że znoszę? Nie dość, że się wstydzę?

Nie rozumiał, dlaczego go tak krzywdzę. Dla niego byłam niewdzięcznicą.

— Ty serca nie masz! Jesteś podła! Podła! Jak ja mogłam... Dla jego matki byłam złodziejką. Złodziejką, która odebrała jej ukochanego mężczyznę, nieważne, że był synem.

— No właśnie! Jak mogłam?! A tak cię przestrzegałam! Nie żęń się, mówiłam! Nie żęń się, a ty nie... że dziecko, że to, że tamto... A teraz co masz? No co?! Gówno! Ani żony, ani dziecka! Tylko wstyd!

Mała rosła i była coraz bardziej widoczna. Zajmowała coraz więcej miejsca i myśli. On widział ją coraz mniej.

Myślałam, że zmięknie, ale pomyliłam się. On jej nie tylko nie kochał, on nie wyrażał zgody na jej istnienie. Tak samo jak jego matka.

— Nie dość, że zrobiłaś mnie babcią w tak młodym wieku... Tfu! Co ja plotę, nie można być babcią dla czegoś takiego...

\*

Ojciec powiesił się w sobotę po południu. Była jesień i moje urodziny. Był też wypadek w kopalni.

Był tam. Co tam zobaczył? Nie powiedział.

Miał ich ratować i chyba ratował. Jakiś telefon w nocy, jakieś zdziwienie, przerażenie, strach.

Gdzieś tam zawalił się świat na głowy ludzi. Naprawdę się zawalił. Trzeba było ich wyciągać spod tego zawałonego świata.

Nigdy mi nie powiedział, co tam się stało. Nigdy nie powiedział ani jak, ani dlaczego to zrobił. Tego już nie miał szans mi powiedzieć. Nie miał nic prócz papieru, na którym mógłby choć napisać jedno, dwa, kilka słów.

Nie napisał.

Choćby: to nie twoja wina. To nie mogła być moja wina, a jednak, gdzieś tam w środku poczułam, że może jednak moja. Ze byłam za mało ważna, bo gdybym była bardziej ważna, może by tego nie zrobił.

Zawsze myślałam, że mnie kochał. Nie mówił tego nigdy, bo był na to za twardy, ale myślałam, że mnie kochał. To były drobne gesty, jakieś niby nic nieznaczące słowa.

\*

A mnie się udało ją pokochać. Nie musiałam nawet bardzo się starać, tak raz dwa i ją pokochałam. Matkom łatwiej. Nie musiałam się starać, a jej inność przestała mi się rzucać w oczy, oddałabym za nią życie...

Matkom łatwiej, mają to w genach, tę miłość mimo wszystko, dlatego nawet go rozumiałam, w końcu nie był matką.

A ona naprawdę była wspaniała. Na swój unikatowy sposób była wspaniała. Nie tak jak inne dzieci. Inaczej, ale jednak wspaniała.

On nie chciał tego widzieć. Ani on, ani inni, ale inni nie mieli czasu... Nie mieli czasu zauważyć, bo jej piękno było zakryte dla oczu, trzeba było patrzeć sercem.

— A jak tu z sercem do czegoś takiego?! W Sparcie mieli rację... Ze skały! I Hitler też... Nie, żebym był za Hitlerem, ale to by rozwiązało sprawę... A zresztą, co ja będę z tobą rozmawiał...

A zresztą, co ja będę z tobą rozmawiał...

Bo nie godziło się, nie było po co w ogóle się do mnie odzywać. Nie miało to najmniejszego sensu. Do mnie? Przecież byłam skażona.

Michał myślał, że inność jest zakaźna, tak zresztą jak i inni...

Może dlatego tam, w tym pensjonacie, przy tym odosobnionym stoliku, który nam wskazano i przy którym prawdopodobnie jadać będziemy codziennie, ucieszyłam się, że mężczyzna siedzący przy nas był niewidomy. Ze był zupełnie ślepy i nic nie widział.

— Dzień dobry — mruknęłam niezbyt wyraźnie, szturchając małą. — No, co powiesz?

— O! Zupka!

— Nie: o zupka, tylko powiedz: dzień dobry... Powiedziała.

— Teraz naleję ci zupki mlecznej — stwierdziłam, siadając przy stoliku. — Zjesz, bo jest bardzo smaczna. Prawda?

Mała nie odpowiedziała. Siedziała wpatrzona w mężczyznę naprzeciw mnie. Nigdy nie lubiła mężczyzn.

— Dlaczego masz pokręcone oczy? — zapytała, a mnie oblał rumieniec wstydu, przecież tak ją prosiłam...

Spontaniczność u niej nie była atutem.

— Przepraszam — jęknęłam. — Mała jest taka bezpośrednia, ale ona nie miała nic złego na myśli...

— Niech pani nie przeprasza. Szczerowość to nie jest wada... — odpowiedział

bardzo pięknym, jakimś takim aksamitnym głosem. Wydał mi się spokojny, szczerzy, może nawet interesujący...

Jasne, pomyślałam w popłochu. U małej szczerłość czasem urastała do rozmiarów kłęski żywiołowej. Bo mogła zapytać o wszystko. Dosłownie o wszystko. Tak bardzo o wszystko, że czasami robiło mi się słabo.

Mężczyzna roześmiał się. Śmiechem tak złotym jak oczy jego psa. Mała śmiała się wraz z nim.

— A dlaczego ty masz taki dorosły głos? — zapytał, nalewając sobie zupy z zadziwiającą dla niewidomego sprawnością.

— Bo ja jestem dużą dziewczynką — odpowiedziała Agusia i atmosfera stała się jakaś taka domowa.

— Janusz — przedstawił się mężczyzna. — A pani... Pani ma na imię Hanna albo lepiej Hanka, a to pewnie Agatka. Tak?

— Jasnowidz? — zapytałam najbardziej nieprzyjemnym głosem, na jaki mnie w tej chwili było stać.

— No wiesz, w moim przypadku to raczej niemożliwe — wskazał na swoje dziwne, rzeczywiście trochę pokręcone oczy, które wyraźnie się go nie słuchały i biegały to tu, to tam, zupełnie bez przyczyny. — Jestem bratem właścicielki — dodał po chwili.

— Opowiadała mi o was. To znaczy... Zawsze mi opowiada o gościach, żebym... Wiesz... tak jakoś... Przecież nie będzie mi opowiadała filmów, nie? Krępuje cię moje towarzystwo? — zapytał nagle, jakby czytał w moich myślach.

— Nie, to nie to — odpowiedziałam szybko, bo nie chciałam go obrazić. — Nigdy nie znałam nikogo... — też nie wiem, dlaczego przeszłam na ty — i nie bardzo wiem...

— Jak się zachować? — dokończył za mnie. — Najlepiej zrobisz, jak będziesz zachowywać się normalnie — powiedział, smarując chleb. — Pewnie teraz chcesz mnie zapytać, jak mi się to udaje

— tu zrobił nieokreślony gest głową, tak jakoś dookoła. — Lata praktyki — dodał jakby trochę smutno. — Może musztardy?

— Ja chcę. — Agusia grzecznie podała mu talerzyk, żeby tak jak mama nałożył jej musztardy. Jakimś cudem i z tym sobie poradził.

Wzbudził we mnie zachwyt.

„Niech pani nie przeprasza — przypominałam sobie jego słowa. — Szczerłość to nie jest wada...” i ten jego urzekający głos. Bzdura. Nigdy nie interesowałam się mężczyznami. Wypadłam z obiegu tak dawno temu, teraz nie umiałabym nawet z nimi rozmawiać.

5 8

Wypadłam z obiegu. Dziwne zdanie. Nigdy mnie właściwie nie interesowali. Byli. Byli tak, jak był Michał. Obok. Żadnych pocałunków, żadnych łez, żadnych wzruszeń.

Ten był inny, bo radził sobie z innością, własną innością, tak jakby się na nią zgadzał.

— Widziałyście już coś w Zakopanem czy może...

W panice odpowiedziałam wtedy, że owszem, że tak, że mamy jeszcze czas, bo nie miałam ochoty na żadne przygodne czy nawet nieprzygodne znajomości, zaproszenia, zamęty.

—Widziałyśmy dworzec i na razie to nam wystarczy. Dziękuję, ale poradzimy sobie same.

— Pewnie zawsze sobie same radzicie? — zapytał ze zrozumieniem i chciał chyba coś jeszcze dodać, ale mu przerwałam.

—Jak już zjadłaś, to odnieś talerzyk, powiedz pani w okienku ładnie „dziękuję” i idziemy do pokoju. Tylko się nie przewróć, kochanie — zawołałam za Agusią, która posłusznie odniosła talerzyk do okienka.

— Powiedziałaś dziękuję? — zapytałam, kiedy wróciła. Przecząco pokręciła głową.

— Nie było pani. Był pan!

— Nie wytrzymał — powiedzieli ludzie, którzy przyszli pomagać mi przy pogrzebie.

— Nie wytrzymał. Najpierw Maria, a teraz to...

Maria to była mama. A co to było to? Nie dowiedziałam się nigdy. Potem nie było o to kogo zapytać, bo gdzieś przepadli ludzie. Tak po prostu, jak kamień w wodę. Telefon zamilkł na długie miesiące. Skrzynka na listy wyła z głodu, ale nikt nie dał jej na pożarcie nic oprócz rachunków.

— Nie wytrzymał. Kiedy odeszła Maria, był silny. Myślał, że wróci. Czekał, przebaczał...

—Jak to wróci? — wtrąciłam się przez nikogo nie zauważana. Jak mogła wrócić? Przecież ona umarła.

— Nie, dziecko — powiedziała jakaś pani, pan, ktoś, kogo już nie pamiętam z twarzy. — Twoja mama nie umarła, ona tylko odeszła, żeby się puszczać z różnymi facetami. To była zwykła kurwa, a twój tata tak strasznie ją kochał.

Tego dnia w jakiś sposób umarli oboje. Ona dokładniej, bo starannie pielęgnowany mit o matce, która umarła, która kochała mnie nad życie i która leżała gdzieś tam na jakimś zapomnianym cmentarzu, także odszedł.

— To była zwykła kurwa, a twój tata tak strasznie ją kochał. Ją tak, mnie nie. Właściwie mogłam jej szukać, tylko nie wiedziałam, po co miałabym to robić?

\*

Postanawiam jak najmniej przejmować się drobiazgami, a to przecież drobiazg. Nie przejmować się, łatwo powiedzieć. Uratujesz świat, ludzie tego nie zauważą, zauważą, że masz zakurzone buty. Powiedziała dziękuję, nie powiedziała dziękuję. To niemający znaczenia drobiazg. Ktoś pomyśli, że jest niewychowana? A niech sobie myśli!

— Mogę? — Mała wyciągnęła zza pleców brudną rękę, w której dzierżyła kawałek kielbasy z cebulą, która właśnie była na śniadanie.

— Co możesz, kochanie? — Udawałam, że nie rozumiem, ale i tak wiedziałam, o co chodzi mojej rozkochanej w zwierzętach córce.

— Zapytaj pana.

— Nie — odmówiła i broda zaczęła jej delikatnie drżeć. Wiem, zaraz się rozplącze.

— Mogę? — zapytała jeszcze raz.

— Możesz, możesz — odpowiedział wcale niepytany mężczyzna, jakby wiedział, o co chodzi. — Misiek to łasuch. Uwielbia kiełbasę. Ta, którą mu dałaś wcześniej, też mu smakowała.

A więc widział. Nie widział, a wiedział.

Nagle gdzieś poza mną moja córka weszła w komitywę z tym ślepym jasnowidzem, jak go w głowie nazwałam. Rozumieją się, jakby się znali od lat, jakby nie istniał dystans, a co najważniejsze, jakby się go nie bała.

Poczułam coś na kształt zazdrości i żalu. Nie zawiści, a za-zdrości, i nie o siebie, a o niego. Dlaczego to nie jest Michał? Dlaczego? Dlaczego obcy mężczyzna umiał znaleźć z Agusią wspólny język, a jej własny ojciec nawet nie próbował z nią rozmawiać?

— Ale zaraz umyjesz rączki — upewniłam się, chcąc mieć w tym wszystkim coś do powiedzenia. Złudne to coś, ale od zawsze byłam przyzwyczajona, że posiadam nad nią całkowitą kontrolę.

Tak jak ojciec miał kontrolę nade mną. Byliśmy tylko we dwoje. On decydował, co jemy, co robimy, gdzie idziemy, co mam włożyć na szkolną zabawę. Zrezygnował?

— Nie wytrzymał. Czego nie wytrzymał?

Po wypadku żył jeszcze sześć dni. Nie po tym, jak się powiesił, wtedy już nie żył. Sześć dni po tamtym wypadku na kopalni. Zył, ale jakby przygasał. A może powoli przygasał. A może zdarzyło się coś jeszcze?

A może po prostu przestał mnie kochać? Przestał mnie kochać i zostawił jak psa samopas. Jak psa, na poniewierkę. Jak psa.

Co potem? Potem już właściwie nic. Na chwilę zabrano mnie do domu dziecka. Na chwilę. Dosłownie. Na rok, miesiąc i dwa-dzieścia dwa dni. W tym czasie zabrano mi mieszkanie.

Meble, drobiazgi, wszystkie nasze cenne i mniej cenne drobiazgi zginęły gdzieś w zawierusze. Nie odnalazłam już nigdy niczego. Pewnie walały się po nieznanym mi śmietnikach pozbawione sensu i treści.

Zabrałam tylko kilka ubrań.

— Ależ tak, oczywiście, że wrócisz... Nikt tam cię nie będzie Trzymał. Masz już swoje lata.

Wróciłam także na chwilę. Po roku, miesiącu i dwudziestu dwóch dniach. Nie było po co wracać. W moim pokoju, którego okna wychodziły na ulicę, mieszkała już inna córka, z innym ojcem, z innymi meblami, zabawkami, drobiazgami, które jakby nigdy nic zajęły moje miejsce.

\*

Wróciłyśmy do pokoju. Nieprawda. Dworzec nam nie wystarczył, ale nie chciałam mu nic mówić. Pokażę małej Krupówki, Dolinę Chochołowską, może wjedziemy na

Kasprowy...

Musiałam nadrobić stracony czas. Na ile to się jeszcze dało. Nadrobić i wypełnić ten, który mam, który jeszcze miałyśmy, jeszcze. Bo przecież nie miałyśmy go zbyt wiele.

Nagle świat zrobił się biały od śniegu.

Powietrze nasyciły białe strzępy spadające z nieba, wirujące tumany bieli, cud nad cudami. Zakopane ubrało się w białe szaty na nasze powitanie. To pięknie z jego strony.

— Patrz, patrz, córciu! Śnieg pada! Pierwszy śnieg! Stałyśmy koło balkonowego okna obie wpatrzone w to białe

szaleństwo za oknami. Wszystko stawało się piękniejsze.

Więc miałam odejść i zostawić ją samą? Na poniewierkę? Jak bezpańskiego psa?

Nigdy!

Śnieg jakby się nie spieszył, opadał białymi płatami na ciemne drzewa, na szare ulice i na wszystko dookoła. Był wszędzie, wirował, podrywał się, zawracał i kłębił.

Ubrałyśmy się na cebulkę, która pożarła prawie wszystkie nasze ubrania.

— No to gdzie dzisiaj idziemy? — zapytałam, aby pokazać, że Aga też w tym wszystkim się Uczy, a nie jest bezwolną kukłą ciągniętą za rękę tam, gdzie idą inni.

— Do Misia — odpowiedziała zdrajczynie bez zmrużenia oka. — Do Misia.

Pukanie do drzwi zaskoczyło mnie. Wiele razy, w czasach, kiedy na nie czekałam, po prostu go nie było, a tu? Jest. Nieczekane, niechciane. Niepotrzebne. Ktoś zapukał do mnie w tym nowym świecie? Po co? Nikomu nie jesteśmy potrzebne.

— Kto tam? — krzyknęła mała i pobiegła otworzyć. W drzwiach stał Janusz z psem.

Chciałam uciekać. To nie był normalny człowiek. Na pewno nie. To mógł być morderca, zboczeniec, psychopata... Normalni zawsze jakoś mnie omijali.

— Jadę ze znajomym na Krupówki, może was podwieźć? Co wy na to, dziewczyny? Misiek też jedzie! — powiedział tak swobodnie, że trudno było odmówić. Mała zresztą nie dała mi możliwości wyboru.

— Tak! Tak! Tak! — krzyknęła z zachwytem, a ja nie miałam już nic do powiedzenia. Na Krupówki jest niedaleko, najwyżej godzina spacerem, po co nas podwozić? Nie rozumiem, ale skoro taki grzeczny...

I była jeszcze inna kobieta. O niej też rozpisywała się prasa. Robili wywiady, programy telewizyjne. Ona też zabiła. Też własne dziecko. Syna. I też ją złapano. „Magdalena K. z zimną krwią...”

„Z zimną krwią”, dudnił telewizor. Z zimną krwią? Zastanawiałam się, co oni wygadywali, z jaką zimną krwią? A nawet gdyby, to skąd oni, ci z telewizji, mogliby o tym wiedzieć? Przecież oni się pasą na ludzkim nieszczęściu!

Jakiś reporter puszył się, robiąc całkowicie poważną minę, przechadzał się z mikrofonem to tu, to tam, podtykając go, komu popadnie. To miał być głos lokalnego społeczeństwa. Czyli tych, którzy ją znali.

„A jak państwo zareagowali na wiadomość...” Mikrofon wędrował z ust do ust i

„państwo" mówili, jakie to straszne, jak ich to zaskoczyło, jak bardzo byli wstrząśnięci... O tak. Byli wstrząśnięci.

„Nic nie zapowiadało tragedii..."

Nie... Z pewnością nie. Mali zakłamaní ludzie udawali, że nie, nic nie widzieli, nic nie słyszeli, nic. Wtłoczyli się w najlepsze ubrania i uczucia, żeby jak najlepiej wypaść, bo będzie telewizja. Już zapomnieli, co było. Zapomnieli, jak chodziła od domu do domu, prosząc o pomoc? Zapomnieli, jak schodzili jej z drogi, bojąc się, że ich zaczepi. Nie, nic nie zapowiadało tragedii. Nic!

A ten dzielnicowy, ten sołtys, ten ksiądz...

„Czy ksiądz widział, co się dzieje z tą kobietą..."

I miejscowy proboszcz też dodał swoje trzy grosze, jak to się zdziwił i zmartwił. On, który troszczył się tylko o dach nad kościołem, teraz udawał, że gdyby wiedział, gdyby widział, to by zareagował. Jasne, tak jak wtedy, kiedy nie dopuścił jej syna do pierwszej komunii? Bo co? Bo sparaliżowany? Bo niedorozwinięty? Bo nie mówi? I ważne było tylko, czy odróżniał dobro od zła, chleb od chleba. On, który nigdy niczego od niczego nie odróżnił.

Nie odróżniał dobra od zła? A skąd ten ksiądz mógł o tym wiedzieć? Nigdy się nawet do dziecka nie uśmiechnął! Nie umiał się wypowiedzieć? A z czego? Całe życie spędził na wózku sam na sam ze sobą, to z czego miał się spowiadać?

Ale tu nie chodziło ani o dobro i zło, ani o spowiedź, tu chodziło o tego chłopca.

Chcieli, żeby go zamknąć w czterech ścianach, żeby go ukryć i żeby się go wstydzić. Kaleka — to takie nieeleganckie. I jak miałyby to wyglądać? Podczas pięknej uroczystości?

I nikt go nie traktował jak człowieka. Nawet jak psa go nie traktowano, bo psa czasami się pogłaska, każe mu się aportować, rzuci mu się kość.

Więc sprawiła, że zniknął. Sprawiała, że nikt już nie musiał na niego patrzeć, tak po prostu. Przecież tego właśnie chcieli!

## ROZDZIAŁ V

Nienawidzę ludzi, którzy nagle stają na progu mojego życia i chcą, żebym ich wpuściła. Nienawidzę natrętnych pytań, pytających spojrzeń. A czy ona w ogóle chodzi do szkoły, a mąż to pewnie zajęty...

Nienawidzę opowiadać wszystkiego od początku, od końca, od środka, nienawidzę. Nienawidzę ludzi. Gdzie oni byli, kiedy ich potrzebowałam? Teraz, kiedy doskonale się bez nich obchodzę, zjawiają się nagle bezczelni i pytający.

Nie są mi do niczego potrzebni.

Nie było ich, kiedy się cieszyłam, że Aga zrobiła pierwszy krok.

— Zaczyna chodzić? Dopiero?

Nie było ich, kiedy powiedziała „mama".

— A mój wnuczek to całymi zdaniemí...

Nie było ich, nigdy i nigdzie. Więc niech ich nie będzie i teraz. Nie cierpiałam. Nie, to nie było cierpienie, to tylko pustka, do której przecież trzeba się przyzwyczaić. A trudno, więc boli, ale nie pustka i nie to, że trzeba, nie, to tylko to przyzwyczajanie

się boli.

Przyzwyczajanie się do tylu nieoczekiwanych rzeczy. Że nie będzie jak inne, że będą ją wytykać palcami, że nie poradzi sobie sama w życiu.

Przyzwyczajanie się, że nie będzie mówiła pełnymi zdaniami i nawet nie wolno tego od niej wymagać. Że, że, że...

Może byłoby łatwiej we dwoje. Może gdyby Michał. Może byłoby lepiej, ale nie było.

Może byłoby łatwiej, gdyby ktoś pochwalił, pocieszył, powiedział, że warto, że trzeba, że jakoś to będzie...

Nie było nikogo, więc radziłyśmy sobie same. Teraz też nikogo nie chcę. Nie chcę.

Niech się wypchają ze swoją uczynnością, nawet jeżeli są uczynni, ze swoją troskliwością, nawet jeżeli ich troska jest szczerą, niech się wypchają ze swoją przyjaźnią... Za późno.

W przyjaźń zresztą nie wierzę. Za późno!

Mam zaledwie trzy miesiące. Najwyżej trzy miesiące. Cały ten czas oddam córce.

Nie będę go trwonić na jakichś ludzi!

\*

Wyszliśmy przed pensjonat i zaczęłam rozumieć. Powiedział, że jedzie ze znajomym na Krupówki? Ale czym? Tego nie powiedział. Saniami! Nie jestem zachwycona.

Nie, wcale, nawet mnie to nie bawi. Nieprawda... To nic takiego!

— Koń — krzyknęła mała na cały głos, a Janusz roześmiał się, sama nie wiem z czego.

— Koń... — wydukałam, gramoląc się do sań. — Ale czy pan... czy ty wiesz, jak to koszmarnie drogo kosztuje? Mnie nie stać na takie luksusy, zresztą staram się nie przyzwyczajać małej do zbędnych wydatków. Wiesz, ile oni sobie liczą?

— Wiem, wiem — usiadł obok mnie — to szwagier. Po co ma pusto jechać? I już nie wiedziałam, czy płakać z radości czy ze złości. Głupie sanie. Czemu mnie tak głupio zachwyciły? Szwagier, nie szwagier, ubrany w kozuch, powoził całkiem niezłe i wcale nie wybierał najkrótszej drogi. Mała łapała do buzi płatki wirującego śniegu.

Ukradkiem podtykała swoją rękę pod psi pysk. Udawała, że tylko poprawia kozaczki. I do tego jeszcze ten cholerny pies. Po co ma się do niego przyzwyczajać? I tak nigdy nie będzie miała psa! Nigdy!

\*

W domu dziecka byłam krótko i niepotrzebnie. Mogli mnie przecież zostawić w domu, ale nie chcieli. Za to zaraz potem, gdy skończyłam osiemnaście lat, za rok, miesiąc i dwadzieścia dwa dni, zaraz potem już mogli mnie wyrzucić na bruk. I mogli, i chcieli.

W domu dziecka też była taka dziwna dziewczynka. Krótko potem zabrali ją do adopcji. Jeździła na niezgrabnym wózku, z głową przekrzywioną raz na jeden, raz na drugi bok. Z ust bezustannie ciekła jej ślina.

Tak bardzo jej nienawidziłyśmy!



Dlaczego? Nic nam przecież nie zrobiła. Nawet nie mogła zrobić. Zamiast mówić, wydawała takie dziwne pokręcone dźwięki, które nas przerażały, więc dlaczego? Bo była inna, a wszystko co inne, nieznanne, budzi strach, i jeszcze dlatego, że była od nas gorsza, od nas, najgorszych. I nikt się nad nią nie litował. Kradliśmy jej zabawki i patrzyliśmy jak wyje. I śmiałyśmy się...

Dzieci są okrutne. Nawet te siedemnastoletnie, które już dawno powinny przestać być dziećmi. Ludzie są okrutni, nie tylko dzieci, a ta mała miała coś, czego nie miałyśmy my. Coś, co mimo wszystko czyniło ją lepszą, coś, czego jej zazdrościłyśmy.

Zawsze ktoś z nią był. Zawsze jedna z wychowawczyń trzymała ją za rękę, mówiła do niej takie miłe słowa... A potem to ona została adoptowana. Ona, a nie któraś z nich, bo ja nie wchodziłam już w rachubę, czego trochę im zazdrościłam. To było takie nieoczekiwane. Drugi tata, druga mama i wszystko od nowa. I ta dziewczynka właśnie to dostała. Dostała nowych rodziców, nowy dom, nowe życie. Nowy świat. Nikt nie rozumiał, co do niej mówili ci ludzie, którzy do niej przyjeżdżali. Ona na pewno też nie, ale byli tacy piękni. Mieli taki piękny samochód. I te kolorowe zabawki...

— Dziewczynki, gdzie jest ten brązowy miś, którego przywieźli jej rodzice?! Wychowawczynie, mówiła „jej rodzice”, a brązowy miś leżał poszarpany w piaskownicy.

— Proszę się przyznać! Która go wzięła?

Nie pamiętam, która go wzięła. Wszystkie byłyśmy w zмовie przeciw temu misiowi. Był taki ładny i taki jej. Trzeba go było zniszczyć.

Ty wiesz coś na ten temat?

Oczywiście, każda z nas wiedziała coś na ten temat. Może tylko potem w życiu ja na ten temat dowiedziałam się więcej. O wiele za dużo.

Brązowy miś, który dokonał żywota poszarpany w piaskownicy, zemścił się o wiele za mocno.

\*

Czas się zatrzymał na mgnienie oka. W ciszy padającego śniegu widziałam trzy odcienie bieli. Góry, domy i drzewa, wszystko białe, wszystko cudne, wszystko zatrzymane na chwilę w mgiełce czasu. Właściwie dlaczego nie? Mogę przecież przez chwilę być troszkę szczęśliwa. Pozwoliłam sobie na tę chwilę. Wiem, że odpokutuję to bardzo ciężko, ale nie byłam w stanie oprzeć się magii, która z niej płynęła.

Zakopane nagle było zupełnie inne. Nagle już nie pamiętałam burego dworca, brudnych peronów, brzydkich budynków. Nagle wszystko stało się zadziwiające. Zadziwiające, to właściwe słowo.

Siedział naprzeciw mnie. Patrzyłam na niego. Mogłam go obserwować, nie będąc widziana. Luksus. Był wysoki, w sumie jeszcze szczupły, ale pod płaszczem okrągli! mu się brzuszek.

Prawo wieku.

Ile miał lat?

Może tyle, co ja, może odrobinę więcej. Pomyślałam o sobie jako o kobiecie. Nie

matce, nie człowieku, a kobiecie. Nie udało mi się to zupełnie.

Janusz miał przepiękne włosy. Falowały mu wokół głowy. Gdyby nałożył ciemne okulary, byłby piękny.

Okulary zasłoniłyby te dziwne rozedrgane oczy, byłby... Byłby bardzo przystojny. Miasto karmiło mnie coraz piękniejszymi widokami. De-likatne odczucie czegoś w rodzaju ekstazy podrywało mi duszę do lotu, ale sama chwilę potem sprowadzałam ją na ziemię. To co, że piękne? Nie dla nas. Nie dla mnie. Możemy sobie pozwolić na wiele luksusów. Bycie razem, spacer, zachwyty, ale na litość boską, nie wolno nam się zakochać... w niczym, nawet w mieście.

Pieniądze wzięłam z konta. Ukradłam. Wzięłam, konto było wspólne, więc mogłam, nie ukradłam, ale wzięłam. Nie zabrałam wszystkiego. Dwadzieścia pięć tysięcy. O Boże, jak on tam mnie wyzywa!

Wzięłam, ale to była kradzież. Konto było niby wspólne, pieniądze niby też. Niby. Bo co innego się mówi, a co innego się wie. Nigdy by nie pozwolił, abym je wzięła. Więc musiałam je ukraść.

Dużo. Zabraknie mu na nowy samochód. Będzie strasznie

Będzie? Był. Był i jest. Jest wściekły. Krzyczy...Tylko że mnie to już nie dotyczy. Ani mnie, ani mój.

Kiedy ojca zabrano z domu, okazało się, że nie ma chleba. I to była nagła tragedia, która mnie przerosła. Bo nie było chleba. Pomyślałam, że trzeba kupić, i nagle zdałam sobie sprawę, że nie mam pieniędzy, a jeżeli nawet mam, to nie wiem, gdzie są.

Stałam pośrodku kuchni nieprzygotowana do życia. Zostawił mnie jak psa.

Michał i ja byliśmy całkiem zwykłymi ludźmi. Niespecjalnie zdolni, ale też nie gorsi od innych. Zwyczajny chłopak, zwyczajna dziewczyna, u mnie pod kruchą maską zwyczajności było jeszcze coś, inna, ciemniejsza, strachliwsza strona medalu, inna, ciemniejsza strona duszy. U niego też i choć wiedzieliśmy, że nie wszystko

strona d  
złoto, co się świeci, patrzyliśmy na siebie oczami, które widziały tylko to, co z wierzchu.

Nie byliśmy specjalnie zakochani. Żadnych drzeń, żadnych łez, żadnych cudów.

Wyglądało, że dobrze będzie nam razem iść przez życie, a w każdym razie, że lepiej niż samemu. A w każdym razie nie gorzej. Nie gorzej. Może gdybyśmy wiedzieli wówczas to, czego nauczyliśmy się przez te lata, może gdybyśmy wiedzieli sami o sobie i o drugim choć cień prawdy, choć okruszek jej cienia, nie zdecydowalibyśmy się być razem.

Ani on, ani ja.

Ani on, bo właściwie nie było mu ze mną dobrze. Nie tego chciał, nie tego dla niego chciała jego matka. Nie był ze mną szczęśliwy. Za cenę sakramentu dostał sprzątaczkę, kucharkę i służącą. Miłości chciał ode mnie tylko na samym początku, potem już nawet o niej nie pamiętał.

Ani ja, bo właściwie chciałam przyjaciela, z którym łatwiej byłoby pokonywać trudności, przyjaciela, któremu można po-wierzać tajemnice, i te przeszłe, i te przyszłe.

Boja tak naprawdę nie umiałam być żoną. Nie umiałam być partnerką, umiałam tylko być do posługi.

Ugotuj obiad, posprzątaj...

— Synu, czas się ożenić — powiedziała jego matka. — Niedomagam, pora, żeby ktoś inny zaczął prać twoje skar-petki.

— Synu... Ja już nie mam siły sprzątać, gotować, prać, ożeń się.

Tak właśnie. Sakrament służącej. Nie małżeństwa, a służącej. Taki właśnie przyjął, nie wiedząc oczywiście o tym, ale wcale mi to nie przeszkadzało, nie to.

Łatwiej prać skarpetki przyjaciela, niż gotować obiad wrogowi. A może nie wrogowi. Nie było między nami wielkich słów, nawet nie kłóciliśmy się o wielkie sprawy.

My nawet się nie kłóciliśmy.

— Zamknij pysk— mówił, kiedy chciałam mu coś powiedzieć. — Nie widzisz, że oglądam?

— Zamknij pysk— mówił, kiedy chciałam mu coś powiedzieć.

— Nie widzisz, że śpię?

— Zamknij pysk — mówił, kiedy chciałam mu coś powiedzieć. .

— Nie widzisz, że jem?

I wszystko było dobrym pretekstem, żeby zamknąć mi pysk.

To nawet nie była nienawiść. Bo nienawiść byłaby mimo wszystko czymś godnym, nie, to było coś... z jego strony na pewno pogarda, a z mojej?

Nie traktował mnie źle. Nie. On tylko w taki właśnie sposób wyobrażał sobie nasze wspólne życie... Wychowany przez matkę, nie przez ojca, ale przez matkę, nie miał szacunku do kobiety? Dlaczego?

Bo matka to matka. To nie kobieta... To ideał. Inne nie są godne być nawet jej cieniem. Chyba dobrze go wychowała.

Staliśmy się małżeństwem, bo przecież byłam w ciąży... i to małżeństwo każdemu z nas w jakiś sposób odpowiadało. Albo miało odpowiadać. W wyobraźni przecież to nie tak miało wy-głądać.

I tak ładnie to brzmiało. Państwo Hanna i Michał Otwoccy. Ładne nazwisko, takie miejskie. Michał był dumny z tej podwójnej litery na wizytówce na drzwiach.

— Otwoccy — bardzo piękne nazwisko — takie... szla-checkie...

Nazwisko jak każde inne, raczej nie szlacheckie, ale mnie także się podobało.

Wyobrażaliśmy sobie, że to małżeństwo ma szansę. Bo chyba miało, zresztą, kto wie?

Michał winy upatrywał tylko w Agatce. Wszystkie nieszczęścia świata to była ona.

— Widzisz? Widzisz, do czego doprowadziłaś? Że wstydzę się zapraszać przyjaciół do domu. Że siedzisz całymi dniami, nie zarabiasz... Nie pracujesz... Nic, a

jeść to proszę bardzo...

■—Widzisz, do czego doprowadziłaś? Ze na ulicy mnie palcami wytykają! Że śmieją się za moimi plecami! Bo Agatka była winna wszystkiemu.

— To tutaj — powiedział Janusz, kiedy dojechaliśmy na Krupówki. — To piękne miejsce i tyle tu można zobaczyć. Rozejrzyjcie się.

Obawiałam się, że zechce nam towarzyszyć, kradnąc ten piękny czas, który przeznaczyłam dla córki, jednak dyskretnie się oddalił, tylko oczy Agusi biegły w jego kierunku, ale to nie na niego patrzyła, a na pięknego owczarka, który prowadził go powoli, godnie, jakby do tego właśnie został stworzony.

Puchaty ogon zamiatał delikatnie śnieg, rozdeptany już, zbłocony, zmięty stopami spacerowiczów. Dopiero teraz naprawdę dostrzegłam ten wszechogarniający tłum.

Ludzie przelewali się w tę i z powrotem brzegami ulicy jakby ustawieni w gigantycznej kolorowej kolejce. Nie przepychali się. Nawet się nie spieszyli.

Włączyłyśmy się w kolejkę pod górę, oglądając wystawy i wystawki, kolorowe stragany, szyldy, nazwy restauracji.

— Pani, łoscypek pani kupi — zaczęła mnie jakaś tęga kobieta przy małym stoliku. — Dobry.

—■ Nie, dziękuję — odpowiedziałam, nie wiem czemu zła.

Usiłowałam stworzyć małej idealny świat wśród ludzi, ale jak zawsze bez nich.

Niech istnieje choć przez chwilę, potem będzie mogła zabrać ze sobą choć jego wspomnienie, ona, która nie ma wspomnień.

Nie dlatego że ich nie umie zapamiętać, ale dlatego że ich nie ma. Nie było.

Szczególnie tych pięknych nie ma. Po to tu przyjechałyśmy, żeby było ich choć kilka.

— No i co? Podoba ci się? — zapytałam córeczkę, która bezwolnie szła za mną ciągnięta za rękę.

— Tak — odpowiedziała, a ja nie byłam pewna, czy przytakuje z przyzwyczajenia, czy też rzeczywiście widzi jakieś piękno w tej wędrowce.

— Może napijemy się herbatki — kusiałam ją, chcąc się schować w jakiejś knajpce przed zimnem. Tablice z cenami wystawione

na zewnątrz nie przytłaczały, i to nie tylko dlatego że miałam jeszcze prawie dwadzieścia pięć tysięcy.

To nie były nawet wygórowane ceny. Dziesięć złotych, osiem złotych, dwanaście złotych...

Mogłybyśmy wejść do jednej z tych kawiarenek, usiąść jak prawdziwe turystki...

Mała nie dała się skusić, ale nie dlatego że nie chciała herbaty; ona nie lubi niczego nowego, a wejście do kawiarni byłoby czymś nowym. Nie nalegałam, mogłam przecież poczekać, zrobimy to jutro, pojutrze, kiedyś. Mamy czas. Czas... to bardzo względne mieć czas.

Kiedyś. To słowo ma już inny wymiar teraz, tu i po tym, co się stało. Nie jest tak obszerne i nie znaczy tyle, co dawniej.

Bo nie za rok, za dziesięć lat, ale za dwa dni, za miesiąc, jutro.

„Kiedyś” przybliżyło się i okroiło, ale jeszcze było, aż pewnego dnia pęknie i zniknie. Ale to jeszcze było przed nami. Jeszcze miałyśmy czas.

Wróciłyśmy drugą stroną. Biżuteria, restauracja, kawiarnia, sklep za cztery złote.

Mała je uwielbia, te sklepy z niczym. Bo można tu kupić każde nic, nawet najbardziej nieznaczące nic, i to każde za cztery złote, i każde tak kolorowe, tak tandetne i tak dziecięco piękne, że aż strach tam wchodzić.

Ale weszliśmy tam, a kiedy wchodzimy do takiego sklepu, rozpalają się jej oczy. Bo tam może mieć wszystko. I to na lewo, i to na prawo. Kubek z białego plastiku i latarkę, która nie będzie działać, i zegarek w kształcie delfina. Wszystko.

I nawet jeżeli to niepotrzebne, to może to mieć.

— Oszalałaś? Nową kurtkę? Po co jej nowa kurtka? Chyba ci się w głowie pomieszało! Nie ma mowy! — Michał nie widział potrzeby, aby mała posiadała takie luksusy jak kurtka czy buty.

Co to znaczy być dobrym? Czy dobro to coś namacalnego? Jakiś zbiór praw, według których jest się lub nie jest się dobrym? Czy dobro to uśmiech? Gest? Czy dobro jest fizyczne?

Nigdy nie umiałam rozgraniczyć, czym jest to osławione dobro. Czy brak agresji jest już dobrem? A czy złe słowo sprawia, że dobrym się nie jest?

Czy ja jestem dobra czy zła? Kiedyś powiedziałam do Agatki coś bardzo złego. I za chwilę zrobię coś złego. Czy można zrobić coś złego w imię dobra?

Powiedziałam: Obyś się była nie urodziła!

Nawet nie wiem, czy by zrozumiała, gdybym powiedziała to głośno. Nie powiedziałam tego, dlatego że mi przeszkadzała. Nie powiedziałam tego, dlatego że było mi ciężko, nie, powiedziałam to, mając na myśli ją samą.

Aga była lalką. Prześliczną lalką. Można ją było przewijać i prze-bierać, pieścić i nosić na rękach, można było czesać, kąpać...

Kiedy była maleńka, nie różniła się niczym od innych dzieci. Prawie niczym. Miała wszystko na swoim miejscu, rączki, nóżki, wielkie czarne oczy, miała nawet śliczne kręcone włosy. Takie, jakie ja zawsze chciałam mieć.

Kiedy była maleńka, nie różniła się niczym od innych dzieci.

Potem różniła się coraz bardziej. Coraz bardziej... I coraz bardziej to było widać. I słychać.

\*

Zeszliśmy niżej i nagle, nie wiem czemu, kamienny budynek poczty zaczął mnie kusić. Nie wiem czemu. Wiem czemu. Wiem i nie wiem. Zawsze chciałam być normalna, zawsze chciałam, żeby było dobrze, żeby Michał i ja, żeby razem, żeby dalej, łatwiej... I chociaż lata pokazały mi, że to niemożliwe, gdzieś w głowie zawsze dążyłam do tej normalności. Może zrozumie? Może się zmieni?

Uzależniłam się od niego jak alkoholiczka. Żebrałam o każdy uśmiech, o nic nieznaczące słowa, które sprawiłyby, że dzień byłby lepszy, że noc mniej samotna, że życie... Bo ono tak szybko ucieka...

Nigdy się nie udało. Nie, nie rzuciłabym mu się na szyję, nie wybaczyłabym mu tego, co niewybaczalne, ani tego, co wy-baczalne, ale spróbowalibyśmy razem, pomalutku iść dalej. Iść dalej, ciągnąć ten los, który właśnie nam został przeznaczony, i byłoby

łatwiej.

Powiedzieć: tak się martwię, i nie usłyszeć:

— To przestań się martwić, idiotko!

Zapytać: co będzie dalej? Co się stanie kiedyś, kiedy?... I nie usłyszeć:

— A gówno mnie to obchodzi!

Zadzwoić i wrócić. Ale nie do tamtego życia, tylko do tego, które mogło być.

Zadzwoić, wrócić i nie musieć jej zabijać. Postanowiłam, że zadzwonię do Michała.

Już trzymałam w ręku ciężką słuchawkę. Przegrałam z własnym niezdecydowaniem.

— Tu Hanka — wydukałam na głosne „słucham” Michała, który właściwie natychmiast podniósł słuchawkę.

— Słyszę. Sama jesteś?

— Z Agatką — odpowiedziałam, choć wiedziałam, co on chciał usłyszeć: że to, co zrobiłam, to pomyłka, że owszem, jestem sama, wracam. Już się jej pozbyłam.

Nie!

Bo przecież to, czego ode mnie żądał, w pewnym sensie było wykonalne. Obiecywał za to dobre życie. Wystarczyło oddać Agatę. Nie! Nie! Nigdy!

— Możesz wrócić, ale sama! — warknął w słuchawkę. — I oddaj mi moje pieniądze, ty...

Ty... Jak to łatwo powiedzieć, a jak trudno się tego słucha. Mogłabym wrócić. Bzdura. Mogłabym wrócić, łaskawie przyjąłby mnie do domu, owszem, jeśli pozbyłabym się malej.

— Słyszysz?! — głos Michała nigdy nie należał do najprzyjemniejszych. — Bez tego możesz się nie pokazywać! Decyduj się! No! Na ile ci starczą te pieniądze?! Co? Na ile? Nie dłużej niż na rok! Zresztą rok? Co ja gadam?! Kilka miesięcy! Nie więcej! Potem pójdziesz pod most! Pod most! Razem z nią!

— Pójdę do pracy — skłamałam w żywe oczy. To akurat było właściwie niewykonalne. Ani kiedyś, ani teraz. Agatka nie należy do dzieci, które wyrastają z dzieciństwa. Ale on znał lepszą odpowiedź na własne pytanie. Lepszą dla niego, dla mnie bardziej upokarzającą.

— Ty?! Ty pójdziesz do pracy? A co ty umiesz?! Co? Gówno, nic! A poza tym... kto się będzie zajmował... — tu padło jeszcze kilka bardzo brzydkich słów — a poza tym przecież niedługo zdechniesz!

Zimny pot wystąpił mi na czoło. Michał za dobrze mnie znał. Potrafił ranić słowami jak nożem. Wkrótce zdechnę.

Zapomniał, że poznaliśmy się na studiach, zapomniał, że skończyłam filologię romańską. Łatwo było zapomnieć, bo nigdy nie pracowałam.

Łatwo było zapomnieć, ale on wiedział, że dziecko zawsze było dla mnie najważniejsze.

— To nie jest dziecko! Gdyby to chociaż było dziecko! — powtarzał zawsze, kiedy przytaczałam ten argument, że dziecko, że nie pójdzie do żadnego zakładu, że jej nie oddam!

— To nie jest dziecko! Gdyby chociaż to było dziecko! O to tylko umieliśmy się kłócić, o dziecko...

— Kocham ją — odpowiadałam z płaczem.

— A kochaj ją sobie! Kochaj! Za to, że zmarnowała ci życie, za to, że nie można

się z nią na ulicy pokazać, za to, że... zresztą, możesz kochać, co chcesz, nawet tego chwasta! Twoja sprawa!

On jej nie pokochał. Nigdy. Nigdy nie rozumiałam, jak mu się to udało. Bo Agatka była bardzo wdzięczna. Śmieszna. Zabawna. Kochana... Więc albo się bardzo starał jej nie pokochać, tak na wszelki wypadek, albo... Albo był złym człowiekiem. Może zresztą i jedno, i drugie?

— Chcesz powiedzieć tatusiowi „dzień dobry”? — Podałam małej słuchawkę, ale ona odsunęła się ze strachem i zaczęła krzyczeć.

— Eeeeeeee — krzyczała, a ludzie zaczęli się za nią oglądać.

— Eeeeeee.

Odłożyłam słuchawkę, nie słuchając szeleszczących w niej jeszcze słów Michała. Mała uspokoiła się powoli. Wyszliśmy z ogromnej, szarej, ponurej i chyba brudnej sali poczty, brodząc po kostki w śniegowym błocie, naniesionym przez ludzi. Odwróciliśmy się w lewo i nagle jak na dłoni, w oddali, zza jakiejś dziwnej mgły wyłoniła się Gubałówka.

— Patrz, jakie to piękne — zawołałam zachwycona do Agi.

— Patrz, tam, prosto, widzisz nadajnik?

— Taki biały i czerwony?

Stok Gubałówki nie całkiem jeszcze pobielony śniegiem odsłaniał gdzieś zieleń świerków.

To było piękne, śpiewało coś we mnie, w środku. Po drugiej stronie szła kobieta z dzieckiem, objadając się goframi z bitą śmietaną. Już chciałam pójść w tamtym kierunku, kiedy przypomniałam sobie, że nie lubię słodczy.

Pamiętam, w domu dziecka na podwieczorek dawano nam przeterminowane cukierki, które jakiś przedsiębiorca zgodził się łaskawie odpisać od podatku jako darowiznę.

To było dobre dla obu stron. Od przeterminowanych cukierków jeszcze nikt nigdy nie umarł, a w końcu to były cukierki, a on był dobroczyńcą, myślę, że to miłe uczucie.

I była taka dziewczyna. Była tam jeszcze krócej ode mnie. Po kilku miesiącach zabrano ją do poprawczaka za znęcanie się, kradzieże i wymuszenia. Była wielka jak szafa. Miała ogromną, kwadratową twarz i zawsze zabierała nam słodczy. Najgorzej było, kiedy na podwieczorek był ryż z jabłkami.

Do dziś pamiętam jego smak, był tak dobry, że trudno opisać, a ona go nam zabierała. Nikt nic nie widział. Żadna z wychowawczyń.

— Zjadłyście już podwieczorek? — pytały, nie patrząc na żadną z nas, a my skwapliwie przytakiwałyśmy. Tylko tamta dziewczyna z ustami pełnymi ryżu krzyczała:

— Jeszczeee nieee!

Coś w niej gulgotało, kiedy tak pożerała wszystko naraz, sapała, a z ust raz po raz spadały jej na stół resztki słodkiej śmietany... Potem zlizywała je ze stołu.

To było tak straszne uczucie, patrzeć, jak niesprawiedliwie pożera nasz ryż, że pewnego dnia postanowiłam, że nie lubię słodczy, i przestałam lubić ryż, przeterminowane cukierki, słone paluszki czy cokolwiek nam dawano. Przestałam, tak jednego dnia. I do dziś nie lubię słodczy.

Nie lubię ich chyba z żalu.

Żal to uczucie, które zagnieżdża się w duszy przy pierwszej małej niesprawiedliwości. Jakakolwiek by była. Oddaj mu tę zabawkę, przecież jesteś starsza. Postaraj się, musisz być mądrzejszy. Wszystkie takie słowa wypowiedane zbyt często do dzieci, przez zapracowanych rodziców. Powinnaś ustąpić. Musisz zrozumieć... Musisz zrozumieć, nie mamy pieniędzy, a ty niczego nie chcesz zrozumieć. Nie chcesz być starsza, starszy, nie chcesz ustępować jeszcze raz, i jeszcze raz, bo, bo, bo...

\*

— Patrz! Owieczek! — krzyknęła nagle mała. Obok nas przechodził suchy, smutny góral z chudą i jeszcze bardziej smutną owcą. Nie miałam aparatu fotograficznego, żeby zrobić choć jedno zdjęcie, ale właściwie nie było czego żałować. Mogłabym je obejrzeć raz... może dwa. Mogłabym je wysłać Michałowi, ale on po prostu by je wyrzucił. Ja nie mogłabym ich zabrać, więc utrwalanie chwil pozostała w pamięci. To może się udać.

\*

Wróciłyśmy zmęczone, czerwone od mrozu, zadowolone do pensjonatu. W pokoju mała zaczęła płakać, piekły ją ręce. Wcześniej tak rzadko wychodziła na dwór. Bałam się jej płaczu. Tak bardzo chciałam ją zrozumieć, wejść do jej umysłu i zobaczyć, jak tam jest, jak ona widzi świat, może wtedy coś bym zrozumiała. Teraz i od zawsze błędę na oślep, nie wiedząc, czego chce, czego potrzebuje, o czym marzy... Bo chyba marzy?

\*

Michał mnie nie rozpieszczał. Po zakupach resztę i paragon oddawałam teściowej, a ona wyliczała, czy na pewno ich nie okradłam. Sprawdzała, co kupiłam.

— Takie drogie masło? Co ty sobie myślisz? To nie łaska było pojechać na targ? Albo nawet piechotą pójść? Stąd to zaledwie trzy kilometry.

Czasami chciałam kupić małej coś zupełnie zbędnego. Grę planszową. Lalę, jakąś małą głupotkę, która by ją rozśmieszyła, rozbawiła, a może nawet zainteresowała. I mówiłam wtedy Michałowi, że jest taka lalka. Taniutka, prawie za darmo, że dzień dziecka się zbliża, że mogłabym kupić.

— Zastanowię się — odpowiadał i się zastanawiał. Do teraz się zastanawia. Więc chciałam mieć własne pieniądze. Niewielkie, ale własne. Nie mogłam o nie prosić Michała, więc prosiłam Boga.

— Pięćdziesiąt złotych — prosiłam Go. — Daj mi zarobić pięćdziesiąt złotych. Tylko pięćdziesiąt, nie sto, nie milion, nie chcę być bogata, chcę tylko pięćdziesiąt złotych. Kupiłabym małej chipsy, tak bardzo by się ucieszyła. I którąś z tych niewiarygodnie drogie edukacyjnych zabawek albo komputer... Komputera oczywiście bym nie kupiła, za drogi, ale...

Pieniądze, które mi dawał mój domowy bóg, wystarczały na jedzenie. Ledwie wystarczały.



— Pampersy? Oszalałaś! Mowy nie ma. Masz ręce, to pierz, a jak ci się nie chce, to niech chodzi zasrana.

Więc prosiłam Boga, nie domowego, ale tego tam, gdzieś, który podobno widzi i słyszy wszystko. Prosiłam o pięćdziesiąt złotych.

Tak fajnie byłoby pójść do sklepu i powiedzieć: Wybieraj. Bogactwo, pięćdziesiąt złotych, ale On się nie kwapił. Nie chciałam ani znaleźć, ani ukraść, chciałam je tylko zarobić, pięćdziesiąt złotych miesięcznie. Dla małej. Nie kupiłabym za to ani kremu do rąk, ani książek, ani wódki, tylko coś dla małej. Nie kupiłabym nawet rajstop, po co? Ze zimno?

Kupiłabym jej zabawkę. Misia.

Nie słyszał.

## ROZDZIAŁ VI

Zeszłam na dziesięć złotych, tak, masz rację, to za dużo na takie dziecko i na taką matkę. Za dużo, to niech będzie dziesięć. Ale nie było.

Wysyłałam próbki tłumaczeń do różnych wydawnictw, przepisywałam je na znalezionej w piwnicy maszynie, w której brakowało litery „r”, którą potem starannie dopisywałam ręcznie.

Wysyłałam próbki tłumaczeń do różnych wydawnictw, ale nie odpowiedziało mi żadne.

Raz kiedyś ogrom szczęścia zwałił się na mnie, a potem odszedł. Zaproponowano mi tłumaczenie tekstu. Pięć stron. Boże! Zarobię ze sto złotych, zawołało we mnie, i już zaczęłam je wydawać. W myślach. Pokój małej zaludnił się zabawkami, jakie tylko mogłam sobie wyobrazić. Zeby się uczyła, żeby oswajała się z życiem, bo przecież kiedyś...

Kiedyś, kiedy mnie nie będzie...

Przetłumaczyłam, odesłałam. Nadzieja gasła powoli. Dzień, dwa, tydzień, miesiąc. Jeszcze sobie mówiłam: nie martw się, głupia, sto złotych to cała fura pieniędzy, będzie dobrze, jeszcze sama siebie mamiłam, że przecież mnie nie okradną, Bóg by na to nie pozwolił, przecież to On ma monopol na znęcanie się nade mną. A jednak pozwolił. Nadzieja w końcu zgasła. Nie miała innego wyjścia. Nikt nie przysłał mi pieniędzy.

Potem było tak jeszcze kilka razy. Może trzy, może cztery.

Za każdym razem Bóg spokojnie na to pozwalał. Raz pieniądze dostałam, ale zabrał je Michał.

— Hu... — chuchnął głośno i włożył moje pięćdziesiąt złotych do kieszeni. — Nareszcie zarobiłaś choć trochę na swoje żarcie...

— Hu... — i już ich nie było.

Mogłam zrozumieć, prawo silniejszego. Z Bogiem także było to samo. On był silniejszy i nie pomogły ani modły, ani błaganie, a przecież nie błagałam o cud... Nie prosiłam: Napraw ją, Panie... Nie prosiłam, niech wyzdrowieje, ja tylko chciałam, żeby żyła choć trochę bardziej po ludzku.

Ale jego to po prostu nie obchodziło. Ani jednego, ani drugiego.

Boże! Co ja takiego Ci uczyniłam? Co Ci zrobiłam złego, że na każdym kroku ranisz

mnie i zabijasz? Czego ode mnie chcesz? Czego?

Nie starczy Ci, że żyję w tym domu, niekochana, smutna, ubezwłasnowolniona, że przez każdą minutę życia powtarzam sobie pytanie, co będzie? Co będzie, kiedy mnie nie będzie? I nie zadaję sobie tego pytania z próżności! Ja nie wiem, co będzie z nią, nie ze światem!

Dlaczego mi to robisz?! Dlaczego mnie?

Nie pytałam, dlaczego to właśnie moja córka... Nie pytałam, bo pomyślałam: Boski plan... Boski plan? Co to za plan, w którym nie ma nawet odrobiny szczęścia?

Dla innych, owszem. Jest szczęście, pieniądze, dom, miłość, zdrowie... I oczy dzieci, które rozumieją. Wiedzą. Które pewnego dnia urosną i odejdą, odejdą z domu na swoje, na szczęście. A ja? Co Ci zawiniłam, Sprawiedliwy, że tak niesprawiedliwie mnie karzesz?

Dziesięć złotych. Proszę. Niech będzie dziesięć.

Ale jak zwykle był głuchy. Wszyscy wokoło byli głusi.

Michał tylko się popukał w czoło.

— Nie mam pieniędzy, idiotko — powiedział. A co powie-dział, było święte.

Teściowa tylko wrzuszała ramionami.

— Po co? Przecież to i tak nic nie da! A Bóg? On tylko nie odpowiadał.

\*

Czasami mała opowiadała mi swoje sny, bo czasami opowia-dała, „opowiadała” to zresztą za duże słowo, kilka słów, to nie jest opowiadanie.

— Śnił mi się Miś — mówiła ni z tego, ni z owego, tak właśnie jak to zawsze ona. Jakby wędrówka jej myśli szła zupełnie in-nymi torami niż moje myśli, niż myśli innych ludzi, i nigdy nie umiałam zrozumieć, dlaczego mówiła coś właśnie w takiej, a nie innej chwili.

Czasem kiedy opowiadała mi swoje sny, wydawało mi się, że jesteśmy od siebie tak różne, że żadne porozumienie nie jest możliwe. Mnie nie śniły się ani psy, ani misie, nie śniło mi się nic miłego, tylko puste czarne przestrzenie, stare suche drzewa i głosy.

Ona była inna. Jej skrót myślowe były jak wędrówka w sied-miomilowych butach. Ale ja właściwie ją rozumiałam. Może nie tak, jakbym chciała, ale jednak rozumiałam. Inni nie. Inni nawet się nie starali, bo po co?

\*

—Wrzeszczy pić — zawiadomiła mnie teściowa, kiedy właśnie z zakupami wchodziłam do mieszkania. Nie było mnie tylko dziesięć minut.

— Wrzeszczy pić.

Nie zrobiła jej herbaty, nie dała wody, nie uspokoiła. Siedziała przed telewizorem nastawionym na cały regulator.

— Zrób coś, żeby nie wrzeszczała — rozkazała, jakby to było takie proste. Krzyk monotony i chrapliwy zapowiadał coś złego.

Weszłam do pokoju. Jeszcze teraz nie potrafię zrozumieć dlaczego... To, co zobaczyłam, ogłuszyło mnie. Chyba... Na pewno...

— Jezus Maria! — wybiegłam oszalała. —Jak on mógł?!

— Czego wrzeszczysz? — teściowa wzruszyła ramionami. ■ — Przesadzasz! Dziewucha to dziewczyna, o co ci chodzi?

— Mamo?!

— No! Tylko nie takim tonem! Tylko nie takim tonem! Przybłądo! I zamknij się, bo oglądam dziennik!

— Ale...

— Zamknij się, powiedziałam! Nie ona pierwsza, nie ostatnia, niech choć do tego się nada!

— Ale to jego własna...

— Gówno, nie jego własna! Też mi coś!

Więc się zamknęłam. Wtedy jeszcze wydawało mi się, że sama to wymyśliłam... Ze to moja chora wyobraźnia... Zresztą jego nawet chyba nie było w domu.

— Co znowu dziwaczysz? No? Co znowu?! — ■ zapytała takim tonem, że wydało mi się, że niemożliwe, przecież może nie była dobra, nie była miła, ale nie była też strasznie zła, miała chyba jakieś sumienie?

A jeżeli nie?

\*

— Tu był duch — powiedziała mała, wracając z ubikacji. — Patrz, co przyniósł. Poddała mi całkiem nową rolkę papieru toaletowego.

— Nie, córeczko... To nie duch. To taka pani...

— Był duch — powiedziała twardo i wskazała na klucz tkwiący w drzwiach. — Przeszedł przez ścianę. O!

I co miałam zrobić? Wytłumaczyć czy pozwolić jej wierzyć, że duchy istnieją? Nie nauczę jej religii. Nawet gdybym chciała. Nie nauczę. Ona po prostu nie zrozumie. Wie, co to Bozia. Tylko tyle, więc może zostawić jej te duchy, dziwy, krasnoludki... Czary dzieciństwa, które odeszły z mojego dzieciństwa o wiele za wcześniej.

\*

Stałam w holu uczelni, kiedy po raz pierwszy spotkałam Michała. On anglista, ja romanistka. Wydawało się, że pasowa—liśmy do siebie. Wydawało się, że coś nas łączy albo choć może łączyć.

i

Nadzieja. Przereklamowany towar. Ktoś powie, że trudno bez niej żyć, że nie można, a co, kiedy trzeba? Bo Bogu nawet i tego dla mnie zabrakło. Nadziei.

Bo na co miałam mieć nadzieję? Nie na to, że wszystko się ułoży. Bo to nawet nie było możliwe. Nie na to, że kiedyś za—cznie mnie kochać albo choćby szanować, albo tylko traktować jak człowieka. Tak po prostu. OK, nie kochamy się, musimy żyć razem, dobra, niech chociaż żyje nam się spokojniej. Nie to, że jestem żoną w majestacie prawa. Prawa, tego ludzkiego i tego Boskiego. Nie. Nawet sakrament niewiele tu zmieniał, nie, że jestem matką, bo co to za matka, jeżeli dziecko...

— To nawet nie jest dziecko...

Nie mogłam mieć nadziei, że wyzdrowieje. Ze jej to przejdzie, cokolwiek to jest. To

tak jakby mieć nadzieję, że odrośnie odrąbana ręka. Nie mogłam mieć nadziei, że będę żyła spokojnie, że ładny pokoik, ładna kuchenka i jakoś tam, ciasno, ale własno, wesoło i żeby w nocy nikt się nie awanturował. Na to też nie mogłam mieć nadziei. Wtedy miałam nadzieję tylko na to cholerne pięćdziesiąt złotych... Innym to nie wystarcza, ale mnie by wystarczyło, nawet jeżeli apetyt rośnie w miarę jedzenia, nawet jeżeli uśmiech dziecka...

— Przeklany towar...

Myślałam, że zarobię to pięćdziesiąt złotych, i przez krótki czas miałam nadzieję. Uczucie, które rozświetla życie, ale jakim kosztem? Kiedy gaśnie, robi się jeszcze ciemniej i to, co dotąd zaledwie drażniło, zabija.

— Nadzieja? Powinni tego zabronić!

Więc to tak już będzie? Pada pytanie, które przychodzi zaraz potem. Zawsze? I nigdy już, nigdy nic? Nigdy już inaczej? Tak do końca? Jakikolwiek byłby ten koniec, bo w moim przypadku nawet śmierć nie oznaczała końca.

Tak. Zawsze i nigdy, już nigdy nic.

I wtedy wypadaloby się powiesić. Podciąć sobie żyły i wyrwać je z korzeniami, żeby już nigdy, ale to nigdy ani odrobina życia nie zwracała ci głowy. Tylko co z małą? Bóg odebrał mi też luksus samobójstwa, bo co? Co będzie z nią? Kto ją pogłaska po głowie, kto powie: Kocham cię, kotku; kto będzie pamiętał, że od szpinaku dostaje torsji...

Tylko po co to pamiętać? Nie ona pierwsza, nie ostatnia, no i oczywiście nie jedyna. Nieważne? Nieważne. To wszystko jest nieważne. JEST nieważne dla wszystkich oprócz niej i mnie.

Więc kto?

Nadzieja. Co za cudne i zarazem straszne uczucie, chyba nawet bardziej straszne... Można by bez niej żyć. Można by, ale tylko wtedy, kiedy nie pozna się jej smaku. Potem już nic nie smakuje, nie tak jak dawniej. W ogóle.

Więc po co było mnie stwarzać? Żeby z rozkoszą napawać się moim cierpieniem? Moim i jej?

\*

Małe drobinki szczęścia zaczęły powoli, delikatnie wdzierać się do mojej świadomości. Mała też już je czuła, już poddała się urokowi chwil, miejsc i zdarzeń, trochę bezwolnie i nieświadomie. Ja poddałam się im świadomie i z rozmysłem. Chciałam je czuć.

Nie potrzebuję już złudzeń. O niczym nie marzę. To stan ducha, który pozwala cieszyć się wszystkim. Szczęście z odzysku. Sama je odzyskałam.

Bo co to jest szczęście? Mała chwila, ledwie chwila, moment, w którym coś sprawia, że w duszy pojawia się to właśnie uczucie. Wszystko może je zepsuć, zniszczyć, zagłuszyć.

— No, czego się cieszysz, idiotko — powtarzał mi Michał, kiedy tylko wdział, jak uśmiechałam się do dziecka.

— No, czego się cieszysz, idiotko! Powinnaś płakać! Czy ty nie zdajesz sobie sprawy, jak to potem będzie?

Potem. A jak było przedtem?

Zdawałam sobie sprawę. Ze wszystkiego. Z przerażającą oczywistością. Nie chciałam tylko martwić się na zapas. Nie chciałam psuć tych nielicznych chwil, kiedy mała i ja, leżąc na podłodze, śmiałyśmy się nie wiadomo dlaczego, robiłyśmy bańki mydlane albo tarzałyśmy się w tę i z powrotem.

Bo myślenie o tym, co potem, nigdy mi nie służyło. Nie mogłam sobie na nie pozwalać. Nie przy małej.

Starałam się wejść do jej świata i choć trochę ją zrozumieć. Starałam się poznać ją od środka. Zobaczyć, co ją bawi, śmieszy, interesuje...

— Interesuje? Ty chyba oszalałaś? Jej nic nie interesuje! Nie interesuje, bo jest tępa! Tępa jak...

Potem padało jakieś określenie tępoty. Tłuk, młotek, noga stołowa, but.

To nie było zabawne. To nie było zabawne, bo to nie miało być zabawne, miało ranić i raniło. Kontrola nad moim stanem duszy.

Michał zawsze lubił mieć nad wszystkim kontrolę. Lubił rządzić myślami, uczuciami, emocjami. Był wyrocznią, drzewem wiadomości dobrego i złego.

— Zostaw ją, podaj mi obiad! — powtarzał raz na jakiś czas, chcąc za wszelką cenę oderwać mnie od dziecka. — Gary nie-umyte! Pranie niezrobione!

— Zostaw ją i nie śmieć się jak kretynka!

Bo dla niego zajmowanie się małą było stratą czasu. Nie interesowały go ani pierwsze kroki, ani pierwsze z trudem wypowiedziane słowa.

A przecież na nią czekał. Kiedyś przecież czekał.

— Nie! Nie na nią! Czekałem na dziecko! Na normalne dziecko! — krzyczał, kiedy usiłowałam przebić ten jego pancerz, kiedy usiłowałam mu wytłumaczyć, że pokochać nic nie kosztuje, że od głaskania nikt się jeszcze nie zaraził, ale on nie chciał.

A przecież na nią czekał. Czekał, choć rzeczywiście nie na nią. Czekał na dziecko.

Czekał tyle miesięcy. Kiedy czasami sobie wypił odrobinę, głaskał mnie po brzuchu i powtarzał wielkie słowa. O nowym życiu, o misji, o miłości... O Bogu.

Te jego słowa zgasły zaraz na początku, kiedy lekarz wypowiedział tamte słowa.

Nie okrutne, nie delikatne i nie wyważone. Ot. Słowa jak słowa. Ich znaczenie zmieniło świat.

Dziecko powinno zmieniać świat. Dziecko zmienia wszystkich i wszystko dookoła.

Taka jest jego rola. Z rozwydrzonej dzierlatki czyni matkę, z domu rodzinę, ze starszej, zgryźliwej kobiety czułą babcie. Dziecko ma taką władzę. Każde dziecko.

Takie dziecko jak mała zmienia świat jeszcze bardziej, tylko nie ma w nim miejsca na czułą babcie, na rodzinę, na ojca, na dom, na szczęście, może nie zawsze, ale przerażająco często...

Nagle wszystko okazuje się kruche i zawodne. Dom, rodzina, świat. Wtedy, kiedy właśnie trzeba siły. Wtedy, kiedy właśnie trzeba miłości.

I z jednej strony nie ma już nic, pusta wypalona od środka skorupa, która szeleści na zewnątrz fałszywymi słowami fałszywych przyjaciół.

— Takie nieszczęście, takie nieszczęście — a to tylko dziecko... Takie nieszczęście, takie nieszczęście.

I serce zamiera na ustach wobec zimnych oczu i ciekawskich spojrzeń.

— Nie, nie... Na spacer? Zwariowałaś! Z nią?! A idź sobie sama! Nie mam zamiaru pokazywać się ludziom z czymś takim!

—Jestem bardzo zajęty... Ty wiesz, jaka to odpowiedzialność?

—Jestem bardzo zajęty. Ty oczywiście nie pracujesz, to cóż ty możesz wiedzieć? No? Co? Na pewno nie zdajesz sobie sprawy, co to jest odpowiedzialność za młodzież. Jak łatwo jest brać odpowiedzialność za kogoś obcego.

— A wiesz, że ten mały jest naprawdę zdolny?

Ten mały to jeden z jego uczniów. Za niego jest odpowiedzialny.

Ja, nauczyciel. Tylko gdzie ja, ojciec?

\*

Piaskownica pustoszeje, wszystkie ławki są nagle za bardzo ocienione, szczególnie tam, gdzie chciałyby się przysiąść.

Wtedy nagle wszyscy muszą się przenieść o dwie ławki dalej i nie próbuj za nimi iść, bo będą musieli iść jeszcze dalej. Nie nadążysz.

Na początku jest jeszcze jako tako.

Głęboki wózek zakrywa wszelkie widoczne oznaki. Czego? Czegokolwiek, co można określić innością.

I wszystko jest prawie tak, jak powinno być, tylko one, matki innych dzieci, opowiadają, że tamta dziewczynka już siada, tamten chłopiec już gaworzy, tamto dziecko powiedziało „mama”, a ty nie masz co powiedzieć, bo nie siada, nie gaworzy, nie mówi „mama”.

Doskonała lalka okazuje się niedoskonała.

Im szybciej płynie czas tam, tym szybciej życie zaczyna przepływać obok.

Inność rozrasta się i gnieździ coraz bardziej w twoim wózku, w twoim dziecku, w twojej i ich świadomości i nagle wokoło pustka.

Zostajesz tylko ty i ono. Dwie doskonale samotne istoty zdane na siebie i na innych.

Tak bardzo na innych.

Do inności można się przyzwyczaić. Można się cieszyć wszystkim, nawet tym, że zaczyna wreszcie siadać, w wieku czterech lat, a nie czterech miesięcy, że powiedziała „mama”, choć o wiele za późno, ale ta pustka wokoło, ten chłód... Ta niepewność.

W głowie kłębią się wciąż te same myśli. Co będzie potem? Co będzie potem, kiedy...

Kiedyś? Jak będzie żyła, z kim, za co?

Jak to będzie, kiedy mnie już nie będzie? I kiedy to będzie? Za rok? Za dwadzieścia lat? Jutro?

I trzeba te myśli odganiać, jak najbardziej skutecznie. Bo one zabijają każdą drobinę szczęścia, która niechcący wniknie do duszy i usiłuje udawać nadzieje, a nadziei przecież nie ma. Nie wolno na nią liczyć i to chyba jest najstraszniejsze.

Więc trzeba pracować, sprzątać, kopać skopany już trzy razy trawnik przed blokiem, żeby zmęczenie odgoniło niechciane myśli.

A wieczorem trzeba się pilnować szczególnie mocno. Wieczorem, kiedy zasypia się w zimnym, pustym, obcym łóżku własnego męża, trzeba bardzo się starać, żeby nie myśleć.

To łóżko, tu w Zakopanem, też było obce, zimne i puste, ale nie bolało. Ono takie

właśnie miało być, więc nie bolało, że nie było ciepłego ramienia, które otula cię niepewnym gestem nocą, że nikt nie powie: dobranoc, kochanie, że tylu ludzi przede mną i tyłu po mnie. Tu to normalne.

Tutaj nawet ta obcość jest wspaniała. Nie czekać na nic, nie marzyć o niczym. Brać życie takie, jakie jest, i nie musieć już myśleć o tym, co potem.

Drobiny szczęścia, które wraz ze śmiechem małej wdzierają się do świadomości, mają do pokonania tyle złych myśli, tyle smutku, straconych nadziei, tych marzeń, które nigdy się nie spełnią, więc nabrały posmaku piołunu, a jednak są. Cieszą, rozpalają mi duszę na moment, na chwilę, na jeden szczery uśmiech.

I tu, gdzie nie miałyśmy nic do zrobienia, nic do zabawy, nic, co by mogło nas zająć, nagle miałyśmy tyle do odkrycia.

\*

Naprawdę chciałam zarobić te pieniądze. Tak bardzo, że aż musiałam je ukraść.

\*

Mała siedziała na dywanie i bawiła się właśnie kupionymi zabawkami, były takie piękne, nowe i jej własne. Nie było żadnego: nie zepsuj, nie było żadnego: uważaj, nie było: nie pobrudź. Mogła z nimi robić, co chciała, ja wpatrywałam się w nią i wsłuchiwałam w siebie. Chciałam jeszcze raz usłyszeć wszystkie wątpliwości,

óre we mnie tkwiły, wszystkie za i przeciw, usłyszeć, zważyć, ierzyć i zrobić to, co postanowiłam.

\*

Było nas dwoje. Ojciec i ja. Dwoje, żeby na siebie liczyć, dwoje, eby razem pokonywać przeciwności losu, dwoje, żeby mieć się a kim oprzeć.

Było nas tylko dwoje, bo tak się złożyło, że Maria odeszła. Zdezerterował. Odszedł, zostawiając mnie samą, zanim jeszcze doroślałam, zanim kupiłam chleb, zanim zorientowałam się, ak się zarabia pieniądze. I zanim zdążyłam wyjaśnić wszystkie e rzeczy, które powinny zostać wyjaśnione, bo chyba kiedyś by i powiedział o Marii. Może kiedyś by się przyznał, że ten grób o tylko mistyfikacja, że prawdziwa Maria istnieje, ale inaczej, że ę stworzył dla mnie, żebym miała matkę, jeżeli nie naprawdę, o chociaż we wspomnieniach. Tylko na co czekał?

\*

Nie poddałam się od razu. Nie. Nie pogodziłam się. To nie akie proste. Wtedy jeszcze była jakaś nadzieja. To coś, co każe 'erzyć, marzyć i czekać. Jest złudna, oszukańcza, nieprawdziwa, upia i bezsensowna, ale jest.

— Dwudziesty wiek — mówiłam sobie, Michałowi, wszystkim. Dwudziesty wiek, wiecie, co oni teraz potrafią? Wszystko! szystko. Są leki na takie choroby, że się wam wszystkim nie niło!

Tak mamiałam się nadzieją. Oni już od razu wiedzieli, że to eprawda.

— Dwudziesty wiek! — przekonywałam sama siebie. Lekarze wizyta po wizycie

odbierali mi po odrobinie nadziei,  
e ona wciąż odradzała się jak Feniks z popiołów, mamała, obie-ała, kołysała do snu.  
Będzie dobrze. Przecież musi być dobrze, przecież Bóg... Bóg...

Wszelkie frazesy, jakoś to będzie, przecież tak nie może być, przecież coś da się  
zrobić, kołysały mnie do snu razem z nią, ale dzień po dniu coraz bledsze.

Nie pogodziłam się od razu.

— Oni musieli się pomylić — powiedziałam z taką wiarą, że nawet Michał przez  
chwilę dał się omamić. — Na pewno. Musieli. Patrz, jaka ona śliczna. Musieli się  
pomylić...

Nie pomylili się.

Nie wiem, co jeszcze mu powiedzieli. Nie wiem, kiedy i jak mu to powiedzieli, ale to  
zmieniło wszystko.

Od kiedy uwierzył, że jego córka jest nienormalna, nie był już tym, kim był, ani tym,  
kim powinien być.

— Upośledzona?

— Ale przecież to nie koniec świata! Wszystkie dzieci trzeba kochać...

— Zaraz, zaraz? Jak to upośledzona?!

To jedno wypowiedziane przeze mnie słowo starło — jak gumka ślad ołówka —  
wszelką miłość, która się dla niej rysowała w jego sercu. Nie mogła być wielka, bo  
wystarczyło jedno słowo, nie mogła być trwała, ale... Choćby najmniejsza, powinna  
była przetrwać. Jeżeli nie miłość, to litość, zrozumienie, cokolwiek, a nie przetrwało  
nic.

— Upośledzona?

Coraz częściej odwracał od niej głowę, coraz częściej powtarzał, że nie, nie jego, na  
pewno się puściłam, bo inaczej...

— Upośledzona? Nie. Nie jego!

Nie od razu się poddałam. Nie od razu uwierzyłam. W miarę jednak jak medycyna  
okazywała się bezskuteczna, w miarę jak traciłam wiarę w kolejnych lekarzy,  
musiałam przyjmować oczywistość.

— Upośledzona.

I w miarę tych wizyt skreślałam z listy marzeń kolejne, coraz mniej ważne, moje, ale  
jednak dotyczące mojej córki.

Nie, nie pójdzie do najlepszego liceum, nie odkryje szczepionki przeciw nienawiści,  
nie napisze książki.

— Książki? Przecież ona nawet nie będzie w stanie nauczyć się czytać!

— Wiesz, nigdy nic nie wiadomo...

— Wiadomo!

Nigdy nie będzie taka jak inne. Nigdy. Nigdy... I tego nigdy było już tak wiele, że  
wolałam myśleć o tym, co kiedyś. Kiedyś nauczy się chodzić... Boże! Kiedyś nauczy  
się mówić, nie całymi zdaniem, ale się nauczy. Może nauczy się...

Te marzenia wcale nie były najważniejsze, a jednak kiedy się ich pozbywałam,  
odczuwałam stratę. Były takie piękne.

Następne, które musiałam skreślić, były może zwyczajne, ale bolały o wiele bardziej.

Nie będzie miała przyjaciół, nie przeżyje wielkiej miłości, nie znajdzie dobrej,  
ciekawej pracy, nie założy rodziny.



Marzenia, cóż, można bez nich żyć, ale kiedy znikają, pozostawiają po sobie pustkę, w tej pustce zaczynają gnieździć się lęki.

Bo co, jak nie będzie miała przyjaciół? Będzie sama w czterech ścianach, wpatrzona w telewizor... Miłość? Praca? Rodzina?... Co się z nią stanie kiedyś? Kiedyś, kiedy mnie już nie będzie?

Jak sobie da radę? Co będzie jadła? Jak zapracuje na siebie? Przecież nie... Nie... Nie...

Zdrowy rozsądek odgania te lęki z coraz mniejszym skutkiem. Bo wraz z dzieckiem rosną i one. Po co o tym myśleć? I tak niczego nie wymyślę.

Nie od razu uwierzyłam. Myślałam, to niemożliwe. Życie nie jest takie okrutne. Nie paliłam, nie piłam, nie brałam narkotyków, nigdy w życiu, więc dlaczego?

A Bóg? To nie dość już mnie doświadczył? Musiał jeszcze i to? Że Hiob? Nie chcę być żadnym cholernym Hiobem, niech uratuje moje dziecko!

Bo dlaczego ja? Dlaczego? Odpowiedzi nie ma. Te, co piły, rodzą zdrowie dzieci, a ja? Dlaczego? Gdzie jest odpowiedź?

Nie, że to niesprawiedliwe, ale dlaczego?! Co ja Mu zawiśniłam?

— Upośledzona? — niesmak w oczach teściowej. — Mówiłam, że trzeba to było wyskrobać...

— Upośledzona? — niesmak w oczach Michała. W oczach, w ruchach, w gestach.

— Wyjdź stąd! Nie widzisz, że oglądam telewizję?

Może gdyby pozwolił mi mieć drugie dziecko, ale nie. Dzieci były ściśle wyliczone.

Na kartki. Za karę nie mogłam urodzić drugiego ani trzeciego.

To tak, jakby mówił:

— Za to, co zrobiłaś, musisz zostać ukarana.

I żadnych dzieci, a mogły być przecież normalne. Mogły ją pokochać, może się nią zaopiekować? Kiedyś?

— A jeżeli nie? A jeżeli znowu urodzisz jakiegoś potworka? W życiu się nie zgodzę! W życiu!

W tym względzie i teściowa miała coś do powiedzenia. Tylko nie ja.

— Lepiej by dla niej było, gdyby umarła — tak powiedzieli oboje, zaraz potem, kiedy zachorowała tak ciężko, zaraz potem kiedy już wyzdrowiała.

Zaraz potem, kiedy słaniając się na nogach po kilku nieprzespanych nocach, powiedziałam, że kryzys minął i będzie żyła.

— Lepiej by było, gdyby umarła. — Ile w tym było zawiedzionej nadziei... Ile żalu... — Lepiej by dla niej było, gdyby umarła...

Dla niej? Być może. Dla nich na pewno!

Dla niej? Dla nich? Dla niego? Żeby mógł zacząć życie od początku i już nigdy nikomu nie musieć się przyznać, że miał dziecko, jakiegokolwiek dziecko. Żeby ona mogła przestać uważać się za starą kobietę, bo przecież wszystkie babcie są stare, żeby nikomu już nie musiała tłumaczyć, że no wiecie, ta mała, no wiecie., no ona jest trochę... no wiecie, nie tego...

Nie tego... to o wiele łatwiej powiedzieć i o wiele łatwiej przyjąć.

Nie tego...

Na „upośledzona” trzeba zareagować jakimś:

— Och, poważnie? Nie widać! No co ty... Albo innym, nie mniej obrzydliwie

kłamliwym:

— Tak? Nie wiedziałam...

Nie wiedziałam. Oplotkowana, obszeptana, obgadana w bloku mała nie ma żadnej tajemnicy, żadnej prywatności, jest jak odarta ze skóry istota, którą można tylko zranić, ale im jeszcze jest mało.

Bo wiedzą wszyscy, nawet ci, z którymi nie rozmawiam, ci z dołu i ci z góry, ci z sąsiedniej klatki i z tamtego osiedla, wiedzą. Patrzą. Obliczają, ile czasu mogą patrzeć w moją stronę, żeby coś jednak zobaczyć, ale żebym się nie zorientowała, że patrzą, albo odwracają głowę, ostentacyjnie pokazując, jacy są porządni, wcale nie ciekawscy, o nie!

Wiedzą, widzą i roztrząsają mój los, moją dolę, moją winę i karę. Bo upośledzone dziecko ma dla nich dwie przyczyny: jest karą, karą od Boga za jakiś straszny, choć ukryty przed ludzkim okiem czyn, albo winą.

— Ona na pewno zachlewała się w trupa, bo inaczej...

— Albo to jakaś lekomanka czy co?

I rozpatrują, kto jest bardziej winny i kto jest bardziej biedny. Bo biedny ten facet, jakby sobie inną żonę wziął, to by było co innego, biedna ta teściowa, bo to taka porządna rodzina, biedna ta matka...

A ja nie jestem biedna! Wcale! Mam dziecko może o wiele bardziej kochane, może o wiele bardziej moje, może o wiele bardziej wspaniałe, miłe, grzeczne, o wiele bardziej...

Ono tylko nie pasuje do świata. Ono tylko nie będzie umiało przepychać się łokciami, kraść, kłamać, oszukiwać... To dlatego nie pasuje.

— Kochasz tatusia? — grupie pytanie głupiej plotkarki powraca śmiechem.

Śmiechem, tak, bo wtedy chciało mi się śmiać. Po co zadawała takie głupie pytanie?

— Kochasz tatusia?

— Nie — odpowiedziała mała.

— E, tylko tak mówisz. Na pewno kochasz...

Po co zadawała takie pytanie? Żeby się zorientować, co się dzieje? A co ją to obchodzi, czy ktoś kogoś kocha? Co ją obchodzi? Jeśli kocha, to jego sprawa, jeżeli nie, jeszcze bardziej. Więc po co?

A mała nie umie kłamać.

Myślałam, że drugie dziecko zapewni Agatce przyszłość, że kiedyś się nią zajmie, że zastąpi mnie, kiedy już...

Nie miałam pewności, że urodzi się normalne, nie wiedziałam też, czy będzie dobre, uczciwe, czy pokocha starszą siostrę. Bo nikt nigdy nie daje żadnej gwarancji.

Dzieci rodzą się bez gwarancji na cokolwiek, ale tak bardzo chciałam. Michał nie chciał.

— Już nie! Już nie! Po tym, co mi zrobiłaś...

Gdzieś w mózgu ułożył sobie wszystko po swojemu. Nie brał pod uwagę faktów.

— Zdradziłaś mnie. Zdradziłaś, nie wiadomo z kim, i dla tego... Bo to — bardzo mocno podkreślił to „to” — to nie może być moje dziecko!

Nie zdradziłam go. Nigdy, nawet wtedy, kiedy nasze życie przypominało poligon, a dom strefę walk. Nigdy. Nie dlatego, że go kochałam. Nie dlatego, że nie pozwalała

mi na to uczciwość, sakramenty, wiara, honor... Nie. Nie zdradziłam go, bo... Bo nawet tego nie umiałam zrobić.

Nie umiałam i nie brałam pod uwagę.

## ROZDZIAŁ VII

Mała na dywanie bawiła się właśnie kupionymi zabawkami, był miś, kilka samochodów, ja wpatrywałam się w nią i wsłuchiwałam w siebie.

Wsłuchiwałam się w siebie, szukając odpowiedzi na to pytanie. Czy mam prawo i do czego mam prawo. Gdzie kończy się moja wolność, a gdzie zaczyna się odpowiedzialność. Mam prawo ją kochać. Obowiązek. Ale czy mam prawo ją zostawić? Czy wolno mi tak po prostu sobie umrzeć, nie troszcząc się

o nią?

Czy wolno mi ją zostawić albo zabrać? Czy moja miłość ma sięgać tylko do tu i teraz, do tego dnia, kiedy już nie dam rady

1 będę musiała? Czy dalej?

Czy mam prawo ją zabić?

Mówią, że tylko Bóg ma prawo zabijać.

Ale ja ją urodziłam. Stworzyłam z jakichś komórek i genów. Powołałam do życia.

Podobna do Boga wydałam na świat. Czy mam prawo się o nią troszczyć, czy też mam obowiązek ją zostawić, porzucić?

Jeżeli ją zabiję, będzie szczęśliwa. Może nie tak zwyczajnie, ale nie będzie głodna, nie będzie bita, nie będzie gwałcona. Nie będzie samotna.

Tylko to mogę lub mogłabym dla niej zrobić. Tylko że tego mi nie wolno. I to w imię czego? W imię godności ludzkiej...

Czy ci bezmyślni ludzie po uszy napakowani sloganami wiedzą, co mówią? To właśnie, że ją zabiję, nada jej życiu znamię godności. Tylko to.

To taki egzamin. Egzamin z dojrzałości. Nie znam odpowiedzi na żadne z pytań, które stawia mi życie. Nie znam i nie poznam, zanim...

Gdybyjeszcze Michał... Ale on się nią nie zaopiekuje. Gdyby ktokolwiek, ale nie ma nikogo.

Pośrodku ludzkiego tłumu stoimy same i staramy się nie zawadzać.

Chciałabym się śmiać, tak jak potrafią się śmiać dzieci i ludzie szczęśliwi, ale chyba nie odnajdę w sobie tej umiejętności, którą straciłam pewnego dnia, w dalekim dzieciństwie, kiedy czarne przestało być czarne, a białe przestało być białe.

Kiedy powierzyć dziecku straszną tajemnicę, wbrew jego woli, ta tajemnica go zabija.

Bo straszne tajemnice mają to do siebie, że ciążą jak kamień u szyi. Mają też to do siebie, że wypełniają wszystko od myśli po zdarzenia i nawet sny są nimi przepełnione.

Pewnego dnia dowiedziałam się, że jestem kobietą. Ta wiedza przeszła mnie fizycznym bólem.

— Ciichooo, bo ojciec przyjdzie, ciiiiiiichooooo — powiedział znajomy ojca, który tego dnia nocował u nas w domu.

I niczego już nie rozumiałam. Ani tajemnicy, ani niczego, co z tym było związane, i

nie rozumiałam, dlaczego on to robi, dlaczego tak sapie...

— Ciichooo, bo ojciec przyjdzie, ciiiiichooooo. Nie rycz. To nic takiego. Tak to po prostu jest.

— Ale to boli...

— Przystanie!

Powiedział, zanim wyszedł. I powiedział, żebym nikomu, ale to absolutnie nikomu, bo i tak nie uwierzą, i tylko wstydu się najem, bo kto to widział, żeby tak bezczelnie kłamać.

Fizyczny ból właściwie minął już na drugi dzień. Tajemnica pozostała. A ja nikomu, ale to absolutnie nikomu, bo i tak nikt by nie uwierzył.

Zawsze się zastanawiam, co by powiedział ojciec, gdybym jednak mu powiedziała. Czy uwierzyłby mi?

Tamtego dnia zebrałam w sobie całą odwagę. Wszystkie siły i wszelkie nadzieje. Raz z tym skończyć. Raz na całe życie. Bo już nie mogłam dłużej go znieść. Śmierdział. Sapał. Był oślizły i ośliniony. I tak bardzo już miałam dosyć, że postanowiłam, że powiem. W końcu, co? Najwyżej ojciec mnie wyśmieję...

Najwyżej, przecież to boli tylko trochę, ten śmiech. Więc miałam wejść i powiedzieć. Ręce miałam spocone, nogi mi się trzęsły, serce siedziało w gardle i utrudniało mi oddychanie, a po plecach płynęła strużka zimnego potu. Bałam się, bo nawet jeżeli to wyśmianie boli tylko trochę, to nawet trochę to za dużo.

Weszłam i już nie mogłam mu nic powiedzieć.

Ojciec powiesił się w sobotę po południu. Była jesień i moje urodziny. Był też wypadek w kopalni i to, co zrobił mi tamten, przestało już mieć znaczenie, bo nikt już nie mógł mnie obronić.

Stchórzył. Stchórzył i odszedł. Zostawił mnie samą jak psa. Samą sam na sam z moją tajemnicą. Z moją już na wieki tajemnicą, bo tylko on mógł mnie z niej wyzwolić.

\*

— Kochanie — powiedziałam do małej, której także pewnego dnia jej własny ojciec powierzył taką samą tajemnicę. — Zjemy obiadek. Dobrze?

Od zawsze byłyśmy jednością, ona i ja. Nie dlatego, że byłyśmy matką i córką. Byłyśmy jednością nie dlatego, że miałyśmy połowę takich samych genów.

— Dobrze — wstała z dywanu i włożyła kaptcie. — Dam Misiowi kotleta!

— Nie! Nie, kochanie — skarciłam ją, nie wiedząc, jak zareagować — Miś ma swoje jedzenie... Nie dasz mu kotleta.

— Nieprawda! Miś nie ma jedzenia. Nie ma nawet talerza — powiedziała bardzo smutnym głosem.

— Dziecko, Miś jest psem! Psy nie jedzą z talerzy!

— Ale musi jeść!

Jak zwykle ucięłam dyskusję jednym słowem.

— Zobaczmy.—To najbezpieczniejsze. Najbezpieczniej jest nie obiecywać, jeżeli nie chce się spełnić obietnicy. Nie obiecywać nawet wtedy, jeżeli jej spełnienie może być możliwe.

Obietnice czasami zaczynają żyć własnym życiem i przestają mieć cokolwiek

wspólnego z tym, czego dotyczyły. Więc lepiej uciąć: zobaczymy.

Bo doświadczenie już mnie nauczyło, że czasami problemy rozwiązują się same. Nie te wielkie, te małe, ale i to dobre. Może nie być kotleta, może nie być Miśka, może nie być obiadu...

I wtedy co?

Tłok. Dostałyśmy zupełnie inny stolik. Problem rozwiązał się sam. Nie było Miśka. Nie było, a może nawet był, ale z perspektywy naszego stolika nie było go widać. Przede mną świdrujące oczy tęgiej kobiety, która na cały głos chwaliła się, że była na Zawracie.

Rozmawiała przeze mnie jak przez ścianę z kimś, kto siedział za mną. Ignorowała nas ostentacyjnie, raz po raz zerkając na małą. Właściwie mi to odpowiadało, więc dlaczego poczułam coś w rodzaju rozdrażnienia? Dlaczego ignorowana przez zupełnie mi nieznaną, a więc nic nieznaczącą dla mnie osobę, czuję się jak śmieć na ulicy?

Rozdrażniło mnie to, że ona zachowywała się tak, jakbym nie istniała. Nie tu i teraz, ale nigdzie i nigdy. Taki kaprys przestrzeni i czasu. Brak. Całkowity brak.

I dzień się skończył. Obiad, po obiedzie nie miałyśmy zamiaru nigdzie już chyba wychodzić. Pokój. Noc za oknem. Grudzień taki właśnie jest. Grudzień, styczeń, luty... Nie wybrałam najlepszego czasu na szczęście. Ja go w ogóle nie wybierałam. Dostałam go i albo w tę, albo w tę trzeba było brać.

I tak dobrze, że było co brać!

Grudzień, styczeń, luty... W innym życiu to mgnienie. W moim punkt ostateczny.

Czy warto być szczęśliwym przed śmiercią? Po co? Zeby potem żałować?

A może warto, bo tam już szczęścia nie ma. Może warto, bo to takie przyjemne. To takie nieoczekiwane. Grudzień, styczeń, luty.

Kiedy umrę? Lekarze mówią, że za trzy miesiące. Góra cztery. Więc kiedy? Może pod koniec lutego? Albo lepiej na początku marca. Marcowe słońce ma zapach wiosny, miło będzie je jeszcze zobaczyć, o ile On na to pozwoli.

Bo ja muszę się pospieszyć i nie dam Mu takiej satysfakcji, sama wybiorę broń i czas. Broń... To nie będzie żadna broń.

ioo

Stanę na brzegu dachu. Zrobię ostatni krok... Zrobimy. Zdam egzamin z dojrzałości, ocenę wystawią mi ludzie... Niedostateczną.

\*

Czy mała się nie nudzi? Czy nie nudzi się tu ze mną, czy nie tęskni za domem, za miastem? Czy to, co uznałam za szczęście dla mnie, jest szczęściem i dla niej?

Usłyszałam pukanie. Tak bardzo mi go zawsze brakowało. Bo pukanie do drzwi to może być sąsiad, to może być listonosz z pieniędzmi za dawno zapomniane tłumaczenie, to może być list, że mała będzie zdrowa... To może być najwspanialszy cud. Może, choć nigdy nie jest, ale już samo to, że może...

Nie może, ale pukanie to magia. Pukanie uświadomiło mi, że za drzwiami stoi świat. Że jest, istnieje i wie, iż istnieję i ja.

Ale tu? Tu może być nawet Michał. Sama taka możliwość mrozi mnie od środka. Tylko nie on!

Z ulgą odkryłam, że przed drzwiami naszego pokoju stał Janusz z psem.

Z ulgą? Z jednej strony nie chciałam, aby ktoś mi się narzucał, z drugiej pragnęłam, aby ktoś wyciągnął mnie na siłę z tej obezwładniającej samotności.

Żeby zauważył moje istnienie i nawet wbrew mojej woli sprawił, że zaczęłabym istnieć. Choć przez chwilę. W jakikolwiek sposób, ale być, istnieć. Czuć.

— Chodźcie, dziewczyny — powiedział w tak naturalny sposób, że nawet nie wzięłam pod uwagę odmowy. — Pojedziemy zobaczyć, jak Krupówki stroją się do świąt.

Zobaczyć? Przebiegło mi przez myśl, że przecież i tak nic nie zobaczy, więc skąd wie?

— Taki dzisiaj był tłok, że zjadłem w kuchni — tłumaczy, jakby wiedział, że na niego czekałyśmy.

— A Miś? — mała jak zwykle martwiła się o psa. Nie wiedziała, że wszystko może odbyć się i poza nią. Nie wiedziała, więc nie wie. Dla niej świat istnieje tylko tam, gdzie istnieje ona.

IOI

— A Miś zjadł w budzie — odpowiedział Janusz. — Nie bój się. Nie zapomniałem go nakarmić. Nigdy nie zapominam.

— Ja też nie zapomniałam — powiedziała mała i z kieszeni spodni wyjęła całkowicie rozgniecionego kotleta. — O! — pokazała tłustą rękę z tłustym kotлетem i spodnie z wielką plamą.

Jak bardzo musiała się przywiązać do tego obcego psa? Czy wolno mi jej pozwalać na takie przywiązywanie się?

Teraz chyba tak. Skoro mamy umrzeć, nie musimy się bać o to, co potem. Nie musimy przejmować się cierpieniem.

Głupcy, którzy boją się śmierci. Po co? Przecież ona wszystko czyni właściwym. Ona napędza świat. Ona oswaja i uwalnia. Tylko ona.

Zycie to tylko stan przejściowy, do którego nie wolno nam się przywiązywać. To stan, który mija z każdym oddechem, z każdą sekundą, ale ludzie myślą, że są nieśmiertelni. I wystarczy jeden rak, żeby wszystko odzyskało właściwe proporcje. Miłość. Nienawiść. Strach. Bo odebrał mi nawet strach, a za strachem przecież nie będę tęsknić.

I już niczego nie muszę się bać. Nie, nie zubożętniałam, ale nic i nikt nie może już mi zrobić krzywdy. Świat odzyskał właściwe rozmiary, a w nim my, dotąd nienaturalnie rozrośnięte, stałyśmy się najzwyczajniej w świecie malutkie. Małe i nic nieznaczące, uczucia, które dotąd pożerały mi duszę, cicho odeszły w kąt.

\*

Na Krupówkach lampiony, ludzie podekscytowani zakupami, choinki, świeczki, bałwanki, czysta komercja, wiem, a jednak dociera do mnie, że idą święta. Pierwsze i

ostatnie. Wszystkie przeszłe się nie liczą, bo trudno je nazwać świętami.

Inne niż dotychczas, ale wreszcie piękne. Gdzie na choince będą zabawki, a nie złote bombki, których nie wolno dotykać, i będą sztuczne świece, które pięknie migają, i wata, która będzie odgrywała śnieg, i jakiś drobny prezent, który też na pewno się znajdzie. I będzie nam wolno zaśpiewać kolędy...

Święta, podczas których nie będę musiała dzielić się opłatkiem z człowiekiem, który na to nie zasługuje, w czysto tradycyjnym goście, w którym nie ma nic z przebaczenia, nic z obietnicy, nic z nadziei.

Że tym razem nie wszystko będzie tak, jak oni tego chcą: nie dawać tej malej opłatka, bo i tak nie wie, co to takiego...

A oni wiedzą. Wiedzą? Może to prawda, że potrafią rozróżniać dobro i zło, ale to nie przeszkadza im go nie rozróżniać.

Adam i Ewa nie odróżniali dobra i zła, dopóki nie zjedli tamtego owocu i już wiedzieli, co dobro, a co zło, wcześniej nie. Wcześniej byli tacy jak Agatka.

— Do komunii? Oszalałaś! Przecież ona jest upośledzona! I może jeszcze w białej sukience? Oszalałaś... Szkoda pieniędzy! Tobie się w głowie popierdoliło!

Może to była tylko tradycja. A może chciałam zobaczyć ją w białej sukni ślubnej, w której nigdy jej nie zobaczę, a może chciałam, żeby była jak inne dzieci?

Nie wiem, czego chciałam. Nie popierdoliło mi się. Nie popierdoliło. Chciałam, żeby traktowali ją jak człowieka...

I ona też chciała.

— Kupisz mi taką sukienkę? Z falbankami? I z wianuszkami? I z torebką?  
Nie kupiłam.

— Kupisz mi takie świecące buciki? I pójdziemy z innymi dziećmi do kościoła? I powiem wierszyk?

Nie poszliśmy.

Owszem. Mogła iść do komunii z innymi dziećmi. Ze swoją klasą. Z całą klasą dzieci tak samo innych jak i ona, jednych bardziej, drugich mniej.

Tylko że...

— Do komunii? Oszalałaś! Przecież ona jest upośledzona! I może jeszcze w białej sukience? Oszalałaś... Szkoda pieniędzy! Tobie się w głowie popierdoliło!

— Patrz, jak pięknie — powiedział Janusz. — Widzisz? Zapytał takim tonem, jakby widzieć to był stan normalny. Dla mnie zresztą może i był. Tak normalny, że aż zapomniany. Tak zwyczajny, że prawie nieużywany.

— A ty skąd wiesz? — zapytałam trochę zła, że odezwał się tak niegrzecznie, o to, o co nie wypadało zapytać, ale pytanie jakimś cudem wyrwało mi się z głowy i z ust, jakbym chciała sprawdzić, czemu on, ten obcy człowiek, udaje takie чудо.

Czemu udaje?!

Bo przecież udaje?

— Skąd wiem? — zapytał i zrobiło mi się przykro za to moje bezczelne pytanie.

— Czuję. Jestem niewidomy, ale czuję... Nie rozumiesz tego? Wiem na przykład, że jesteś piękna — dodaje z delikatnym półśmiechem.

Oblał mnie rumieniec wściekłości. Jak on śmie?! Kto mu dał prawo.

— Nie! Nie jestem piękna — odpowiedziałam wściekła i zażewdziona. — Myślałam, że jesteś normalny, a ty... tani podryw na Krupówki nocą?! Szkoda, myślałam, że jesteś inny...

— Inny, czyli jaki? Bez duszy? Bez serca? Przestań się wściekać! To nie koniec świata, jeden marny komplement, a ty reagujesz, jakbym chciał cię zgwałcić... Fala przerażenia sprawiła, że chwyciłam małą za rękę i pobiegłam prosto przed siebie, jakby mnie ktoś gonił. To nie była rozmowa dla mnie.

— Zaczekaj... — zawołał za mną Janusz. — Zaczekaj, zgubicie się... Nie wiedziałam, co zrobić, stać czy wracać, płakać czy się powstrzymać, bo tylko to wchodziło w grę. Zawładnęła mnie tępa, bezmyślna, zupełnie nieuzasadniona panika. Janusz biegł za nami o wiele za szybko jak na swoje możliwości. Biegł niezdarnie, potykając się, i wyglądał jak okulały nietoperz na lodowisku. Nie chciało mi się śmiać. Nie przepadam za nietoperzami.

— Zaczekaj, do cholery — krzyknął, chcąc nas dogonić. Mała pociągnęła mnie w tył.

— Mamo. Dlaczego? Dlaczego uciekamy?

— Dlatego — pociągnęłam ją za sobą, choć naprawdę nie wiedziałam, co powinnam zrobić. Rzeczywiście. To był tylko głupi komplement, nic strasznego. On nawet nie wie, jak wyglądam. To przecież nic nie znaczyło, a jednak wywołało popłoch w moich myślach i w moim sercu.

Tak samo mówił do mnie tamten mężczyzna... Tuż przed i zaraz po.

— Dobra! OK. Jesteś brzydka jak noc na Galapagos, ale zaczekaj! — zawołał Janusz na cały głos, aż odwróciło się w naszym kierunku kilka zaciekawionych twarzy.

Rozbroiło mnie to do tego stopnia, że już nie mogłam się nie roześmiać.

Dogonił nas, sama nie wiem jakim cudem.

— Jeżeli ci na tym zależy — powiedział zdyszany — to będę ci codziennie powtarzał, że jesteś brzydka, nie wiedziałem, że tak to lubisz! Cholera, masochizm w czystej formie!

Lubię? Może i lubię. Do tego jestem przyzwyczajona. To mnie nie obchodzi, nie dotyka, nie wzrusza, tamto to zupełnie inna historia.

— Wiesz — Janusz dotknął ręką mojego ramienia — myślałem, że jesteś normalna...

Ten niby komplement powalił mnie oczywistością i rozedrgał wewnętrznie.

Normalna. Co to znaczy być normalną?

— Nie! Nie jestem! Nie jestem i mam do tego prawo — powiedziałam trochę jednak urażona. — Nie jestem i nie muszę być!

— Nie o to chodzi. Myślałem, że potrafisz mnie traktować zwyczajnie, tak jak ja bym tego chciał, tak jakby te moje oczy nie były istotą mojego istnienia. Tak się zachowywałaś, ale to... — tu zrobił nieokreślony ruch ręką, jakby chciał coś jeszcze dodać.

Miał rację. Jestem dokładnie taka sama jak wszyscy, którymi tak gardzę. Taka sama, kiedy nie chodzi o moje dziecko, ale choćby o niego.

Taka sama normalnie nienormalna jak inni. Ciekawska, bezczelna i bezduszna.



\*

— Jesteś piękna — mówił tamten mężczyzna. Tak bardzo go za to nienawidziłam. I mówił jeszcze inne okropne rzeczy. Staralam się nie słyszeć, ale słyszałam. Słyszałam i czułam.

I czułam, że to nie jest dobre. Jest w tym zło, ale dałam się złapać w pułapkę tajemnicy. Ze nigdy nikomu, że powie, że sama chciałam, że do cholery sama się o to prosiłam, tak zamiatałam dupą, że aż oczy wylaziły, a poza tym to i tak nikt mi nie uwierzy.

Bo gdyby po tamtym pierwszym razie... To może jeszcze, ale teraz?

— Oooo. Jesteś piękna... — to było straszne.

Michał nigdy tak do mnie nie mówił, choć od niego pewnie bym chciała to usłyszeć, i to też w jakiś sposób było straszne.

Nie odczarował przeszłości, dlatego przeszłość żyje we mnie wciąż tak jak wtedy. Dzień po dniu, noc po nocy. Przyszłości nie ma. Nie ma na nią we mnie miejsca.

\*

Najpierw chodziłam po lekarzach z naiwnością tych wszystkich matek, które w głowie mają tylko jedną myśl.

— Przecież coś da się zrobić? Jakiegokolwiek, małe „coś”?

— Przecież „coś” da się zrobić?

Ale się nie dało. Nie dało się zrobić niczego, bo tak już jest. Tego nie ma, tamtego jeszcze nie wymyślili, tak daleko medycyna jeszcze nie doszła.

I wszystko na nic. Zastrzyki, antybiotyki, operacje, nie ma potrzeby. Bo co? Bo to nic nie da.

Chodziłam na kolejne bilanse dwulatków, czterolatków, a to „coś” coraz bardziej odróżniało małą od innych i widać było już na pierwszy rzut oka, że jest inna, że jest odmienna.

Lekarze albo pobłażliwie kiwali głowami, albo nie mówili nic, zbywając moje dociekliwe pytania medycznym bełkotem.

Co jakiś czas słyszałam zdawkowe odpowiedzi: tak, nie, zobaczymy

Raz usłyszałam jedną, która tak zapadła mi w serce, że powie—działam: nie. Nigdy więcej tam nie pójdę. I prawie dotrzymałam słowa.

— Matki niepełnosprawnych dzieci powinno się zabijać zaraz po porodzie! — powiedział młody człowiek prawie w moim wieku, tyle że obarczony wiedzą medyczną i przysięgą Hipokratesa.

— Dlaczego? — wykrzyknęłam przerażona.

— Bo wy tylko marnujecie te dzieci! Chuchacie, dmuchacie, pieprzycie się z nimi i co to daje? Obóz pracy! Obóz pracy!

— Obóz czego? — jęknęłam. — Czego?

— Obóz pracy! Od małego i byłyby przynajmniej... przy—najmniej... pożyteczne!

Stałam jak uderzona obuchem, a on mówił i mówił, takjakby jego stanowisko, wiedza, władza, pozwalały mu ranić wszystko dookoła.

— Badań prenatalnych pewnie pani nie robiła?

— Co to ma za znaczenie? — odpowiedziałam otumaniona, nie wiem nawet po co.

— Ma! Mogła pani wyskrobać!

Mała popatrzyła na mnie oczami wielkimi jak talerze. Z pewnością niczego nie rozumiała, ale czuła. Napięcie, niechęć, wrogość.

— Co to wyskrobać? — zapytała dokładnie o to, czego nie miałam ochoty jej tłumaczyć.

Nie odpowiedziałam już ani jemu, ani jej. Powoli, metodycznie ubrałam małą, która przyszła z katarem, a wyszła z wyrokiem śmierci, i wróciłam do domu.

Czy odmienność zagraża aż tak bardzo? Bo chyba zagraża, skoro wywołuje takie reakcje. Żałowałam, że nie powiedziałam czegoś więcej temu panu... Ze człowiek — to powinno brzmieć dumnie, że wiedza, którą posiada, nie powinna była zabić w nim serca, że...

Nie stać mnie było na krzyk, ale ja nigdy nie umiałam krzyć, nawet wtedy, kiedy było trzeba. A powinnam była choć powiedzieć.

Ze to nie jego sprawa, moje badania prenatalne i moje dziecko, że to nie jego, a moja decyzja, co, kiedy i dlaczego zrobię, ominę, zbadam, wyskrobię, że to on powinien do obozu pracy... Za koło podbiegunowe, żeby był tam, gdzie jego miejsce, gdzie wszystko równie zimne jak jego serce...

Zresztą, po co? Przecież i tak by nie zrozumiał. Nie zrozumiałby, on tylko by się oburzył, że śmiem...

Zresztą, dlaczego od niego oczekiwałam zrozumienia, skoro nie mogłam oczekiwać go od Michała?

\*

— Dobra! OK. Jesteś brzydka jak noc na Galapagos, ale zaczekaj!

Rozśmieszyło mnie to do tego stopnia, że już nie mogłam się nie roześmiać.

Dlaczego na Galapagos? Czy noce są tam aż tak brzydkie?

— Chodźcie — wziął mnie pod rękę, mimo że się wyrywałam.

— To nic osobistego — wyjaśnił mi, nielubiącej żadnego, nawet takiego dotyku. — Czasem muszę się na kimś wesprzeć.

To tłumaczenie, choć nieprawdziwe, było tak logiczne, że nie wyrywałam się już więcej.

— Chodźcie, zapraszam was na kolację! — powiedział, a chwilowa przewaga, którą nade mną miał, zaczęła niepokojąco rosnać.

— Ale my mamy w hotelu...

— Nie przypadnie — odpowiedział, zanim udało mi się wyartykułować jakikolwiek racjonalny protest.

I szliśmy w wieczornych światłach zimowego Zakopanego. Światła skrzyły się na śniegu, gdzieniegdzie jeszcze dziewiczym, bo nikt nie zdążył go zdeptać.

Szliśmy, Janusz i ja, pod rękę. Dziecko i pies. I szliśmy przez chwilę zauroczeni pięknem złotawego wieczoru, otuleni światłem latarni przesączonego przez padający śnieg. Krok po kroku, śnieg skrzypiał zwielokrotniony mrozem. Nasze kroki rozkopywały świeży śnieg, a wiatr targał moje myśli, które uciekały w dal i w

przyszłość, jak nigdy.

Przez chwilę poczułam, jakbyśmy byli spacerującą rodziną. Szliśmy powoli, delektując się wieczorem, delikatnym mrozem, który szczyptał w policzki i skrzypiał pod nogami, i tym, że byliśmy razem.

Ile takich wieczorów zabrał mi Michał? Ile mogło ich być, gdyby choć na chwilę zapomniał, że Agusia, że Aga... Gdyby... Gdybyśmy byli rodziną?

Ta jedna chwila wydarła mi z serca głuche westchnienie. Pokazała, unaoczniała jeden z tych oczywistych braków, o których właściwie nigdy nie myślałam. Bo skoro nie ma, to co? Nie ma też o wiele ważniejszych rzeczy...

To takie zwyczajne i takie nadzwyczajne. Rodzina.

Jakiś on, jakaś ja, jakieś dziecko, pies...

Takiej chwili nie da się kupić. Nie da się wydrzeć na siłę, wyprosić, wyblagać, choć jeden raz, proszę... Nie!

Chodźmy na spacer... Błagałam. Choć jeden raz.

Jakiś on, jakaś ja, jakieś dziecko, pies... Ta chwilowa rodzina, która nawet nią nie jest, na chwilę rozpałała mi serce. Bez zobowiązań, bez sakramentów, bez słów, a można?

Bo chyba właśnie można. I szczęście płynące z tej chwilowej namiastki pokazuje, jakie mogłoby być, gdyby było prawdziwe.

Więc było możliwe, żeby być szczęśliwym z tak głupiego powodu? Ta chwila... nie będzie trwała. Nie powtórzy się, a jednak była piękna.

I nie da się jej zapomnieć. To chyba dobrze, ale będzie bołało.

I nagle ta składanka z nas, obcych ludzi, staje się namiastką normalności. Ile takich chwil mogła mieć Agusia? Nie mogła. Ani jednej.

— Takie dziecko? Do kina? Szkoda pieniędzy! Do parku? Po co? Mało wam, jak się na was ludzie na podwórku gapią? Na wakacje? Nie zasłużyła.

— A czym mogłaby zasłużyć? Powiedz... Może się uda...

— Zasłużyłaby... Gdyby wreszcie zdechła!

Na Krupówkach, po prawej stronie, na jednym z rogów była jakaś knajpka.

Właściwie były ich tam setki... Co krok to inna, co krok to bardziej rozświetlona, co krok to piękniejsza. Do tamtej wchodziło się schodami w dół, jak do piwnicy.

W mroźnym powietrzu z daleka słychać było muzykę. Przyciemnione światła, jakiś ogień, jacyś ludzie ubrani po góralsku. Tandeta, a jednak przyciągała.

Ogień tańczył w takt muzyki ni to rzewnej, ni to skocznej. Mała z zachwytem klaskała w ręce.

— Ale fajnie! Mamo! Patrz. Tam pan...

Janusz wykorzystał jej zachwyty. Trochę bezczelnie, a trochę, żeby zapoczątkować rozmowę, bo sama się jakoś nie kleiła. Ale jak miała się kleić? Co miałam mu powiedzieć? Przecież nie to, co ważne, bo go to nawet nie obchodziło. Zresztą nawet gdyby miało go to obchodzić, to przecież nie mówi się takich rzeczy. Nikomu.

— Wiesz, niedługo umrzemy...

Takich rzeczy się nie mówi, one są tylko do rozmowy wewnętrznej z tym głupim drugim ja, które udowadnia, że to wcale nie tak, że nie mam prawa jej zabić, że przecież mogę się leczyć.

Ze to nie moja sprawa, że matka nie powinna, że przecież to tylko dziecko, że może właśnie, na przekór wszystkiemu poradzi sobie w życiu, że nie mam prawa jej go pozbawiać. Ze to jej życie, że muszę się z tym pogodzić...

Tak, i wyobrażać sobie, jak będzie cierpieć zamknięta jak zwierzę w klatce w jakimś nieludzkim zakładzie, gdzie nikt jej nawet nie przytuli?

Głupie to moje drugie ja. Nierealnie niepraktyczne. Wolę to pierwsze. Odrobinę okrutne, ale przynajmniej wiem, czego się po nim spodziewać.

no

— Widzisz? Ona umie się cieszyć! A ty? — powiedział Janusz podstępnie.

Nie odpowiedziałam. Ja nie umiem, nie chcę umieć się cieszyć. Po co mi to? Ten stan ducha odszedł już dawno temu, kiedy zauważyłam, że za wszystko się płaci, tą czy inną monetą. Nie ma nic za darmo.

Jedna chwila zachwytu, jedna radości, a potem rozczarowanie wielkie jak cały świat. Nie potrzebuję!

Zresztą to asekuracja. Nie próbowałam zbyt wiele razy. Może nie powinnam była tak łatwo rezygnować, ale stało się.

— No powiedz, nie podoba ci się? — Janusz uśmiechnął się, jakby znał odpowiedź.

Mała zajadała się frytkami, ja siedziałam zapatrzona w kufel grzanego piwa.

Podobało mi się, ale dlaczego miałabym mu to mówić?

— No powiedz? No? — nalegał szczęśliwy jak dziecko. To jego szczęście było w oczy jak pochodnia, z gestów, uśmiechu i słów. Wiedział, że zrobił mi przyjemność. Może należał do ludzi, którym czynienie dobra daje coś więcej niż przewrotną satysfakcję?

— No... Tak, fajnie... — odpowiedziałam, udając obojętność.

Skłamałam, udając obojętność, bo nagle poczułam się strasznie, porażająco szczęśliwa. Tą jedną małą chwilą szczęścia, tym okrucieństwem, który podchodzi do gardła jak ciepły kłęb wzruszenia i jest, i już się nie da nic zrobić, żeby odgonić to obezwładniające uczucie.

Bo dobrze byłoby je odgonić i udowodnić sobie jakimkolwiek sposobem, że nie istniało. Dlaczego? Żeby nie budziło tych pokładów tęsknoty, które już zaczynają się budzić. Głodne szczęścia wypływają z każdego z tych zakamarków duszy, w których udało mi się je uśpić.

Bez tęsknoty jest łatwiej.

\*

Była też inna kobieta. Jej się udało. Zrobiła to. Skoczyła razem z dziećmi. Całkiem małymi. Potem leżeli tam pod budynkiem, roztrzaskani, jak kukły. Ona mała, chuda, skurczona i dzieci, jeszcze mniejsze. Z rozrzuconymi rączkami. Nieduży chłopiec i nieduża dziewczynka. Wszyscy na śmierć.

„Dzisiaj, w godzinach wieczornych...”

Znowu rozgadały się telewizory. Znowu taka tragedia. Znowu nikt się nie spodziewał.

Przecież nikt nigdy się nie spodziewa. Dlaczego to zrobiła? Co państwo o tym sądzą? Jak zwykle. Nic.

I nikt tak naprawdę się nie dowiedział, co się stało. Czy byli głodni? Samotni? A może ktoś się nad nimi znęcał? Odpowiedzi nie było i nie będzie, bo znała ją tylko ona, ta matka, a ona odeszła.

I wszyscy, którzy ich znali, zaczęli się oburzać. Jak ona mogła, ta matka? Jak ona mogła? Takie udane dzieci! I wszystko mieli, tylko ptasiego mleka...

No fakt. Jakoś tam się nie układało. Ale komu teraz się układa? Takie czasy! Ze niby pił, ale przecież to nie koniec świata?! Ze niby bił. Ale to jeszcze nie powód. Ze niby...

Że składała do prokuratury, że on tę małą... No, że niby robił z tą małą... że niby zgwałcił czy jak, ale przecież nic nie wykryli. Nic. Dziecko mogło sobie wymyślić. Prawda? I żeby zaraz się zabijać?

## ROZDZIAŁ VIII

Wróciliśmy do pensjonatu wpatrzeni w noc, on w swoją własną, ja w tę za oknem taksówki.

Migała, rozbłyskiwała, kusiała i czarowała, jakby była zupełnie inną nocą, inną niż te, które przeżyłam dotąd.

Na podłodze Misiek pozwalał się łaskawie głaskać Agatce, a jego złote oczy w cieniu przybierały czerwony połysk, jakby czaił się w nim nie wielki, łagodny pies, ale wilk, uśpiona, niebezpieczna bestia.

Pomrukiwał łagodnie jak pluszowy niedźwiadek układany do snu.

Po co mnie obudziłeś? Po co obudziłeś wszystkie moje marzenia i nadzieje?

Dlaczego pokazałeś mi, jak dobrze jest, gdy jest dobrze? Dlaczego we wszechświecie mojej pokiereszowanej duszy tak łatwo odnalazłeś drogę do serca? Jakim cudem? Po omacku? Na ślepo?

Po co? Świadomie, żebym wiedziała, co straciłam i co stracę? Ale to by było okrutne. Nieświadomie. Obudziłeś bestię, która pożera mi duszę, zupełnie nieświadomie.

Będę musiała ci to wybaczyć.

Chciałabym krzyczeć w złości, ale mam jeszcze nadzieję, że jak zawsze uda mi się ją uśpić.

Nieraz już mi się udawało. Potrafię.

Uśpię tęsknotę za rodziną. Powiem sobie, że to tylko pozory. Bo co to za rodzina?

Obcy ludzie. To bez znaczenia! Żadna rodzina. Wyśmieję ją, zohydżę, pokażę, jaka jest głupia i bezsensowna, jaka nieprawdziwa.

Uśpię tęsknotę za rozmową. Powiem, że to tylko złudzenie, nie rozmowa. Nie rozmowa, ale przekładanie słów. Uśpię nawet to małe delikatne uczucie, że świat stał się odrobinę sprawiedliwszy, że oto ja wreszcie czuję się kobietą. Szczęśliwą kobietą. To uczucie będę musiała uśpić najpierw, bo jest najbardziej niebezpieczne.

Szczęście nie jest za darmo. Nawet to niewielkie, nawet to chwilowe, bo w życiu nic nie ma za darmo. Noc pokazała mi, że powinnam trochę bardziej uważać, że to nie dla mnie te porywy uczuć, nie dla mnie marzenia, nie dla mnie wzruszenia. Ja na nie

nie mogę sobie pozwolić.

Obudził mnie ból. Rwący, piekący, straszny. Nagle moje ciało rozrosło się do rozmiarów wszechświata, a w nim usadowił się ból tak wielki jak ono samo.

Wstałam słaba i zlana potem, który perlił się blado na mojej górnej wardze, i widziałam już tylko ten pot, moje zmarszczki nie potrafiły go przyćmić, patrzyłam tylko na te kropelki i liczyłam je, żeby wytrwać.

— Raz, dwa, trzy, cztery, pięć, sześć, siedem... — i od początku.

— Raz, dwa, trzy, cztery, pięć, sześć, siedem... — i od początku. W końcu minie. Zawsze mijał, tylko kiedy? Sekundy wlokły się jak godziny, a on był. Wszechobecny, straszny, tam w środku. Wiedziałam, skąd się wziął.

Skuliłam się w sobie, żeby go zdusić, ale to nic nie dało. Łazienka nagle przytłoczyła mnie swoją zimną poświatą wpadającą z półotwartych drzwi, z oblanego białym blaskiem księżyca pokoju.

Ból pulsował rytmicznie w takt uderzeń serca. Raz, dwa. Nie wytrzymam. Raz, dwa. Nie dam rady.

I raz, dwa. I raz, dwa. To mnie zabije! To mnie zabija, ale dlaczego już? Przecież powiedzieli, że to dopiero za dwa, trzy miesiące.

Nie zapaliłam światła. Nie chciałam obudzić małej, nie chciałam, aby zobaczyła mnie w takim stanie. Nie pozwoliłam sobie na to, żeby nie zagłuszyć tych drobnych chwil szczęścia, jej szczęścia, podejrzeniami.

Ona się nie dowie. Nigdy się nie dowie. Może zrozumie w ostatniej chwili? Bo prawdy też jej nie powiem.

— Wiesz, córeczko, idziemy się zabić...

Powoli ból, który zagnieździł się we mnie, odszedł. Jego odcho-dzenie to ekstaza przyjemności. Jak dobrze. Jak dobrze. O Boże...

Jeszcze ręce mi drżały, jeszcze serce waliło jak oszalałe, jeszcze krople potu połyskiwały na twarzy, ale już było po wszystkim. Już było po wszystkim. Nie zapomnę. Nie zapomnę, że za szczęście trzeba płacić, a czy warto? Czy było warto? Przecież to nawet nie było prawdziwe szczęście. Wyglądaliśmy jak rodzina, czuliśmy się jak rodzina, rozmawialiśmy jak przyjaciele...

Jak, jak, jak. Wszystko kłamstwo, obłuda, bajka. Jak rodzina? Jak, ale nawet się nie znamy, jak przyjaciele? A co z nas za przy-jaciele... Obcy mężczyzna, obca kobieta. Obce miasto.

\*

Michał miał władzę. W domu zawsze jest ktoś, kto ma władzę, ktoś, kto rządzi, decyduje, wymierza kary. Taki domowy bóg codziennego użytku. Ani taki dobry jak ten z lekcji religii, ani taki sprawiedliwy, ani taki miłosierny. Bóg.

Tamten pewnie ma litość. Ten domowy jest jak najdalszy od takich uczuć. Nie może sobie na nie pozwolić, bo autorytet... A autorytet to świętość.

Ja w życiu miałam takich dwóch bogów, codziennych. Najpierw to był tamten mężczyzna.

Potem Michał.

Obaj żądali bezwzględnego posłuszeństwa. Obaj umieli przy-kładnie karać. Wierzyli,

że kara to bardzo dobra rzecz. Obaj byli nieprzystępni i nie słuchali nawet najzarliwszych modlitw.

Bo tak naprawdę nic ich nie obchodziłam. Ani obu domowych bogów, ani tego, który jest nad nami. Nic.

Miał być porządek, bo to porządny dom, bo tak ma być i koniec, i nie ma, że coś, że gdzieś, że kiedyś. Koniec. Kropka.

W każdym z tych przypadków to ja byłam kropką. I szukałam dróg ucieczki, tych prawdziwych i tych złudnych, ale były nieskuteczne.

Bo od Boga nie da się uciec. Wyśledzi cię i dopadnie, i okaże się, że to wcale nie była prawda. Że to wcale nie miało sensu, że nie było po co uciekać, bo całą złość, nienawiść i ból i tak zabrałaś ze sobą.

Każcie z nas ucieka inaczej. Bo tyle jest ucieczek, ile dróg, które gdzieś prowadzą, i w każdym domu, w każdym bloku, w każdym zakamarku świata siedzi ktoś, kto chce uciec. Chce lub musi. I ucieka. Tak jak ojciec, na tamtą stronę. Bo przecież uciekł. Dokąd? Dlaczego? Przed czym? Nikomu się nie udaje. Bo żeby uciec, trzeba inaczej. Najpierw obalić świętość, autorytet, potem odejść powoli, nie oglądając się za siebie. Bo wtedy jak ranny zwierz dopadnie cię. Cokolwiek to jest. Miłość czy nienawiść, ale cię dopadnie.

Michał miał własne zdanie na każdy temat. Cóż, wykształcony młody człowiek, czegoś chce...

I cokolwiek powiedział, stawało się prawem. Że Hitler miał rację, kiedy wymordował Żydów, i że margaryna powoduje ślepotę, że za Stalina to w Rosji żyło się pięknie i że rzodkiewki wcale nie wpływają dobrze na trawienie.

I cokolwiek powiedział, stawało się prawdą. Prawdą i prawem. I nie było żadnego zmiłowania.

Tamten nie. Tak daleko nie sięgał. Myśli pozostawiał mi prawie nietknięte i miałam prawo do własnego zdania, o ile on nie miał innego.

— Nie rób mi tego...

— Kładź się, dziwko!

— To jest złe. Gdyby tata...

— A spierdalaj z tatą... On już kwiatki wacha od spodu!

A jeżeli miał inne zdanie na jakikolwiek temat, to wystarczyło nic nie mówić i nie było kłopotu. Tamten zresztą nie interesował się historią ani polityką, ani zdrowym żywieniem... Jego interesowało tylko TO. Nie wolno mi było powiedzieć nikomu, w żadnym wypadku.

Nie, dziś nie... Wigilia...

To właśnie było karalne. Tego zabraniało jego prawo.

Wreszcie zrozumiałam, że nie ma sensu mówić mu, żeby mi tego nie robił... W końcu to przecież była jego sprawa. Że moje życie? Bogu wolno wszystko. Szczególnie temu, który ma nad kimś władzę codzienną. Zresztą... Zaraz potem mnie zabrano i już nigdy więcej go nie spotkałam. i

Michała obchodziło wszystko. Każda z moich nieopatrznie wypowiedzianych myśli stawała przed komisją śledczą składającą się ze „świętej dwójcy”.

— Co ona wygaduje, synku — zagajała teściowa. — Przecież ona nie ma o niczym zielonego pojęcia! Ze skończyła studia? Tłumokom też się czasem zdarza...

— Co ty pleciesz?! Że Żyd też człowiek? Oszalała, idiotka jedna! No oszalała!

— A może ona Żydówka jaka? — dokładała teściowa i sąd czarownic skazywał mnie na nieistnienie.

— Jak masz takie rzeczy opowiadać, to lepiej się zamknij albo wyjdź. Po prostu wyjdź. Nic dziwnego, że takie głupie dziecko. Po matce to ma!

Jednego dnia to była margaryna, drugiego rzodkiewki...

W konsekwencji winna byłam ja, że dziecko takie, po matce to ma.

Czy miał monopol na prawdę? Nie, on miał tylko posłuch. A po co wszczynać wojnę o rzodkiewkę czy margarynę? O rzodkiewkę nie warto. O margarynę też nie, nawet o masło dla dziecka; a kurwa, niech zje suchego chleba, nic się nie stanie, albo: pieprzyć, pieprzyć, żadnych butów nie kupię, tydzień dobroci dla zwierząt już się skończył.

— Ale Michał...

— Spierdalaj!

Więc nie warto było wszczynać wojen, nie warto było mieć własnego zdania. Bo po co? Tyle zamieszania o nic, o głupie własne zdanie?

\*

Rano ze strachem zeszłam na śniadanie. Bałam się, że zobaczę Janusza. Że znowu będę przez chwilę szczęśliwa, że nocą za to zapłacę.

Bo los, Bóg czy natura, a może choroba wyraźnie mnie ostrzegła. Nie wolno ci. Nie wolno, bo będzie bolało, a wiesz jak to jest? Sam ból to jeszcze nic, ale kiedy zrobi się częstszy, to będzie znaczyło, wiesz co? Prawda? Ze to już. I co z tego, że lekarze...

Mogli się pomylić. Sama wiesz, że to różnie bywa. A potem, jak się zagapisz, zabiorą cię do szpitala. A wiesz, co to oznacza?

A tu w myślach pojawił się Janusz. Jak go przegnać? Jak wyrzucić? Czekałam na niego i równocześnie mówiłam sobie, że nie powinnam. Chciałam go spotkać i bałam się. Idiotka? Nie, to tylko ten ból...

A nie ma nic za darmo.

— Czego ty ode mnie chcesz?! No czego?! Czego mnie prześladujesz? — krzyknęłam jakoś tak głupio, kiedy zaprosił nas na kolejny spacer.

— Zostaw mnie w spokoju! — dodałam bardzo nieprzyjemnym tonem. Klasyczny przypadek: i chciałam, i boję się. A może chciałam, żeby mimo wszystko? Żeby zdecydował za mnie, żeby mnie zmusił do tego szczęścia?

Moja wola, moje za i przeciw, moje wszelkie tęsknoty, wszystko mogłoby się spełnić na siłę. I nie byłabym niczemu winna. Ale przecież i tak nie mogę być winna, więc chcę czy nie chcę? Jaka jest moja wola? Czy w ogóle ją mam? Czy została gdzieś tam, czy po prostu jej nie ma? Nie ma, bo nie było. Bo nigdy nie powiedziałam NIE. Nie!

Mała wykrzywiła buzię i już wiedziałam, że albo przestanę krzyczeć i przyjmę zaproszenie, albo ona się rozplacze. Tak bardzo bałam się jej płaczu. Nigdy nie byłam w stanie ukoić go na czas. Kiedy ona płakała, ja stawałam się bezradna.



— Niczego od ciebie nie chcę — odpowiedział Janusz jakiś taki trochę przestraszony. — Chcę cię zabrać do owczarni. Ciebie, to znaczy was obie. Jest kilka młodych owiec. Zobaczycie... są...

Mała nie dała mu dokończyć.

— Owieczki?! Prawdziwe czy zabawki? — zapytała na wszelki wypadek. — Mogą być też prawdziwe — dodała przebiegle i już wiedziałam, że nie odmówię. Bo... Bo nigdy nie widziała owiec, dzień będzie taki inny od dotychczasowych, bo oni jakimś cudem zdecydowali za mnie. Może tego właśnie chciałam.

Pojechaliśmy.

— A tak dla twojej wiadomości — powiedział Janusz, kiedy wsiadaliśmy do busa — niczego od ciebie nie chcę. Po prostu dobrze się z tobą czuję. Tylko tyle. Czy... Czy ty musisz zawsze myśleć, że... No wiesz...

— Co wiesz? — zapytałam dla zyskania przewagi, choć to oczywiste.

— Ze... — zamilkł. — Patrzcie, patrzcie — tu na prawo jest Nosal! — ■  
powiedział po chwili.

— Co to Nosal?

Skąd wiedział? Odpowiedział na pytanie, którego nie zadałam.

— Lata praktyki! Liczę przystanki, zakręty, światła... Kiedy się nie widzi, trzeba znaleźć inne punkty odniesienia, to nie czary!

Roześmiał się takim młodym śmiechem, o jaki nigdy bym go nie podejrzewała.

— Tu się wychowałem...

Wysiedliśmy na zupełnie mi nieznanym przystanku, w zupełnie mi nieznanym miejscu, mając za jedynego przewodnika ślepcę. Boże, w co ja się wpakowałam? Cała ta sytuacja, może nawet i symboliczna, przerosła mnie. Aga pośród ludzi. Szczęśliwa. On ze mną, obok mnie. Szczęśliwy. I ja. Ja znów szczęśliwa. Czy nie za dużo tych uniesień? Szłam jak bezwolna za moim przewodnikiem. Było buro, prawie ciemno, zimno. Nic nie zapowiadało, że będzie lepiej. Ta powszechna burość, szarość i zimno, te krótkie dni i długie noce — to przytłaczało najbardziej. Nie zobaczę już nigdy letniego słońca, trawy, zielonych drzew, kwitnących kwiatów... Gdyby to był maj. Maj, ciepło, pięknie, pachnąco. Tylko że to nie może być maj. Nigdy więcej.

Rozglądałam się dookoła i widziałam tylko szarość. Jak czuje się Janusz za swoimi wiecznie zamkniętymi oczami? Widzi coś? Czy wszystko jest czarne? Bo tam w środku przecież ma coś, choćby marzenia, czy wszystkie są czarne?

Lubiłam puste przestrzenie. Lubiłam miejsca, w których nie ma ludzi. Czasami chciałam, żeby wszyscy ludzie umarli i zostawili mnie i ją w spokoju. Żeby obudzić się pewnego dnia i zobaczyć, że wszystko jest puste i głucho.

Mogłybyśmy wtedy chodzić po ulicach nie narażone na ludzki śmiech i docinki, mogłybyśmy mieć dom, taki prawdziwy, tylko dla nas. Wzięłybyśmy sobie jeden z tych, których właściciele umarli. Piękny, biały, czysty z kolorowymi firankami.

Mogłybyśmy się nie bać. Ja mogłabym się nie bać, bo boję się ludzi, ich bezwzględności, bezmyślnego okrucieństwa.

Bo jak odpowiedzieć na pytanie:

— Mamo, czy ja jestem głupia?

Jak odpowiedzieć? Że co? Że to, co mówią, to co?

— Ale tak czy nie?

Gdyby ludzi nie było, świat byłby o wiele prostszy i czystszy, i to osławione w książkach człowieczeństwo nie byłoby nikomu potrzebne i ten człowiek, który tylko brzmi dumnie, nikomu nie zrobiłby już krzywdy.

A Bóg, czy łatwiej byłoby, gdyby Go nie było? Łatwiej. Nie czekałoby się na sprawiedliwość ani na miłosierdzie, a ludzkie okrucieństwo byłoby takie samo, choć o wiele bardziej oczywiste.

I nie można już byłoby powiedzieć: na litość Boską!

Na litość Boską co? Niech wszyscy ci, co się przebijają w Boga na co dzień, którzy o Nim mówią i w Jego imieniu czynią zło, wreszcie się zamkną!

Tak... Moja samotność jest po części spowodowana wyborem, ale tylko po części, bo zanim zaczęłam wybierać, miałam ufność. W świat, w ludzi, bo co komu winne dziecko, że inne od innych, skoro nikomu nie zrobiło tą innością nic złego?

To Michał pierwszy zamknął nas w domowym świetle, z którego rzadko pozwalał wychodzić. Bo takie dziecko? I jak z tym do ludzi... I że będą gadać... I że wstyd, wstyd i jeszcze raz wstyd.

Więc przestaliśmy wychodzić. Przestałyśmy. Siedziałyśmy sobie same.

— Możemy iść, ale sami — informował mnie za każdym razem, kiedy ktoś nas zapraszał. Sama nie chciałam.

— Nie będziesz jej przecież ciągnęła. Nie będziesz przecież paradować z nią po ulicy!?

I krąg znajomych się przerzedził. Nie tęskniłam za nimi. Coraz rzadziej ktoś pukał do drzwi, coraz rzadziej dźwięczał dzwonek telefonu. Przestałam spotykać się z koleżankami, zagrzebałam się w pieluchy, w rehabilitację, w samotne spacerunki po parku.

Nowych znajomych nie było. Nie miałam ochoty po raz setny odpowiadać na te same pytania: a dlaczego ona nie mówi, a co jej jest, że tak się wykrzywia, a dlaczego to, tanto i dziesiąte...

Dlaczego? Dlaczego? Dlaczego?

To zastanawiające, jak tak nieszkodliwa, niewinna, niegroźna inność potrafi zmienić świat. Zmienić, okroić, zamknąć w czterech ścianach. Nie miałam za złe światu, że nie zauważał mojego istnienia.

Było mi dobrze albo prawie dobrze, w końcu do wszystkiego można się przyzwyczaić. Dobro też jest względne. Miałam mu za złe, że nie zauważał istnienia mojej córki, a jeżeli już zauważał, to tylko po to, aby ją zranić.

— Ty... Ty chyba głupia jesteś! Przecież ona i tak nic nie rozumie! — Michał na wszystko znajdował odpowiedź pełną człowieczeństwa. — Przecież to tłumok! Żyłyśmy w jego świetle jak dwie zakładniczki, o które nikt nie chce się upomnieć, a przecież to nie było życie. Tylko co to jest życie? Blichtr telewizyjnych seriali, gdzie kaszanka udaje kawior, czy wszystkie te nic nieznaczące, nic niemożliwe, nic niewarte istnienia? Kolejne egzystencje złożone z nocy i dni, ze śmiechu i płaczu, z nienawiści i bezradności?

Ale można też inaczej. Tak jak w bajce.

Zycie to radość, śmiech, wiatr... Mały ogródek gdzieś za domem i wspólne spacery, i miłe słowa, i radość z każdego postępu dziecka, któremu nic łatwo nie przychodzi. Z każdego wydarzenia naturze, która ją ogranicza, słowa, kroku, gestu, z kanapki zrobionej własnoręcznie, choć więcej masła jest na podłodze, z wierszyka, piosenki... Jest tyle powodów do radości, a my... My nie cieszyliśmy się z niczego. Nie wypadało.

— Co, że policzyła do trzech. Co? W jej wieku inne dzieci już mnożą i dzielą!

— Co, że kanapkę zrobiła... Co? Patrz, jaki zostawiła bałagan!

— Co, że wierszyka się nauczyła? I co to takiego? W jej wieku powinna...

Powinna.

— Nie może...

— To z czego się, idiotko, cieszysz?!

Byliśmy bardzo samotne w domu i poza domem, więc... Więc po co ludzie?

\*

Oni się rozwodzili. To ona złożyła pozew. Chciała odejść z dziećmi, żeby nigdy więcej... Zawsze ją dziwiło, co on robi z córką. Myślała, że ją kocha, ale potem zobaczyła. Rany. Jakieś otarcia.

Kiedy weszła do pokoju, on tam był. Nagi. I mała naga z rozłożonymi nóżkami.

Zacząła krzyczeć. On przeproszał i powiedział, że to tylko tak, dla żartu.

Dla żartu zawiadomiła prokuraturę. Nic nie wykryli. Nic. Zupełnie nic. Opiekę nad dziećmi powierzyli jemu.

\*

— Mamo! Owieczki!

Mała pobiegła, nie patrząc przed siebie, oganiając się od biegnących za nią trzech czy czterech szczeniaków, które chciały wejść jej na głowę.

Janusz nie powiedział, że oprócz owieczek będą jeszcze i pieski. Nie powiedział właściwie nic, że znowu będzie normalność, czytaj: szczęście! Zdrajca! Pieski popiskiwały, usiłując złapać ją za nogawki spodni, szalejąc w radosnym kłębie dookoła niej, a wokoło kilka małych, białych, choć w tym burym świetle borych owieczek.

Agatka usiadła na ziemi w jakiejś słomie i zaczęła dzikie harce ze zwierzakami.

\*

— Dogoterapia? Nie. No, nie! Ty chyba jakaś nienormalna jesteś! Od tego będzie normalna? Nie? No to o czym my w ogóle gadamy? No o czym? Nie kupię żadnego kundla!

— Ale...

— Gówno, nie ale! Dość, dosyć ty mnie już kosztujesz i to coś, nie będę karmił jeszcze psa...

— Dogoterapia? — teściowa roześmiała się złośliwie. — A skąd u ciebie takie zboczone pomysły?

\*

Dopiero teraz dotarło do mnie, że byłam w jakimś niezbyt pięknie pachnącym pomieszczeniu, gdzie pełno było zwierząt.

No to przegrałam. Przegrałam z kretesem. Mała stąd nie wyjdzie, trzeba będzie ją wyciągać siłą.

Ale ta chwila szczęścia jej się należy. Niech zapamięta i za-bierze na tamtą stronę. Bo może wspomnienia da się jakoś tam przemycić? W sercu?

\*

Moja teściowa była właściwie normalna. Ani zbyt wylewna, ani zbyt oschła. Ot, teściowa. Mała prosta sylwetka z wydatnym brzuchem, wypiełgnowane ręce, rude, ostro rude włosy, jeden z tych kolorów, które sprawiają, że człowiek staje się wyrazisty, nawet gdyby był nijaki.

Twarz, świdrujące oczy kobiety, która wie, że wie lepiej, nawet jeżeli zupełnie nic nie wie. Fartuch, bo szkoda marnować ubrania po domu, i wąskie zawzięte usta, które przecież kiedyś umiały się śmiać, ale to musiało być dawno.

— Taki wstyd... Taki wstyd... — syczały jej zaciśnięte usta, kiedy ujrzałam ją po raz pierwszy. — Taki wstyd...

I wstydziłam się, choć przecież są o wiele wstydliwsze sprawy niż życie.

Wiem, że nie wypada, wiem, że... najlepiej dopiero po ślubie albo przynajmniej tak, żeby ludzie nie widzieli. Bo we wstydzie chyba tylko o to chodzi. Żeby ludzie nie widzieli. Bo jak nie widzą, to już nie wstyd.

Ale ludzie widzieli.

Nie spodziewałam się po niej ani akceptacji, ani miłości. Przyjęła mnie, bo nie miała innego wyboru, od początku przecież dała mi odczuć, że nigdy nie będę w stanie spełnić jej oczekiwań.

Potem, długo potem zrozumiałam, że pojawiając się, stałam się spełnieniem jej najgorszych koszmarów, ale ona była już przygotowana. Nie byłam w stanie jej zagrozić. Ona kochała tak bardzo i nienawidziła z taką siłą, że pogmatwała te uczucia, splotła je ze sobą, pomieszała i nic już nie było proste.

Bo ona kochała.

Ona kochała swojego syna. O tak, tak bardzo go kochała, że żadna dziewczyna nie była dla niego dość dobra... bo żadna nie mogła być dość dobra.

To ona, matka, była najwspanialszą kobietą i tak miało pozostać. Na zawsze. Od dnia jego urodzenia, kiedy wzięła go w posiadanie, otoczyła go miłością bezwzględną. I tak już zostało. Kłębowski zmij, myślałam, patrząc na nich oboje. Nie przeczuwałam, że w tej tragifarsie jedną z głównych ról zagram ja sama.

Brałam ją, jaka była. Nie chciałam ani nie mogłam jej zmieniać. Ona to wiedziała, ja... nie brałam tego nawet pod uwagę.

Była w niej ta niepewność co do przyszłości jedynaka, nie-pewność, a jednak pewność, że nie. To nie jest to, i coś ty, synku, mi przyprowadził.

Synku. I co teraz będzie? Synku. O Boże. Synku, to niemożliwe, i ani słowa do mnie. Ani słowa, jakbym tam nie istniała, jakbym nie siedziała z wielkim brzuchem na niewygodnej kanapie, jakbym się rozplynęła. A tu brzuch. Nie dziecko, nie...

Brzuch! I co teraz będzie?

Coś ty narobił, synku... Nie: Dlaczego nie uważałaś, nie... Dlaczego tak późno.

Przecież teraz już nic z tym nie da się zrobić. Z tym.

A tam w środku moje małenstwo burzyło się na te straszne słowa. Ze nie uważałam?

Pusty śmiech! To była miłość! Miłość! Wtedy jeszcze miłość.

Te wszystkie słowa, których byłam zła, te wszystkie gesty, jakie ty masz piękne oczy... To nie mogło być nic innego, bo przecież po co zadawałby sobie tyle trudu, gdyby nie kochał? Po co? Dla mnie?

Więc kochał. Więc kochałam i ja.

A potem ta kanapa. I co teraz, synku, teraz ślub, no bo co innego? Za późno, synu, za późno, i ten jej żal... Żal, że nie może już zabić mojego dziecka, bo gdyby mogła...

— A jeżeli to nie jest twoje dziecko? — usłyszałam z kuchni, gdzie się przenieśli,

wcale nie zwracając na mnie uwagi. — I czy ona przynajmniej... No rozumiesz,

trudno mnie, matce, o to pytać, ale czy ona była dziewicą... Nie jesteś pewien... Więc może...

Wtedy zdecydował, że jednak dziecko było jego, zdecydował, że jednak to jest jego dziecko, ale to była decyzja, nie przekonanie, w końcu decyzję zawsze można zmienić.

A ja, niczyja od początku świata, nagle zaczynałam być czyjaś. W głowie kłębiła się niepewność, o Boże, czy sprostam? W sercu rozlewała się słodycz. Dziwna, lekka i lepka, podchodziła do gardła paroksyzmami niczym nieuzasadnionej radości. No i jeszcze dziecko. Moja największa radość.

Miało być radością i było radością. Miało i było, ale między tym, czym miało być, i tym, czym było, kłębił się ocean sprzeczności.

Bo dziecko zawsze może być radością.

Miała być piękna, mądra, zdolna. Miała być istotą Michała i mnie.

Miała dokonać tego, czego jeszcze nikt nigdy, a nawet gdyby już kiedyś ktoś, to i tak miała być najlepsza.

Doskonała lalka do zabawy i do zachwyków. Miała. Czym ona nie miała być!

Nie była doskonała. Nie była doskonała i to właśnie stało się problemem. Jej niedoskonałość obwieszczoną przez lekarzy prawie natychmiast po jej urodzeniu umiałam oswoić, ale chyba tylko ja. Staralam się. Powtarzałam jak mantry słowa, które może niewiele znaczą, ale wiele mogą.

— Będzie dobrze, córeczko, będzie dobrze, masz mamusię, masz tatusia, babcię... rodzinę... Będzie dobrze, a to... Jakoś sobie poradzimy.

Bardzo szybko okazało się, że kłamałam. Nie miała babci. Nie miała tatusia. Nie miała rodziny. Miała tylko mnie.

—To wystarczy — mówiłam. — Wystarczy. Inne dzieci i tego nie mają. Zobaczysz.

Będzie dobrze. Tatus się opamięta i jakoś sobie poradzimy.

I tym razem okazało się, że kłamałam. Nie od razu. Po kilku latach, kiedy dużo bardziej niż na początku potrzebowałam, potrzebowałyśmy jakiegokolwiek „będzie dobrze”, tatus się nie opamiętał. I zostałyśmy same, ale los wyraźnie nie chciał zostawić nas w spokoju, tak jakby nie miał innych dzieci do krzywdzenia, tak jakby inne, te lepsze, te zwykłe, te normalne nie podlegały tym samym nieludzkim ludzkim

prawom co ona.

Pewnego dnia zostanie sama. To nie jest odkrywczą myśl i to „pewnego dnia” nie jest równie odległe jak inne „pewnego dnia” tego świata. Pewnego dnia nie będzie miała nawet mnie.

Jej niedoskonałość nie znalazła litości w oczach ludzi. Litości, zrozumienia, pobłażliwości, ale cóż wymagać od ludzi, skoro nawet Bóg...

## ROZDZIAŁ IX

Egzamin, który muszę zdać, to egzamin dojrzałości. Czy go zdam? Pytania są podstępne. Nie znam na nie odpowiedzi, żadnej ściągki. Nic, tylko odpowiedzialność. Za nią, bo za siebie... No cóż. Ja się nie bardzo liczę.

I czy to, co postanowiłam, jest dobre? Ja czuję, że właśnie tak. Nie zostawię jej samej pośród obcych, złych ludzi. Nie zostawię jej w ogóle. Zabiję.

Co jej odbiorę? Życie, ale czy na pewno? Czy to, jak by żyła beze mnie, można byłoby nazwać życiem? Czy życie za wszelką cenę to też życie? Czy przyjemność oddychania warta jest głodu, nienawiści, samotności?

Czy to, co ją czeka, to będzie życie?

Czy też powinnam ją ocalić? W bolesny, okrutny sposób, ale ocalić od poniżenia, poniewierki, nienawiści?

Kto dał mi prawo do decyzji? Nikt, sama je sobie wzięłam. Jest moje i nie oddam go, a wszystkie te, które tak chętnie rzućcają kamieniami, te, które będą mnie potępiać, niech najpierw poczną to, co ja czuję. Niech urodzą takie dziecko, niech dostaną raka, niech żyją w nienawiści wielkiej jak świat i w samotności głuchych ścian. Jeżeli jeszcze wtedy mnie potępią, uwierzę. To nic nie kosztuje.

\*

Poznaliśmy się pewnego dnia na uczelni. Nigdy nie udało mi się zrozumieć, dlaczego on i ja. Dlaczego to właśnie na niego natknął mnie los, dlaczego to właśnie na mnie los skierował jego wzrok.

Są wyroki losu, nieodwracalne jak samo życie, z którymi można się nie zgadzać, ale nigdy nie pozna się ich przyczyn. Przypadek? Ze tego właśnie dnia ktoś spojrział w tamtą stronę, że zapomniał kanapki i musiał wejść do sklepu, że jakaś dziewczyna w błękitnej sukience, jakiś chłopak w golfie i nagle coś się zaczyna. I coś się kończy. Jeszcze tego nie czuć, jeszcze nie widać, myślisz: mam wolną wolę, myślisz: zawsze mogę się wycofać, ale coraz bardziej wplątujesz się w pułapkę, którą zastawił na ciebie los albo przypadek. I nie ma już wolnej woli. Nie ma już nic. Twój los zapisuje się w gwiazdach nieodwołalnie i możesz wierzyć, możesz marzyć, ale nic już nigdy nie będzie od ciebie zależeć.

To nie była miłość z tych łzawych, bzawych, romantycznych. Może nawet to nie była miłość? Jakoś tak poszliśmy na kawę, jakoś tak poszliśmy do kina, jakoś tak zmarnowaliśmy sobie życie.

— O! Co to, to nie! Jeżeli ktoś komuś zmarnował życie, to tylko ty mnie! Tak by powiedział, gdybyśmy ze sobą rozmawiali, ale nawet tego nie robiliśmy. Czy mówił mi jakieś miłe rzeczy? Coś o oczach... Coś o włosach... Więcej nie pamiętam, ale pewnie coś mówił albo wcale nie mówił, a ja je sobie tylko

wymyśliłam. Bo przecież z jakiegoś powodu się pobraliśmy.

Agatka nie była bezpośrednią przyczyną. Agatka, ciąża, brzuch, jak zwał, tak zwał, ale nie była przyczyną, bo dla mnie to była Agatka, dla Michała ciąża, a dla teściowej brzuch.

Jak wiele znaczeń może mieć takie małe istnienie!

— Nie złapałam cię na ciążę! Dużo wcześniej poprosiłeś mnie o rękę! Dlatego poszłam z tobą do łóżka!

— Do łóżka? I ty to nazywałeś łóżkiem? To była czarna rozpacz, nie łóżko...

— Ale te sprawy...

— Te sprawy? Te sprawy? Seks! Seks, nazywaj rzeczy po imieniu! Gdybym wiedział, co z tego wyniknie... Gdybym wiedział, wco mnie wrobisz... W życiu! Słyszysz? W życiu! Zresztą nie było po co! Bo to nie był nawet seks! To była kaszana!

Kaszana!

Teściowa podchodziła do tej sprawy jeszcze mniej oględnie.

— Naciągnęłaś naiwnego chłopaka, na co? Na brzuch! I to na cudzy! Bo mój syn czegoś takiego...

Jej syn czegoś takiego... Miało być „nie zrobił”. Poznaliśmy się, sama nie wiem po co i dlaczego. Pobraliśmy się. Myślałam, że po to, by razem żyć. Jakoś. Jakkolwiek, ale razem, w spokoju, szacunku... w miłości, o której przecież marzyłam.

Nic z tego nie zostało. Nie udało się z tych marzeń zachować nawet odrobiny godności.

Niedoskonałość mojej córki jeszcze bardziej pogmatwała mi świat. Nie. Nie miałam jej tego za złe. Wystarczy, że inni mieli, ale kiedy dziecko pojawia się na świecie, świat nabiera zupełnie innych kształtów, zmieniają się wartości, pojęcie dobra, zła, wszystko się zmienia. Jeszcze bardziej wszystko się zmienia, kiedy dziecko rodzi się niedoskonałe.

Nie tylko zmienia świat, ono po prostu sprawia, że świat przestaje istnieć.

Przyszłość, która jest istotą życia, istotą rozwoju i zmian, przestaje istnieć, bo zmiany nie nadchodzą, a pojawia się rozpacz. Nie rozpacz, że jest niedoskonałe, nie, rozpacz dotyczy nie dziecka, tylko świata.

Bo co będzie? Co będzie kiedyś? Potem? Kiedyś, kiedy nie będzie już nic?

Co będzie, kiedy nagle znikniemy my, my, którzy stanowimy świat tego dziecka. Jak sobie poradzi? Jak? Jak? Jak? Na to pytanie nie ma żadnej odpowiedzi albo prawie żadnej, a jedyna, która jest prawdziwa, to taka: nie poradzi sobie.

Skąd weźmie pieniądze? Co będzie jeść? Będzie głodna...

\*

— Powiedz mi, po co tak naprawdę tu przyjechałaś? — pytanie Janusza rozświetliło mroki mojego umysłu i wydarło mnie z czarnej otchłani na świat.

Jak on zapytał? Po co tak naprawdę tu przyjechałam? Jasnowidz...

— Jak to po co? Po to samo, co wszyscy! — odpowiedziałam, ale wzruszenie ramion jakoś mi nie wyszło.

— Nie. Na turystach znam się dobrze. Przyjeżdżają na dzień, dwa, tydzień, czasami na dwa tygodnie, potem odjeżdżają, ty zachowujesz się tak, jakbyś nigdy nie

miała stąd wyjechać.

— Przeszkadza ci to? A może stać mnie na to, żeby tak właśnie było. — Ta odpowiedź właściwie była prawdziwa. Stać mnie na to, choć w tym wszystkim nie chodzi o pieniądze, a przynajmniej nie tylko.

— Nie... tylko...

— O co ci chodzi? — przerwałam mu, udając, że mnie nie przejrzał. Pogładziłam burą owcę o miękkim pysku i maślanych oczach.

— Nie zachowujesz się jak turysta. Jesteś za mało hałaśliwa, za mało wymagająca, za bardzo... nie wiem, za bardzo do środka.

— Może taka jest moja natura?

— Nie. Owszem, jesteś spokojna, nawet przytłumiona, jesteś spokojna, ale nie wewnątrz, zewnątrz. Nie robisz wokół siebie hałasu, ale w środku... W środku to drżysz.

— Może i drzę, ale o co ci chodzi? — Udałam, że spokojnie ciągnę dyskusję, nie chcąc się przyznać, że dotyka mnie aż za bardzo. Dotyka głęboko. — A ty skąd możesz wiedzieć takie rzeczy? — Wykrzywiłam twarz, udając, że się uśmiecham, ale ponieważ i tak nie mogłam tego zobaczyć, zrezygnowałam z tego przymusu.

— Powiedzmy... taki ze mnie domorośły psycholog, ale zostawmy to. Patrz, jaka jest szczęśliwa — wskazał głową w kierunku małej.

Mała pieściła pieski, owieczki, tarzała się w błocie, szalała. Szczęście dziecka nie kosztuje zbyt wiele. Jeden uśmiech, jeden żart, jedna chwila zabawy. Wytchnienia.

Wytchnienie. Jak późno to zrozumiałam. Bardzo późno. Myślałam, że mój mały rozum i kruche ręce odwrócą rzekę zdarzeń. Codziennie układałam plan działania, uczyłam ją wszystkiego: uśmiechów, liter, słów. Codziennie, przez całe dni. Nie miałyśmy nawet czasu na zabawę. Tylko ćwiczenia, ćwiczenia, ćwiczenia.

Myślałam, że nadrobię swoją marną pracą to, co zepsuła natura. Na siłę, raz po razie. Myślałam, że to najważniejsze. Za wszelką cenę chciałam ją uzdrowić, unormalnić albo choć upodobnić do innych. Może wtedy by ją pokochał?

— I za co, synku, spotkała cię taka kara? Cóżes ty, biedny, Bogu uczynił, że ci takie dziecko dał? Biedaku ty mój! — bia-doliła nad jego losem kochana mamusia, a przecież Agusia nie była karą, była nagrodą, ale jedną z tych nagród, którymi Bóg obdarza najsilniejszych.

Tą najsilniejszą byłam ja.

Najpierw miotałam się między nadzieją a rozpaczą.

— Uda mi się! — mówiłam. — Uda jej się, nam, nam się uda! — poprawiałam i rozkładałam kartoniki do ćwiczeń.

— Kot — mówiłam — powtórz.

— Kot — powtarzała. Szalałam ze szczęścia, że powtórzyła, ale zaraz potem zapominała.

I trzeba było od początku.

— Kot — mówiłam — powtórz.

— Kot — powtarzała. Ponownie szalałam ze szczęścia, że powtórzyła, ale zaraz potem zapominała.

I trzeba było od początku. I trzeba było od początku.

A jej trzeba było wytchnienia. Wytchnienia od nienawiści Michała, od jego i moich



wymagań. Wytchnienia od wszystkiego. Śmiechu, radości, zwykłego życia. Po co było wbrew naturze doganiać wszystko i wszystkich? Po co? Trzeba było brać z życia to, co dawało, i cieszyć się tym.

— A ty od kiedy nie widzisz? — zapytałam, przerywając ciężącą mi ciszę, w której, wiem to na pewno, szykuje następne pytanie, które wkrótce odkryje całą prawdę o mnie i o niej.

— Od zawsze, choć jako małe dziecko podobno widziałem. Nie pamiętam tego, ale czuję to tak, jakby w jasnym pokoju pewnego dnia zgasło światło. Wiesz, jak to jest... Pewnie wiesz...

Pewnie wiem. Oczywiście, że wiem, jak to jest, kiedy gaśnie światło i nie ma już odwrotu przed strachem. Tylko że nie po-trafiłabym żyć w mroku przez całe życie. Nie umiałabym, choć kiedyś żyłam. Kiedy gasło światło, nadchodziły koszmary, nie te senne. Prawdziwe.

Pamiętam wszystkie te momenty. Każdy wieczór, koniec każdego dnia. Jego początek.

Początek był zawsze zwyczajny. Otwierałam oczy i w szarości budzącego się dnia, sączącej się przez okno mojego pokoju wi-działam cienie poruszających się za oknem konarów. Były jak ręce. Jak wielkie chude powykręcane ręce.

Rano nie były straszne. Wystarczyło spojrzeć w okno. Za to wieczorem, kiedy zlewały się z samą ciemnością, one, czarne i straszne, ciemność stawiała się nimi i wszystko, co mnie dotykało, było jak takie wielkie, straszne ręce drzew. I kiedy nadchodziło to, co musiało nadejść, leżałam jak zaczarowana, wsłuchując się w swój oddech, i bałam się, że jest taki głośny i że obudzi kogo-kolwiek, choćby sąsiadów zza ściany.

Gdyby obudził? Byłabym wolna. Wolna i winna.

Czy mała tam w środku posiada ciemność? Czy tak jak Janusz, przez to, kim jest, lub przez to, jaka jest, posiada w środku załazek tej ciemności?

Czy ma w sobie zło? To coś, co sprawia, że dusza czernieje i karleje. Coś, co sprawia, że stajemy się wraz z życiem małymi, podłymi kłamcami, którzy za wszelką cenę chcą przetrwać.

I wszystkie te codzienne, niewinne, zdawałoby się, kłamstwa, które z taką łatwością wypowiadamy, brudzą nam duszę kom-promisem, niepotrzebnym, o jednym za dużo. Ze sąsiadka z dołu w tej nowej fryzurze, nie, no doskonale, a ten pijak z dołu, tak, ma problemy, no i ten sklep na rogu, taki porządny, że aż rzygać się chce, i teściowa, tak mam, no doskonały ten sos, sama wiesz, że nie lubię grzybów, a jem, że aż uszy mi się trzęsą.

I co chwila kolejne kłamstwo. Co chwila następne, niepotrzebne, nikomu do niczego nieprzydatne, jednak jest, a dusza umiera.

Potem już nawet nie wiadomo, co jest prawdą, a co kłamstwem. Nie wiadomo, czy tamto kłamstwo było gorsze czy lepsze. Nic, a dusza umiera.

Jej dusza nie umrze. Nie szernieje. Bo ona nie kłamie. Nie ubiera rzeczywistości w te brudne ubranka z kompromisów. Tyle że nie umiejąc kłamać, nie przetrwa.

— Dlaczego wyrwałaś te kartki z kalendarza? — zapytałam kiedyś, widząc, jak wrzuca po kryjomu kilka kartek do śmietnika. Wyjęłam je.

To była Wielkanoc. Nie ta, która była, ta, która miała nastąpić. Wielkanoc, która

miała nastąpić za dwa tygodnie.

— Córeczko? Dlaczego?

Przerzuciłam w głowie wszystkie jej zachowania i nie znalazłam żadnego, które byłoby choć podobne.

— Córeczko? Dlaczego?

Przerzuciłam w myślach wszystkie dziwne zdarzenia, które wcale nie były aż takie dziwne. Nie znalazłam niczego podobnego.

— Córeczko?

— Bo takie święta nie są mi potrzebne.

Krótką odpowiedź, która jednak niewiele mi wyjaśniła.

— Dlaczego?

— Bo nie!

Tyle się dowiedziałam, ale chciałam wiedzieć o wiele więcej.

— Córeczko, w takim razie będę musiała wydrzeć z kalendarza dzień twoich urodzin...

Ta straszna wiadomość wywołała łzy w oczach. Nie, nie chodziło o prezenty. Chodziło o nieistnienie.

— Córeczko, w takim razie będę musiała wydrzeć z kalendarza dzień twoich urodzin... — powtórzyłam wolno, widząc, jak w jej oczach pojawiają się wielkie, niesamowicie dziecinne łzy.

— Bo takie święta nie są mi potrzebne — powiedziała jeszcze raz. — Nie chcę, żeby on umarł.

Popatrzyłam, jak rozprostowuje pomięte kartki, którym przypisywała taką magiczną moc.

— Chodzi o tego Chrystusa. Chciałam, żeby nie umarł... Załatwiła to po swojemu. Tylko czy inne dziecko martwiłoby się aż tak o Chrystusa?

Czy aż tak by to przeżywało?

A ona tylko chciała naprawić świat, po swojemu. Bez kłamstwa, obłudy i znieczulicy. Znieczulicy, która wkrada się w serce, kiedy obrywamy nogę pluszowemu misiowi, a potem nawet tragedia ludzka nie umie jej pokonać.

\*

A potem stało się to, czego tak bardzo się bałam. To, czego właściwie się nie spodziewałam, choć jakbym trochę na to liczyła. Bo zawsze się liczy, że coś się zmieni.

Mógłby przyjechać. Powiedzieć: Kocham cię. Powiedzieć: Kocham naszą córeczkę. Wracajcie. Nie mogę bez was żyć.

Harlequin. Tfu!

A jednak przyjechał. Nie było oczywiście: Kocham cię, ani: Kocham naszą córeczkę. Nie było kwiatów, łez. Nic. Strach.

Strach i złe słowa w mojej oazie dobroci. Przekleństwa i wyzwiska, i oczy innych ludzi bezmyślnie patrzące to na niego, to na mnie. A niech tam, niech się nawet pozabijają, co to komu szkodzi?

— Ty kretynko, myślałaś, że się wywiniesz? Myślałaś, że cię nie znajdę? Ty kurwo,

pizdo, ty szantrapo pierdolona? Pieniądze!

Myślałam. Tak właśnie myślałam. Nie powiedziałam nic. Nic i nikomu.

Zadzwoiłam tylko... Ale skąd miałby się domyślić, przecież gór nie da się zobaczyć przez słuchawkę telefonu ani nawet usłyszeć.

— No właśnie, debilko! No! Trudno się dziwić, że twoja córka jest taka tępa! Ma to po tobie.

Jak to zrobił?

Przyjechał i już był? Tak zwyczajnie?

Siedział przy stoliku, kiedy wyszłyśmy rano z pokoju. Nie uwierzyłam własnym oczom. Siedział i patrzył na mnie kpiącym wzrokiem, tak jakby mówił:

— Widzisz, kretynko? Widzisz?

Agusia zeszywniała i chwyciła mnie za rękę tak mocno, że aż poczułam ból.

Michał nie był zły. Nie był. Nigdy mnie nawet nie bił. Nigdy na mnie nie podniósł ręki. Jedyne, co podnosił, to głos, ale głos to doskonale narzędzie do powolnego zabijania.

Ale bić mnie nie bił. Dlaczego?

— Bo mi się nie chce! — mówił wtedy, kiedy coś się stało, a on chciał mnie ukarać. — Nie chce mi się! Rękę bym sobie pobrudził. Bo ty jesteś jak gówno! Zwykle śmierdzące gówno. A gówna nie ruszam, bo śmierdzi.

Kochał mnie? Nie sądzę. Może zresztą próbował? Może próbował i mu się nie udało, a może nie próbował?

Żyliśmy zgodnie. On sobie, ja sobie. Każde w innym, odrębnym świecie, każde zajęte czym innym, każde zaprzątnięte innymi sprawami.

Wspólne były obiady, choć nie jedliśmy ich razem. Były wspólne, bo gotowałam je ja.

—Jeżeli masz zamiar ją karmić przy stole, to ja na to nie będę patrzył — tak mówił.

— Ani ja! — mówiła ona.—To jest po prostu obrzydliwe. No popatrz, no popatrz, jak ona się upaprała. Przecież to się niedobrze robi. Ja zaraz zwymiotuję! Zabieraj ją stąd! Natychmiast! Jak się jest świnią, powinno się jeść w chlewie, nie przy stole, wśród ludzi!

Nie chciałam im przeszkadzać, więc jadłyśmy w kuchni. Oni jedli w pokoju.

Wspólne były też pieniądze. Wspólne nie znaczy: i jego, i moje. Wspólne znaczyło: jego. Jego, a ja z nich korzystałam.

Nie był hojny, ale nie mogłam iść do pracy. Bo jak iść do pracy? Jak zostawić małą w domu? Samą?

— W domu? Oszalałaś! Oddaj ją do zakładu! Ja nie będę się z nią mordować!

Do zakładu. Jakie to straszne miejsce. Tam nawet dzieci traktuje się jak przedmioty, nie, nie dlatego że to złe miejsce. Ale i nie dobre.

— Jeżeli ją oddasz, pozwolę ci urodzić drugie dziecko.

Tak powiedział. Pozwolę ci urodzić. Tak jakby on był Bogiem.

Pozwolę ci urodzić drugie dziecko. Pozwolę ci kupić drugie rajstopy, drugą bluzkę, drugie, cokolwiek by to było. A to? A to dziecko się nie liczy.

— Albo nie, bo znowu urodziłabyś jakiegoś potwora! Gówno! Dość sobie już z tobą naszarpałem nerwów!

Michał nie był zły. On tylko za bardzo kochał samego siebie, żeby znaleźć czas i miejsce w sercu na jakąkolwiek inną miłość.

Na początku myślał, że mu się jakoś uda. Chciał mieć żonę jak inni, chciał mieć dzieci jak inni, nie wiedział tylko, że nie wystarczy mieć.

Michał był moją tęczą. Moją drogą, moją wolnością. Michał był przyszłością, tylko nigdy się nie zastanawiałam, jaką przyszłością. Myślałam, że jakakolwiek byłaby lepsza od tego, co było tam w domu. Myślałam, że wszystko byłoby lepsze, ale człowiek za szybko zapomina.

Bo gdybym dokładnie pamiętała, byłabym lepsza. Byłabym o wiele lepsza dla niego.

— Wzięłem cię bosą i nagą. Tak jak stałaś! Nic nie miałaś! Tak mówił mi w tych rzadkich chwilach, kiedy do mnie mówił.

Miał rację. Z domu nie wyniosłam nic poza strachem.

Nic? Wyniosłam jeszcze przekonanie, że jestem najpodlejszą osobą pod słońcem.

—Ty bzdury opowiadasz, dziecko. Bzdury! To mój kolega, on nigdy by tego nie zrobił! Nigdy! Jesteś po prostu niewdzięczna. Podła! Podła! Podła! Specjalnie mi to mówisz, żebym cierpiał!

Nie powiedział tego. Przecież nie zdążyłam mu powiedzieć, ale wydawało mi się, że tak właśnie by powiedział, gdyby zczekał jeszcze chwilę. Gdyby zerwał się sznur, wypadł hak lub zdarzyła się jakakolwiek inna katastrofa.

Oszukałam go. Oszukałam Michała. Okłamałam, choć nie skłamałam. Ja tylko nie powiedziałam. Nie dałam nawet do zrozumienia.

A on myślał, że jestem taka jak inne.

Gdyby wiedział o tym, co stało się, kiedy byłam dzieckiem, i co stawało się wbrew mej woli co noc, na pewno by mnie odrzucił.

A jednak życie pokazało, że chociaż nie wiedział, także mnie odrzucił. Nie było czego żałować.

\*

Mała była, jaka była. Cóż można powiedzieć o własnym dziecku? Nawet gdy się jest w stosunku do niego krytycznym. Tylko że istniał błąd. Podstawowy błąd. Ona rosła. Rosła i była coraz bardziej widoczna, istniała coraz bardziej mimo zakazów Michała. A wraz z tym, jak rosła, rosła i jej inność. Czasami wychodziła nawet na dwór.

Czasami szła ze mną do sklepu. Boże, jak on tego nienawidził.

Bał się, że za jego plecami ludzie będą szeptać, że będą go sobie pokazywać palcami. Ze to, iż ona jest inna, będzie stanowić o jego własnej niechcianej inności.

— Wiesz, to jest ten, co to ma takie dziecko.

A on się tego bał. Chciał być doskonale taki sam albo lepszy. Od kogo? Jak kto? Jak inni. Ci zwykli, normalni inni. Przerazała go myśl, że ludzie o nim myślą. Że myślą o nim źle, tak jakby już samo złe myślenie mogło mu zaszkodzić.

A mała rosła. Rosła i wszystko stawało się coraz trudniejsze. Już nie wszystko dało

się pokryć przeproszającym uśmiechem, już nie zawsze: to tylko dziecko, załatwiało sprawę.

— To tylko dziecko...

Bo było tysiące drobnych momentów, które czyniły życie trudnym. Beknęła w sklepie. Przepraszam. Przewróciła się na ulicy, to jeszcze dziecko, weszła na nogę ekspedientce, rozbiła słoik z dżemem... To tylko dziecko...

I nawet gdyby to była prawda. Bo to była prawda, ale prawda staje się prawdą, dopiero kiedy ktoś ją przyjmuje.

Co zrobiła? Wszystko to, czego nie robią inni. Nie zrobiła zaś tego, co właśnie inni robią. Czy to takie ważne? Nie. To wcale nie jest ważne. Wcale. Co komu przyjdzie z tego, że ktoś inny robi to coś, rytuał udowadniający, że jest człowiekiem, a nie zwierzęciem. Co? Nic!

Bo czy to, że nie bekałam przy stole, już czyni mnie człowiekiem? A jeżeli beknę, to przestanę nim być?

I wszystko to, co robi się całkiem mimochodem, przepuszczanie sąsiadki w klatce, dzień dobry listonoszowi, dziękuję, kiedy wstaję od stołu, i trzymam zamknięte usta, z których nic nie cieknie.

Konwenanse, umowy, wszelkie te ludzkie ceregiele. Ona tego nie umiała zrozumieć, że nie, córeczko, tak się nie robi, rozumiesz? Dlaczego wczoraj beknęłaś przy stole, dlaczego siedzisz z otwartą buzią? No, powiedz!

Ona tego nie umie, więc nie jest człowiekiem, za to ci wszyscy, którzy pokazują ją palcami, którzy wybuchają śmiechem, którzy ją wyzywają, oni są ludźmi? Tylko dlatego, że nie bekają przy stole?

Na czym to polega? To bycie człowiekiem?

— Na czymkolwiek by polegało, ona nigdy nie będzie! Nigdy! Popatrz na jej tępą twarz! Twarz, co ja mówię, na tę wiecznie otwartą, zaślinioną gębę, na te wyłupiaste oczy...

— Nie są wyłupiaste.

— Na ten nochal... popatrz! No! Widzisz w tym jakieś czło-wieczęństwo?

Przebłysk geniuszu?

— Nie...

— A widzisz?!

— Tak, widzę. W tobie tyle człowieczeństwa... Odchodził zadowolony. Nie wyczuwał ani mojego sarkazmu, ani

kpiny. Tak po prostu. Dlaczego jej tak nienawidził? Bo była jego

córką, gdyby nią nie była, mogłaby sobie spokojnie żyć, pewnie nawet by się nad nią litował, a już na pewno by ją tolerował, ale nie jako własną córkę.

Widome świadectwo tego, że nie jest doskonały. Widome, widoczne dla wszystkich, świadectwo, że nie umiał, nie potrafił, nie spłodził dziecka, tylko...

— Tylko chwast! Ludzki chwast!

—To twoja wina! Twoja wina! — krzyczał na samym początku, kiedy nie potrafił zrozumieć, co go spotkało. — Twoja wina.

Bo łatwiej się żyje, kiedy znajdzie się winnego. Bo wtedy wszystko układa się zupełnie inaczej i jest na kogo się gniewać. I można żyć, i wyrzuty sumienia nie zakłócają już snu.

— Przecież czekał pan na dziecko? — ni to stwierdziła, ni to zapytała młoda lekarka, ta sama, która powiedziała nam najwięcej, ta, która rozwiała wszelkie nadzieje.

— Oczywiście, że czekałem.

— I pewnie je pan kochał? — zapytała z grzecznym pół-uśmiechem.

— Pewnie kochałem — odpowiedział, bojąc się podstępu.

— To teraz, kiedy okazuje się, że jest upośledzone, przestaje je pan kochać? To niedorzeczne.

— Boja nie czekałem na to dziecko... Czekałem na normalne dziecko.

\*

—■ Ty, kretynko, myślałaś, że się wywiniesz? Myślałaś, że cię nie znajdę? Ty kurwo, pizdo, ty szantrapo pierdolona. Jak to zrobił?

Przyjechał i już był! Tak zwyczajnie! Przyjechał. Tylko po co? Po co naprawdę zadał sobie ten trud poszukiwania, przyjazdu, przecież nie dla mnie?

— Dla pieniędzy — powiedział, patrząc mi w oczy bez najmniejszego zmrużenia powiek. Były stalowo zimne. I ta ich stalowość to nie był kolor, to był wyraz.

— Oddaj mi moje dwadzieścia pięć tysięcy, kurwo, i to na tychmiast.

— Nie oddam — powiedziałam, spuszcżając głowę, bo nie byłam w stanie wytrzymać jego wzroku.

— Oddasz!

Siedział przy stoliku, kiedy wyszłyśmy rano z pokoju. Siedział i patrzył na mnie kpiącym wzrokiem.

— No co? Myślałaś, że pozwolę ci zniknąć z forszą? Nie-doczekanie twoje! Policja...

— Policja nie ma tu nic do rzeczy — wypaliłam cała drżąca. — Konto było wspólne. Miałam takie same prawa...

— Prawa! Kurwa, i ty mówisz o prawach?! Ty? Złodziejka pierdolona. Oddawaj mi kasę i możesz tu zostać. Razem z tym gównem, co się za tobą chowa. Wcale was nie chcę! Kto by was tam chciał!

Możesz sobie zdychać, gdzie chcesz. Nawet pod mostem, ale forszą mi oddasz, bo oskarżę cię o porwanie dziecka.

— Ty? O porwą...

— Czego się nie robi dla pieniędzy?! Na chwilę będę kochającym tatusiem, a potem oddam ją do jakiejś przechowalni...

Roześmiał się tak cynicznie... Tak gardłowo, tak ostro, jakby wkładał w ten śmiech wszelką swoją złość i całe mieszkające w nim zło. Śmiech to dziwny odgłos. Tyle się go wszędzie słyszy, a rzadko który jest szczerze wesoły. Jego śmiech był szczerze okrutny.

— Nie odda...

Nie dał mi dokończyć.

— Oddasz, bo jak nie, to cię, kurwo, zabiję!

Zrobiło mi się czarno przed oczami. Jego ręka podniosła się wysoko nad głowę.

—Ty kurwoooooooooo — chrapnęło coś głucho w jego gardle i jego pięść spadła jak ognista kula na moją twarz. Nie broniłam się. Nigdy mnie nie bił. Nie powinien był

uderzyć mnie i tym razem. Nie zdążyłam nawet otrząsnąć się ze zdziwienia, kiedy usłyszałam dziki charkot.

Ten dach jest szary. Brudny, ale nikt przecież nie sprząta na dachach. Góruje nad miastem. To jedyne miasto, w którym byłam szczęśliwa, ale i to się kończy. Jak wszystko, musi się skończyć.

Są na świecie ludzie szczęśliwi. Są. Oni nawet tego nie wiedzą, jak bardzo są szczęśliwi. Nad miską zupy. Nad książką dziecka, nad wózkiem z niemowlęciem. Są szczęśliwi, bo mają szczęśliwą codzienność. Szczęśliwa codzienność też istnieje, nawet jeżeli jest tylko codziennością.

I sama nie wiem, po co jeszcze tu stoję. Powinnam już to zrobić. Czy coś mnie powstrzymuje? Nie. To tylko ta świadomość ostateczności. Ze nic już nigdy poza tym. Że to już koniec. Te trzy miesiące, które ukradłam wraz z tamtymi pieniędzmi, miały być prawie wiecznością. A teraz już ich nie ma.

I czy mam jej powiedzieć?

Czy powinna wiedzieć, że za chwilę ją zabiję?

Czy powinna wiedzieć, że umrze?

\*

— Ty kretynko, myślałaś, że się wywiniesz? Myślałaś, że cię nie znajdę?

Myślałam. Tak właśnie myślałam. Nie powiedziałam nic. Nic i nikomu.

Zadzwoiłam tylko...

Siedział przy stoliku, kiedy wyszliśmy rano z pokoju. Nie uwierzyłam własnym oczom. Siedział i patrzył na mnie kpiącym wzrokiem, tak jakby mówił:

— Widzisz, kretynko? Widzisz? Oddawaj mi kasę i możesz tu zostać. Razem z tym głównym, co się za tobą chowa. Wcale was nie chcę! Kto by was tam chciał!

— Nie...

— Bo jak ci przypierdolę!

I wtedy wszedł Janusz. A może już tu był?

— Ty kurwoooooooooo — chrapnęło coś głucho w jego gardle i jego pieść spadła jak ognista kula na moją twarz. Nie broniłam się. Nigdy mnie nie bił. Nie powinien był uderzyć mnie i tym razem. Nie zdążyłam nawet otrząsnąć się ze zdziwienia, kiedy usłyszałam dziki charkot.

I zrobiło się dziwnie. Po raz pierwszy zobaczyłam strach w oczach Michała.

Coś wielkiego, chrapliwego, charczącego, rzuciło się w jego stronę. Jak czarna błyskawica przeleciało nade mną i powaliło go na ziemię jednym ruchem ogromnego cielska.

— Niech pan go zabierze...

Chrrrrrrrr, chrrrrrrrr. Charczało w całym pomieszczeniu. Słodkie, złote oczy psa zamieniły się w oczy bestii.

— Niech pan go zabierze...

— Jakim prawem uderzył pan tę panią?

— A co to pana obchodzi?! — chamstwo Michała znów wylaziło na wierzch.

Im bardziej jednak starał się być pewny siebie, tym groźniej charczał leżący na nim pies. Tak, charczał, nie warczał. Z jego gardzieli wydobywał się wściekły, dziki charkot.

Patrzyłam z niedowierzaniem na to piękne, spokojne zwierzę, które opanowała bestia.

— Chodź, trzeba ci obmyć twarz — powiedział Janusz, wcale nie mając zamiaru odwołać psa. — A panu radzę szybko stąd wyjechać. I nie wracać...

Michał popatrzył na mnie z niedowierzaniem.

— Kochanka sobie znalazłaś? — wysapał spod psa. — No ładnie, kurwa!

Pies zacharczał niebezpiecznie tuż przy jego gardle.

— Niech pan wyjedzie — Janusz podał mi rękę. — Dobrze panu radzę. Tu nie ma pan czego szukać.

— To niech pan zabierze to zwierzę...

Pies posłusznie, choć jakby niechętnie, na gwizdnięcie zszedł z Michała. Siedząca w nim bestia zniknęła gdzieś bez śladu, jakby

nigdy jej tam nie było. Złote oczy znów były złote, pysk jakby uśmiechnięty. Ogon leniwie spuszczone.

Bestio! Gdzie jesteś? — zapytałam, patrząc na to posłuszne, leniwe zwierzę.

Z nosa ciekła mi krew. Mała płakała, kurczowo trzymając mnie za rękę. Piekła mnie warga rozorana o dolne zęby

Szłam, za jedną rękę trzymając małą — za drugą trzymał mnie Janusz — nie wiedząc, dokąd idę.

Zaprowadził mnie do pokoju. Właściwie do mieszkania. Nie podejrzewałam, że takie duże mieszkanie mogło się mieścić w tym pensjonacie.

Potem ktoś opatrzył mi wargę. Ktoś podał herbaty. Ktoś nalał szklanek wódki.

— Masz. Dobrze ci to zrobi.

Janusz był po prostu wszechstronny. Byłam jak w transie. Jeszcze oszołomiona tym, co się stało, tym, że mnie odnalazł, tym, że mnie uderzył, tym, że nie chciał niczego poza pieniędzmi...

I ten pies... Ta bestia, która w nim drzemała. Bestia. Druga strona duszy. Czy i we mnie siedzi jakaś bestia? Choćby całkiem mała. Najmniejsza? Chciałabym mieć taką bestię na własność. Bestię, która by pomagała mi trwać. Na co dzień uśpiona, ugrzecznona, wręcz oswojona, w sytuacji bez wyjścia groźna i bezwzględna.

Łatwiej byłoby żyć z bestią w środku.

## ROZDZIAŁ X

Szłyśmy stromą uliczką. To było trochę później, kiedy już czas się kurczył, padał śnieg i musiałam uciekać.

Szłyśmy za rękę, obie zapatrzone w piętrzące się przed nami góry. Mała z czerwonymi od mrozu policzkami, ja trochę blada. Zamyślona. I nagle za zakrętem wyrósł kościółek. Drewniany, niewielki. Za nim wspinający się jak wszystko tutaj ku górze cmentarzyk zagrzebany pod śniegiem. Groby ledwie wystawały spod niego czubkami krzyży.

— Co to? — zapytała mała.

— Cmentarz — odpowiedziałam najkrócej, jak potrafiłam, aby nie wgłębiać się w nieuniknioną w takim wypadku dyskusję.

— Więc tu mieszkają duchy — stwierdziła. Nie wiem, co mnie podkusiło, żeby ją



wyprowadzić z błędu.

— Nie. Umarli — powiedziałam, zastanawiając się, co z nami zrobią, kiedy już będziemy martwe. Czy tym, że wybrałam sobie to miasto, zasłużyć na kawałek tutejszej ziemi, czy mnie odeślą, odwiozą tam, skąd przyszłam? Jak to jest w takich przypadkach? Przecież nie wykupię grobu za ostatnie pieniądze?!

— Umarli? — zapytała. — Tacy, którzy zachorowali na śmierć?

W jej głowie śmierć była chorobą.

\*

— Chodź — powiedział Janusz, kiedy spotkał nas na schodach, gdy schodziłyśmy na kolację. — Zjecie ze mną. U mnie.

— Ale dlaczego?

Odpowiedź była prosta. Mój nos wyglądał niezbyt dobrze, a warga od rana napuchła jak bania. Zobaczyć z pewnością tego nie mógł, może poznał to po moim zmienionym głosie? Jadłam z trudem, a o wypiciu herbaty czy kawy po prostu nie mogło być mowy.

Więc poszłyśmy za nim. Jedzenie przyniosła siostra w me~~n~~ażkach.

— Nieźle się urządziłeś — powiedziałam, patrząc na jego starannie umeblowane mieszkanie.

— To konieczność — powiedział, uśmiechając się pod nosem. — Nie mogę się potykać o sprzęty. Nie mogę się uderzać w meble. Nie chcę się zabić.

— A to?

— Żebym jeszcze wiedział, na co patrzysz! — roześmiał się trochę żartobliwie, trochę chyba smutno. — Ale czekaj. Niech zgadnę. Komputer?

— Właśnie — zdziwiłam się, po co mu coś takiego.

— Moje narzędzie pracy — odpowiedział prawie wesoło.

— To ty pracujesz? — moje zdziwienie wcale go chyba nie zdziwiło.

— A jak to sobie wyobrażasz? Że siedzę w domu całymi dniami, na utrzymaniu siostry? Jak jakiś darmozjad...

Darmozjad. Jakie to straszne słowo. Sprawia, że każdy kęs staje ci w gardle i dławi. Sprawia, że nie należy ci się nic. Nawet dobre słowo.

— Dobre słowo? Na dobre słowo też trzeba zapracować! Patrzcie no! Jakie to ma wymagania!

Podchodzisz do lodówki i myślisz, czy cię przyłapie. Tak dla czystej przyjemności komentarza.

— Co, znowu żresz? Tylko boczku mi nie ruszaj!

— Co, jak to mała? Znowu głodna? Czy to dziecko tylko umie żreć i srać?

Podchodzisz do lodówki i choć to nie jest zakazane, czujesz się winna, bo jesteś tylko pieprzonym darmozjadem. I nic ci się nie należy. Ani odpoczynek, bo po czym, do cholery, ty masz odpoczywać?! Ani kawałek ciasta. Bo patrzcie, państwo, ciasta jej się zachciało, dla kuzynki zrobiłam, jutro ma przyjść na kawę...

Gdybym miała pieniądze, wszystko smakowałoby inaczej. Lepiej. I może kupiłabym sobie dobre słowo?

Obudziłam się w jakimś dziwnym otoczeniu, potem przez chwilę usiłowałam sobie przypomnieć, co się właściwie stało, bo chyba coś się stało. Było zdecydowanie za

biało.

— Iuuu, iuuu — powiedziała ni z tego, ni z owego Agusia.

— Iuuu, iuuu — powtórzyła.

— Co się stało? — zapytałam sama siebie, czułam, że coś jest nie tak.

— Zasłabłaś — odpowiedział głos obok mnie i kiedy z trudem przekreśliłam głowę, zobaczyłam Janusza. — Jesteś w szpitalu.

Szpital? Nie! Ja nie mogę sobie na to pozwolić!

Zaraz, zaraz. Jak to się mogło stać? Byłam przecież w pensjo-nacie... Pamiętam jakieś zamieszanie. Pamiętam, że poszliśmy na kolację. Chyba do Janusza? Kiedy to było?

— Dlaczego mi nie powiedziałaś, że chorujesz?

Zaraz. Moment. Czego on ode mnie chce? Ja choruję? No, choruję, ale nie będę się z tego zwierzać!

— Nie powiedziałam ci? Ale ja nie choruję — skłamałam gładko. — Wszystko jest w porządku. Naprawdę.

— Nie kłam. Twoje wyniki...

— Odwal się od moich wyników! — zaprotestowałam słabo. — To nie twoja sprawa. Rozumiesz?! — mój głos, który miał być zdecydowanym krzykiem, był tylko marnym szeptem. To coś dopadło mnie wcześniej. Wcześniej niż zapowiadali lekarze.

— O Boże! Jak długo tu jestem? Co z małą? — jęknęłam.

— Spokojnie — głos Janusza nie wydawał się zdenerwowany.

— Przyszła do mnie w nocy... Mała. Noc. Janusz. Jezus Maria!

— Ubrana?! — otworzyłam oczy szeroko z przerażenia.

— Oczywiście, że ubrana! Przyszła i powiedziała, że jakoś tak dziwnie śpisz.

Więc pobiegłam. Wezwałam pogotowie...

— Jak długo tu jestem?!

— Trzy dni — padła odpowiedź, od której zrobiło mi się jeszcze bardziej słabo. Trzy dni? Zostawiłam dziecko bez opieki na trzy dni? Samo? Jak mogłam być taka nieodpowiedzialna...

— A mała? — Moje pytanie nie było właściwie pytaniem, bo cóż on mógł mi powiedzieć o małej. O jej strachu, o koszmarze, który przeżyła, i o tym, który ją jeszcze czeka.

— Mała? Przecież to całkiem duża dziewczyna. Ona ma chyba ze czternaście lat!

— Szesnaście — odpowiadam machinalnie i nagle gorący pot oblał mi czoło i ręce. Skąd wiedział? Przecież nie widzi...

— Nie dotykałeś jej?! — krzyknęłam tym razem naprawdę, wkładając w głos resztki moich sił. — Mów?! Nie zrobiłeś tego?!

Serce łomotało mi tak jak wtedy, kiedy to samo pytanie zadałam Michałowi.

— Oczywiście, że jej nie dotykałem! — padła pewna odpowiedź, tamta była taka sama, a jednak wyczuwałam w niej fałsz, w tej nie było go słyhać.

— Oczywiście, że jej nie dotykałem! Zgłupiałaś chyba. Po co miałbym ją dotykać?! Fakt, nie widzę, ale słyszę! Słyszę choćby, skąd dochodzi do mnie jej głos... To proste.

Taka była ta odpowiedź i chyba mnie uspokoiła. Nie dotykał jej. Nie. A Michał? Jego

odpowiedź była prawie taka sama.

— Oczywiście, że jej nie dotykałem... zgłupiałaś, po co miałbym... zresztą, to przecież moje dziecko... także i moje, więc gdybym nawet...

— Ty świniu!

„Ty świniu” wyrwało mi się chyba głośno, bo zobaczyłam zdziwioną reakcję obojga. Mała trzymała mnie za rękę, siedząc na szpitalnym krzeselku, Janusz siedział tuż przy głowie z miną tak zdziwioną, że aż brzydka.

— Przepraszam, to nie było do ciebie — powiedziałam i sama nie wiem, czemu dotknęłam jego leżące na łóżku ręki.

Nie lubię dotykać ludzi. Nienawidzę dotyku. Wszystkiego tego, co z nim jest związane. Nienawidzę tłoku w autobusie i kolejk, nienawidzę, kiedy ktoś bierze mnie za rękę.

To takie osobiste. To takie nieczyste, takie oślizłe. Cofnęłam rękę, a Janusz roześmiał się, jakby to go rozbawiło.

— Nie gryzę — powiedział — a ślepotą nie można się zarazić... — dodał nagle tak gorzko, jakby ktoś w to wątpił.

— Ale mówisz, że była ubrana?

— Aż za bardzo — uśmiechnął się smutno. — Buty. Kurtka. Czapka. Rękawiczki. Wszystko po to, żeby zapukać do mnie. Do mnie. Trzy pokoje dalej...

— Wiem, ale...

— Gdyby się tak nie ubierała, mogłaby wezwać pomoc o wiele wcześniej...

— Tak, ale...

Bo jest jedno „tak, ale”... Ona nie rozróżnia stanów pośrednich. Jest albo czarne, albo białe. Nie ma szarego. Nie ma: tyle wystarczy, już dość, w takiej sytuacji wystarczy tyle, w innej tyle, a w jeszcze innej tyle. Nie. Jest albo, albo.

Jeżeli powiem jej: nie otwieraj drzwi, nie otworzy. Nie otworzy nawet mnie, choćbym zapomniała kluczy. Choćbym błagała, płakała i tłumaczyła.

— Córeczko, to ja... Córeczko, otwórz...

— Mama mówiła, żeby nie otwierać.

I może się palić. Nie otworzy. I trzeba znaleźć inne wyjście. Wejść przez okno albo przez balkon, bo drzwi nie otworzy.

Jeżeli następnym razem powiem jej: nie otwieraj, chyba że będzie to ktoś znajomy. Tata, mama, babcia... Wtedy otworzy każdemu.

— Przecież tak cię prosiłam...

— Powiedziałaś: znajomy. Musiałam otworzyć, żeby zobaczyć, czy nie jest znajomy.

Bo nie ma stanów pośrednich. Jest tylko albo, albo. Nie mogłam pozwolić, aby biegała po pensjonacie bez majtek. Mogła to zrobić. Mogła to zrobić, a miała już szesnaście lat.

Piersi dorosłej kobiety. Ciało rozwinięte ponad wiek. I umysł małego dziecka.

Są zdrowe umysłowo dzieci zamknięte w skorupach zepsutych ciał, które uniemożliwiają funkcjonowanie. Nie mogą chodzić, biegać. Śmiać się. Niektóre zamknięte są na dodatkowy klucz porażenia mózgowego czy jakiejś innej strasznej dolegliwości i nie potrafią mówić, nie potrafią nawet poruszać rękoma, nogami...

Są dzieci upośledzone umysłowo w pięknych ciałach zdrowych ludzi. One też nie

umieją z tych ciał korzystać w pełni. Rozrzutność.

\*

Wysiadaliśmy wtedy z autobusu: Janusz, mała i ja. To był jeden z tych dni, które nastąpiły przedtem, zanim wylądowałam w szpitalu.

— Cześć, Jasiu — powiedział kierowca do Janusza. — Pozdrów żonę!

Roześmiał się gardłowo. Chrapliwie. Śmiesznie.

I wtedy nagle coś przysło. Coś zgasło, coś posypało się jak kolorowe perełki pod moje niezgrabne buty, ginąc z chrzęstem, jakieś słowa. On jest żonaty? On jest żonaty i nie ma na imię Janusz, tylko Jasiu? On jest oszustem.

Tylko co to mnie obchodzi? Ze jest, nie jest, był, będzie żonaty. Dlaczego miałoby mi to przeszkadzać? To nie ma znaczenia. To nie moja sprawa. Więc dlaczego przeszkadza?

Bo chciałabym mieć kogoś na własność, choćby przyjaciela, który nigdy nie powie: no wiesz, nie mam czasu, sama rozumiesz, żona.

Przyjaciela, który będzie tak bardzo mój, jak jeszcze nic i nikt. A on nawet nie miał na imię Janusz.

A oni wszyscy tu go znali. Patrzyli na niego i na mnie i myśleli o jego żonie. Patrzyli na mnie i myśleli: jaka ona biedna, będzie robić sobie nadzieję, a on jest żonaty.

\*

Od zawsze byłyśmy same. Same, w samotności podobnej do trądu, w której omija cię każdy z daleka, nawet nie usiłując powiedzieć dzień dobry. Wszystko, co miałam, to był on. Nie kochałam go. Nie, to tylko moja samotność była tak wielka, że on jeden umiał ją odgonić.

Patrzyłam na ludzi z daleka, zastanawiając się, jak to jest być nimi. Jak to jest mieć kochającego męża, zdrowe, normalne dziecko, przyjaciół, z którymi idzie się na kawę. Pracę, przyszłość.

Jak to jest mieć wszystko? Myślałam, że Bóg jest niesprawiedliwy, że jednym daje wszystko, innym nic, ale kiedy głębiej się nad tym zastanowiłam, to stwierdziłam, że jednak nie. To fakt, że jak się ma, to ma się wszystko, ale jak się traci, coś jednego, coś zwykłego, zdrowie, pracę, miłość, to traci się też wszystko.

Bo albo wszystko, albo nic. Kiedy tracisz zdrowie, zaczynasz narzekać, słabnąć, zaczynasz gorzej pracować, więc tracisz pracę, potem znajomych znużonych swoją chorobą, potem męża, który woli drugą, silniejszą, miłszą i tak po kolei... Cokolwiek byłoby pierwsze. Praca, dziecko, miłość, cokolwiek, i tak kończy się to tym samym. Pustką. Głuchą pustką wokół ciebie.

Więc dlatego Bóg nie dał mi pracy, miłości, przyjaźni, dając mi upośledzone dziecko, bo wiedział, że i tak wszystko stracę. To byłoby marnotrawstwo.

Janusz stał się kimś, kimś szczególnym. Początkowo sądziłam, że dlatego że nie widzi.

Początkowo sądziłam, że dlatego iż nie widzi, umie traktować moją córkę tak, jakby była zwykłym dzieckiem. Zwykłym normalnym dzieckiem.

Ale on widział. Może nie w taki sposób jak każdy z nas, inaczej, ale widział. Widział, więc wiedział, a mimo to umiał.

Czy był jakiś szczególnie dobry przez to, czego sam doświadczył?

Bo przecież też doświadczył...

— Dlaczego mi nie powiedziałeś, że chorujesz? — pytanie Janusza powróciło pod wieczór, kiedy kazałam mu się wynieść i równocześnie prosiłam Boga, żeby został. To takie nieoczekiwane.

— Bo nic mi nie jest — odpowiedziałam i chciałam, żeby to choć wyglądało na prawdę.

— Ale twoje wyniki...

— Gównu mnie obchodzą wyniki. Nic mi nie jest!

— Ja wiem, co chcesz zrobić.

Tak powiedział. Wiem, co chcesz zrobić. Wie, ale czy na pewno wiedział? Bo jeżeli wiedział, to koniec, to będę musiała uciekać. Jeżeli wiedział, to był dla mnie zagrożeniem.

Bo by mi nie pozwolił. Bo w głupio rozumianym człowieczeństwie, które i tak w jego wydaniu jest piękne, uniemożliwiłby mi spokojne przejście na drugą stronę.

Usiłowałby mnie uratować, a przede wszystkim chciałby uratować moje dziecko.

A jeżeli uratujesz komuś życie, stajesz się za niego odpowiedzialny... Ale ta zasada dawno już straciła na ważności. Dawno już nikt nie bierze jej serio.

Janusz musiałby mi przeszkodzić dla własnego dobra. Bałby się, że gdyby mi pozwolił, potem miałby wyrzuty sumienia. Więc jeżeli wiedział, musiałam uciekać. Dokąd? Jeszcze nie wiedziałam, ale postanowiłam, jak tylko mnie wypuszczą z tego cholernego szpitala...

No właśnie. Kiedy mnie wypuszczą. To ubezwłasnowolnienie. Nienawidzę go.

Jestem jak samotna wyspa w oceanie tłumów. Jestem i chcę zostać samotną wyspą.

Samotna, choć nie sama. Ja i moje dziecko. Obie obserwowane z daleka jak dziwolągi, otoczone niezdrową ciekawością.

I nawet jeżeli wie, to i tak nie uda mu się nic zrobić. Nie uda mu się, bo ja na to nie pozwolę.

Bo nie mam wyjścia. Nie mam innego wyjścia.

Wyjście jest, powiedziałyby ktoś obok. Wyjście jest, nie ma po co od razu zabijać! Są tysiące wyjść, ale jedno to już na pewno.

Trzeba ją oddać do zakładu. Będzie miała co jeść i opiekę...

Do takiego, do jakiego już raz zawiózł ją Michał.

Mała wtedy skończyła dwanaście lat. Skończyła szkołę. Nie taką, jaką dla niej sobie wymarzyłam. Szkołę specjalną w klasie, jakich nie ma w innych szkołach. Nazywają to szkołą życia. Dla mnie to była szkoła przetrwania.

Niczego się nie nauczyła. Najmniej życia.

— Trzeba ją oddać do zakładu — powiedział wtedy. Bezwarunkowo. Jego ton oznaczał, że już się przygotował, wyszukał, dowiedział i sprawdził.

— Trzeba ją oddać do zakładu! Już dość się z nią namęczyliśmy — zawyrokowała teściowa. Oni? Namęczyli się? I sprawa z głowy, zaczynamy nowe życie.

— Gdzie mała!? — krzyknęłam do teściowej, poszłam po zakupy, a małej już nie było. Teściowa tylko wzruszyła ramionami.

- Tam gdzie jej miejsce. Michał ją odwiózł.
- Gdzie?
- Do zakładu.
- Ale gdzie?
- A gównu ci do tego!

Przerzuciłam cały dom, zanim znalazłam adres tego zakładu. Wiedziałam, że na jakiejś kartce, w jakimś zeszycie albo na świstku zmiętym w rogu szuflady, albo na marginesie gazety znajdę ten adres. Wiedziałam. Znalazłam. Zakład był daleko. Trzeba było jechać kilka godzin pociągiem.

Pojechałam tam. Przyjechałam dobre dziesięć godzin po tym, jak ona tam się znalazła.

Zobaczę, jak tam jest, tłumaczyłam sobie, ale w środku wiedziałam, że to nie jest dobre miejsce.

Było szare. Bure. Smutne. Śmierdziało szpitalem i kurzem.

Już sam budynek...

- Jak to, nie ma pani ograniczonych praw? Mąż twierdził...
- A sprawdziła pani?

Powiedział, że mam ograniczone prawa rodzicielskie. Żeby mi jej nie oddali. Ale nie mieli wyjścia.

A ona siedziała na korytarzu. Na podłodze. Ubrana w jakąś niby piżamę, podobną do dresu, w szpitalnym szlafroku.

- Dlaczego ona jest tak ubrana?

— To żeby nie uciekła. Jak mogłaby uciec? Dokąd? Kto jak kto, ale nie Aga. Płakała. Wyla. Kiwała się to w jedną, to w drugą stronę, jakby zawieszona w próżni. Zobaczyłam, jak siedzi samotna pod ścianą, jak patrzy bezmyślnie w dal, jak kiwa się miarowo w tę i tamtą stronę.

- Córeczko!

Nie odezwała się. Te kilka godzin już ją zmieniło. I ona miała spędzić tu resztę życia? Do końca życia miała patrzeć na te odrapane ściany? Codziennie miała umierać po trochu, po raz kolejny?

Za co? Czy zrobiła coś złego, żeby zamykać ją w tym więzieniu? Czyjej upośledzenie jest karalne?

Gdyby nie miała rodziny. Matki. Ojca. Gdyby była samotna do szpiku kości i głodna jak pies na śmietniku, i tak nie chciałaby tam być, więc dlaczego wyrokiem własnego ojca miała spędzić resztę życia w zamknięciu?

Zabrałam ją stamtąd. Michał za to znienawidził mnie jeszcze bardziej, choć właściwie zupełnie mnie to nie obchodziło.

Zabrałam ją drżącą. Przebrałam w jej własne ubranie. Poszliśmy na dworzec. Całą noc przesiedziałyśmy na odrapanej stacyjce, gdzie nawet kasy były nieczynne, wiatr hulał po poczekalni, a okna skrzypiały, jakby za chwilę miały umrzeć, ale to było lepsze niż zakład. Nie ten zakład, ale jakikolwiek zakład.

Rano nadjechał nasz pociąg. Jeden z tych, które odjeżdżają raz na dobę i zatrzymują się wszędzie tam, gdzie nikt nie wysiada, i przywrócił nas życiu.

W domu czekała nas niemiła niespodzianka.

W naszym pokoju zrobiono porządek. Michał wyrzucił wszystko, co należało do

małej. Nawet jej łóżko.

Jakimś cudem odnalazłam je w osiedlowym śmietniku, łóżko i starego misia, na którego nie skusiło się żadne śmietnikowe dziecko, jakich teraz pełno. Całą resztę odtwarzaliśmy powoli.

— Dlaczego to zrobiłeś?! — krzyknęłam, kiedy ledwie żywe wciągałyśmy łóżko na drugie piętro. Jakimś cudem Aga zrozumiała, że musi mi pomóc. Inaczej by się nie udało.

— Dlaczego to zrobiłeś?

— Chciałem zmienić wam meble — powiedział, patrząc mi prosto w oczy — ale skoro znosisz ze śmietnika te starocie, nie kupię ci nic.

Nie chciał zmienić nam mebli. Chciał tylko, żeby znów mnie zabolalo. Żeby wszystko było moją winą. Żebym była odpowiedzialna za każdą najdrobniejszą nawet rzecz, za każdą złą rzecz.

— Chciałem zmienić wam meble — powiedział, a Agatce zaświeciły się oczy.

— Dostanę nowe łóżeczko? — zapytała z takim ogromem nadziei, że aż mnie zatkało.

— Dostaniesz gówno — powiedział, cedząc słowa. — Chyba wiesz, co to jest gówno?

Aga dostała nowe łóżeczko, no, może nie całkiem nowe. Wymyśliłam taką zabawę, że się zamienimy. Ona będzie spała w nowym, czyli moim, ja będę spała w nowym, czyli jej.

Nie mogłam pozwolić, żeby spała w łóżku ze śmietnika.

— Tata mnie nie lubi, prawda? — zapytała wtedy chyba po raz pierwszy i ostatni o coś, co dotyczyło i jej, i Michała równocześnie.

Co miałam odpowiedzieć?

Jeżeli ktoś zna odpowiedź na to konkretne pytanie, w tej konkretnej sytuacji, to jest Bogiem, bo tylko Bóg posiada wiedzę dostatecznie dużą i dostatecznie dobrą, aby na nie odpowiedzieć.

— Czasami tak bywa — odparłam, bo ja nie jestem Bogiem i nie znam odpowiedzi na takie pytanie.

— Czy to dlatego, że jestem upośledzona?

— Jaka? Kochanie?

— Upośledzona. Tata tak powiedział, jak zabrał mnie tam, do zakładu.

Oszczędzałam jej wiedzy na temat jej samej, która niewiele by jej dała korzyści, a wiele zupełnie niepotrzebnej zgryzoty.

— Porzucamy się poduszkami? — zapytałam wtedy niezbyt mądrze i zakończyłyśmy wyprawę małej dziewczynki w wielki niedobry świat wojną na poduszki.

Wielki niedobry świat wcale nie potrzebował wypraw. Był tu, tuż za rogiem, i codziennie wkradał się po trochu do jej małego upośledzonego świata, ale póki dało się go jeszcze zwyciężyć poduszkami, nie wydawał się aż taki straszny.

## ROZDZIAŁ XI

— No i jak się dzisiaj czujesz? — Janusz pogładził moją leżącą na kołdrze rękę.

Usiłowałam jej nie cofnąć, ale wyrwałam ją z tym większą siłą. Nie wolno walczyć z naturą, bo ona i tak zwycięża za każdym razem.

— Nie widzisz, że świetnie? Zupełnie nie rozumiem, dlaczego mnie tu jeszcze trzymają?

— Trzymają cię, bo sama wiesz. — Odwrócił się do Agi. — Masz tu dwa złote. Pójdiesz do tamtego automatu na dole i kupisz sobie batonika. Tak jak cię uczyłem. Poradzisz sobie?

— Tak! — z zachwytem krzyknęła Aga i chwyciwszy pieniądze, wybiegła, nie zwracając uwagi na moje protesty.

Janusz na chwilę zeszywniał i już wiedziałam, co się stanie.

— Przecież to jest rak — powiedział czarnym głosem. — To jest rak i ty o tym wiesz!

— Pieprzysz! — odparłam najswobodniej, jak umiałam.

— Nie udawaj! Za chwilę wróci Aga i nie będziemy już o tym rozmawiać.

Powiedz coś, na litość Boską! Powiedz!

— Bóg nie ma litości — odpowiedziałam ponuro. — A ja mam raka. Cóż. Nie ja pierwsza. Nie ja ostatnia. Zresztą co cię to obchodzi? Ty Matko Tereso w męskim wydaniu!

— Obchodzi mnie. Obchodzi, bo... ty nie zamierzasz się leczyć!

— Puk, puk! — popukałam go w czoło. — Tego się nie da wyleczyć! To nieuleczalne! To się nazywa rak!

— Można próbować.

— Po co? — wzruszyłam ramionami. — Dla kogo?

— Choćby dla niej! Dla małej!

— Co ty możesz wiedzieć! Co ty możesz wiedzieć!? — prawie krzyknęłam. — To nie jest twoja sprawa! Zacznę się leczyć, szanse są minimalne... i co, jeśli...

Wróciła Agatka z dwoma batonikami.

— Wrzuciłam raz. Dostałam batonika. Dostałam też pieniążek. Więc wrzuciłam jeszcze raz. I mam dwa!

— A widzisz, jaka jesteś sprytna! — pochwalił ją Janusz. — Świetnie sobie poradziłaś.

Nie dałam rady. Rozpłakałam się. Boże! Dlaczego każesz mi na to patrzeć!? Wiem. Dobrze, sama wybrałam sobie męża. Tylko po co pokazujesz mi, że istnieją jeszcze inni, zupełnie inni mężczyźni, i to teraz. Dlaczego nie pokazałeś mi tego wcześniej?

— Zaraz, zaraz? Który dzisiaj? Byłam trzy dni, teraz jeszcze dwa...

Straszna myśl spadła na mnie jak grom z jasnego nieba. Dwudziesty pierwszy.

Dzisiaj jest dwudziesty pierwszy! Aga dostanie okres!

I co teraz?! Sama sobie nie poradzi, a nie mogę przecież powiedzieć o tym Januszowi.

Nagle zrozumiałam też i drugą z ważnych spraw. Sami mnie nie wypiszą. Muszę stąd wyjść na własne żądanie.

Poproszę o jakieś leki przeciwbólowe i jakoś dotrwam do końca. Bo koniec przecież wyznaczę sama, jak ból stanie się nie do zniesienia, zdecyduję...

— Nie przyjeżdżajcie do mnie jutro — powiedziałam z czymś w rodzaju uśmiechu przeznaczonego dla Agatki. — Są jakieś badania czy co... — skłamałam



gładko.

Kiedy wyszli, wiedziałam już, jak to zrobię i kiedy. Z samego rana wypiszę się na własne żądanie. Wyjdę i wrócę do pensjonatu. Spakuję małą i wyjadę...

Nie. Nie spakuję. Wyjdę z małą do banku. Wsiądę w pierwszy lepszy bus, a potem poślę po bagaże.

Źle! Będzie mnie szukał.

Dlaczego miałby mnie szukać? Kim ja dla niego jestem? Wiedziałam jednak, że będzie. Więc się spakuję i zniknę.

\*

To wtedy, idąc noga za nogą ze szpitala, spojrzałam na tamto osiedle. Było idealne. Bo w Zakopanem nie ma wysokich budynków. Nie ma budynków, z których upadek dawałby gwarancję.

Nie ma wieżowców, dziesięciopiętrowych bloków ani drapaczy chmur. Nie wzięłam tego po uwagę, kiedy tujechałam.

Wszystko jest takie samo. Na miarę. Strome, ale niezbyt wysokie. Można by sobie skrócić kark na tyle, żeby zostać kaleką.

A tu, jakimś cudem, zupełnie zwykłe osiedle bloków. Bloki. Klocki o płaskich dachach, z których łatwo skoczyć, ba, nawet spaść. Cztery piętra i śnieg na betonie, ale trzeba będzie sobie jakoś poradzić.

\*

Do pensjonatu przyjechałam po śniadaniu. Aga siedziała przed telewizorem w pokoju, czysto ubrana. Między nogami nie miała wielkiej czerwonej plamy. Zdążyłam.

— Pójdiesz teraz, założysz podpaskę i jedziemy coś załatwić — powiedziałam spokojnie, choć w duszy miałam zamęt.

— Ale Janusz ma mnie zabrać na gulgig. — Aga wyraźnie jak nigdy miała swoje własne plany.

— Nie na gulgig, tylko kulgig. Tym razem będziesz musiała zrezygnować. Mamy mnóstwo spraw do załatwienia.

Systematycznie pakowałam walizki. Jeżeli dojdę z tym do drogi i złapię taksówkę, zmyślę pościg.

Co ja do cholery opowiadam?! Jaki pościg! Przecież to bezsens!

Zeszłam do kuchni i zapłaciłam za ostatni tydzień.

— Potrącę pani za wyżywienie w ostatnich dniach.

— Nie trzeba — warknęłam, chcąc załatwić sprawę jak najszybciej. — To będzie za opiekę nad moją córką.

— Niech mnie pani nie obraża! — kobieta wyraźnie się zdenerwowała. — Nie jadła pani, to pani nie płaci. Koniec. Kropka.

Jakimś cudem uniknęłam spotkania z Januszem. Kiedy dotarłam do drogi i wsiadłam do taksówki, czułam się wolna. Mała płakała.

— Zobaczmy Misia? — zapytała, a ja z okrucieństwem,

0 jakie nigdy się nie podejrzewałam, odpowiedziałam:

— Nie.

\*

Ale wcześniej były święta. Zaraz potem, jak przyjechał Michał. Zaraz potem, jak mnie uderzył. A święta były piękne i straszne. Dobre i złe. Jak każde święta. Bo każde święta przywołują nostalgię za tym, kogo już nie ma. Za tym, kto mógłby, gdyby chciał, ale nie chciało mu się chcieć. Za mijającym czasem, który tak szybko ucieka, jakby się bał, że ktoś go dogoni. Za wszystkim, czego nie ma i nie będzie. Za wszystkim, czego nie ma, choć było. Za wszystkim.

Prezenty ułożone równiutko pod choinką, twarda rzeczywistość na tę chwilę zamyka pysk i nagle nie wiadomo dlaczego przypominamy sobie Kasię, tę z trzeciej ławki, która zmarła zaraz po urodzeniu dziecka. Ilonę, tę która jadła śledzie na śniadanie

I była chuda jak śmierć. Wiesia, tego, który wyjechał. I tysiące innych nieważnych osób. Jakichś dawno zapomnianych przyjaciół, ukochanych wrogów, bez których nawet sens nie ma sensu, kolegów i sąsiadów.

Te święta nadeszły niespodziewanie, bo miały być inne. Pozwolono mi ubrać w pokoju choinkę. Nawet ją dostarczono. Kupiłam bombki, zabawki, łańcuchy, wszystko równo poukładałam na łóżku. Na szafkach rozłociłam jabłka, pomarańcze i banany.

Kolorowe ciasteczka i cukierki w pięknych papierkach. Pokój stał się bardziej zamieszkały. Aga popatrzyła na te złote ozdoby, na błyszczące włosy anielskie, na bombki i inne cuda z niedowierzaniem.

— Czy to dla naszej choinki? — zapytała tak, jakby choinka była osobą.

— Tak. Zaraz ją ubierzemy — odpowiedziałam. — Ty ją ubierzesz, jeśli chcesz... Aga aż podskoczyła z zachwytu. Po raz pierwszy w życiu pozwolono jej ubierać choinkę. Pozwolono? Pozwoliłam.

W domu choinka była bardzo krótko. Pierwsze dwa czy trzy lata. Potem zastąpił ją stroik na stole. Potem niewielka plastikowa ozdoba w kształcie choinki.

— Nie będę wydawał pieniędzy na takie pierdoły jak bombki czy łańcuchy. Tak mawiał, ale w pokoju jego matki, właściwie w jej mieszkaniu, bo to było jakby oddzielne mieszkanie w mieszkaniu, była choinka. Cała dla niego. Z ozdobami, prezentami, sztucznym śniegiem. Czasami udawało się nam ją zobaczyć przez niedomknięte drzwi, bo do mieszkania jego matki nie wchodziłyśmy, nie tylko dlatego, że nikt nas tam nie zapraszał.

W pensjonacie już od rana pichcono wigilijne dania. Zajęte były prawie wszystkie pokoje.

Z radia ciekły leniwie kolędy. Pachniało świeżo pastowanymi podłogami. Wszędzie, gdzie się dało, wisiały gałęzie ostrokrzewu, świerku i jemiola.

Pachniało świętami. Na ulicach zima położyła świeży śnieg i rozpostarła bajkę na świerkach. W ciemnościach skrzył się biały puch wirujący w świetle latarni.

Nigdy nie widziałam nic równie pięknego.

Te zapachy, kolory i widoki splotły się w jedno nieodparte wrażenie, że są święta. Są, istnieją, żyją dla nas.

Mała przyglądała się wszystkiemu z wypiekami na twarzy. Jej rzęsy opadały raz po raz na rozświetlone oczy, a rzęsy miała jak dwie czarne firanki.

— Nie będziecie chyba jadły w jadalni — powiedział z dziwną miną Janusz, kiedy zobaczył, jak schodzimy na kolację. — Zapraszam was do siebie. Będzie o

wiele przyjemniej.

— A Miś? — mała wykorzystała okazję, żeby mnie zdraǳić.

— Będzie i Miś — odpowiedział z uśmiechem Janusz. — I będzie mnóstwo innych atrakcji — dodał po chwili, prowadząc nas na górę.

Jego pokój, a właściwie mieszkanie łączyło się wąskim korytarzem z jeszcze innym, które znajdowało się w prywatnej części pensjonatu.

I wszystko tu było świąteczne. I haftowane obrusy, i białe firanki, i patery z ciastami, i choinka ubrana w czerwono—złote kokardy, bombki i świeczki.

I to były właśnie moje marzenia. Co prawda, to nie były moje święta, a zostałam na nie tylko zaproszona, i beze mnie byłyby równie albo może nawet jeszcze bardziej udane. I to nie był ani mój dom, ani moja choinka, ani haftowane moją ręką obrusy, ale to właśnie sobie kiedyś wymarzyłam. Jeszcze w domu dziecka, gdzie marzy się najczęściej o domu i o świętach. Wymarzyłam każdy szczegół świątecznego wystroju. Wszystkie ozdoby i meble, wszystko. Tak właśnie miało być. Kiedy? Zaraz jak wyjdę za mąż, bo mi się wydawało, że jak wyjdę za mąż, będę szczęśliwa.

Tylko że nie zawsze tak się udaje.

— Co? Haftowany? Po cholere!

— A to? Nie! Nie ma potrzeby kupować stroików na drzwi. Za drogie i igły się potem sypią... A kupować kasety z kołędami? Na jeden dzień?

Michał nie był człowiekiem wierzącym, choć rzadko się do tego przyznawał. Dla niego Bóg był dodatkiem.

Święta w domu nie były nawet smutne. One nie były w ogóle świąteczne. Nie było w nich żadnej magii. Ani zapachów, ani kolorów. I nawet jeżeli ugotowało się barszcz z uszkami, to nie smakował wigilijnie, ot, zwykły barszcz. Zwykłe uszka.

A tu święta były. We wszystkim, nawet w świerkach za oknem. W zapachach dochodzących z kuchni. W atmosferze, w kołędach. W jego czarnych od wewnętrznej nocy oczach.

Ta jego wewnętrzna noc nie była czarna od zła, ale od tego, że nie docierało do niej światło.

I było wszystko, o czym zawsze marzyłam.

Aga i prezenty, i świeczki, i kolędy, i wspañiała kolacja wigilijna, i Janusz, uroczysty na tę okazję, i pies jeszcze piękniejszy,

IÓI

o jeszcze bardziej złotych oczach. Mieniły się w nich blaski wszystkich świecidełek. Znów na chwilę staliśmy się rodziną. Staralam się asekurować, uciekać, choć trochę zachować dystans do tego ciepła, które pro—mieniowało od świąt i od Janusza. Było świąteczne, okazjonalne, a jednak kusiło.

Mała wielkimi oczami patrzyła na te świąteczne cuda, a jej oczy błyszczały jak w gorączce.

— Dlaczego one są tu? — zapytała, a ja długo szukałam odpowiednika tego

„one”.

— Jakie one? — zapytałam w końcu, zrezygnowawszy z poszukiwań.

— Święta — odpowiedziała, a ja zrozumiałam. Tylko co miałam jej powiedzieć, że one są wszędzie? W każdym zakątku świata? Ze tam, w naszym domu też były, tylko ich nie było?

Bo święta to stan ducha, a nie otoczenie. Możesz kupić najpiękniejszą choinkę, a świąt i tak nie będzie, jeżeli nie ma ich w twojej duszy.

— Bo tu jest inaczej — odpowiedziałam, nie chcąc tłumaczyć jej tego, czego nie musiała zrozumieć.

Nigdy nie nastawiałam jej przeciwko ojcu. Nigdy nie mówiłam: tatuś cię nie kocha. On już taki jest. Nigdy nie tłumaczyłam, że moglibyśmy żyć inaczej. Po co miałabym to robić. Nie wiedziała, więc nie odczuwała straty.

Teraz chyba ją odczuła i śmieszne było to, że odczuła ją właśnie w tej chwili, kiedy nic nie traciła. Kiedy wszystko było tak idealne, że aż nierealne.

— Dlaczego on cię uderzył? — zapytał Janusz, kiedy siedzieliśmy prawie zupełnie sami, bo mała zasnęła przytulona do Misia, a ja zwlekałam jeszcze trochę, bo nie chciało mi się przerywać tej świątecznej magii.

— Ukradłam mu pieniądze — odpowiedziałam o wiele łżej, niżby się mogło zdawać.

— Dużo? — zapytał Janusz wpatrzony w swoją prywatną noc.

— Bardzo dużo. Dwadzieścia pięć tysięcy — powiedziałam i po raz pierwszy zachciało mi się usprawiedliwić. — Ale to nie były jego pieniądze — dodałam cicho po chwili. — To. były pieniądze małej.

— Aż tyle? — uśmiechnął się z niedowierzaniem.

— No... Aż tyle. Co miesiąc dostawała zasiłek pielęgnacyjny. Sto czterdzieści złotych. On wszystko zabierał. Więc obliczyłam, że przez piętnaście lat...

— Dlaczego piętnaście? Przecież mała ma szesnaście?

— Ale pomyślałam, że w pierwszym roku dawał na lekarstwa, więc... wiesz. Na lekarstwa i trochę na odżywkę.

— Nie uważasz, że to było jego obowiązkiem? — Janusz aż wyprostował się na fotelu. — Przecież to jej ojciec...

Wzruszyłam ramionami. Obowiązek. Jasne, że to było jego obowiązkiem, ale czy warto było sobie tym zaprzętać głowę? Tu i teraz?

Myślałam o tym już tak długo, tyle lat zadawałam sobie te wszystkie oczywiste pytania, że tu nie chciałam już o tym myśleć.

— Kochasz go? — ■ Pytanie, zadane bardzo wprost, wyrwało mnie z odrętwienia. Jeszcze nikt nigdy mi go nie zadał, choć ja sama wiele razy stawiałam je sobie w różnych okolicznościach.

— Nie — odpowiedziałam ledwie dosłyszalnym głosem. — Nie!

— To dlaczego nie odeszłaś?

Jeszcze jedno z pytań, na które było tysiące odpowiedzi, a żadna prawdziwa.

— Dokąd? — odpowiedziałam pytaniem.

— A teraz?

— Teraz, to co innego — powiedziałam o wiele za dużo. Za dużo, bo ktoś, kto odchodzi, zaczyna nowe życie, kradnie pieniądze, nie jedzie na trzy miesiące do

pensjonatu, w którym dzień dla dwóch osób kosztuje sto dwadzieścia złotych! Wtedy liczy się każdy grosz. Wtedy warto odmówić sobie czegoś, żeby starczyło na jak najdłużej. Żeby początek był lepszy. W moim wydaniu jednak nie chodziło o początek, ale o koniec. To koniec miał być lepszy.

Właściwie nie chciałam mu już niczego więcej tłumaczyć, ale nagle uświadomiłam sobie, że dlaczego nie?

— Jak sobie wyobrażasz odejście? Bez domu, bez rodziny, bez pracy i bez możliwości pracy? Bez jakichkolwiek oszczędności i bez wsparcia z czyjejkolwiek strony? W pustkę? W nicość? Pod most?

Michał dałby mi rozwód, bez najmniejszego problemu. Powiem więcej. Liczył, że odejdę, ale bez podziału majątku. Ot tak, w jednej koszuli.

— Jak się nie podoba, to wypierdalaj — mówił za każdym razem, kiedy cokolwiek chciałam, o cokolwiek prosiłam, żądałam. — Wypierdalaj! Natychmiast, tylko nie licz, że cokolwiek ci dam! Wynocha, ale to już!

Śmiał się. Wiedział, że wszystko jest jego. Dom, który matka zapisała jemu, z wyłączeniem mnie jako żony. Meble. Garnki. Wszystko. A ja przecież nie pracowałam.

Za każdym razem, kiedy pojawiała się we mnie myśl o ucieczce, pojawiała się i druga. Dobrze, ale dokąd? I tu nie było odpowiedzi. Potem pojawiała się następna. Dobrze, ale za co? I tu też nie było odpowiedzi. Potem przychodziła ta trzecia, i to najbardziej ponura. A co potem? Co potem? Co będziemy jadły? Przecież nie pójdę do pracy?

— Jakie masz wykształcenie? — pytanie znów wyrwało mnie z moich myśli.

— Skończyłam romanistykę...

— To nie rozumiem, o co ty się martwisz?! Mogłabyś pracować w domu.

Tłumaczenia...

— Ale skąd je wziąć? — roześmiałam się smutno.

— Choćby z Internetu... — Słowa Janusza rozpraszały mroki zwątpienia. — Pożyczę ci stary komputer. Trzymam go na szafie. Potem mi oddasz.

— Aleja...

— Co ja? Co ja? Powinnaś zacząć myśleć pozytywnie, a nie tylko siedzieć i grzęznąć w beznadziei. Wiesz, jak dobrze jest móc być niezależnym?

— A ty jesteś? — zapytałam pewna, że nie usłyszę odpowiedzi pozytywnej.

— Oczywiście. Ja tłumaczę z angielskiego. Piszę... Zarabiam na siebie.

— Ale jak sobie radzisz, skoro nie widzisz? — zapytałam zaintrygowana.

— Mam doskonały komputer z klawiaturą brajla. Sprowadziłem go z Niemiec. Mam też program, który czyta mi teksty. Nie jest najlepszy, ale działa...

I nagle okazało się, że mogę się uczyć samodzielności od Janusza, który — jak wszystko na to wskazywało — wcale nie powinien, nie mógł być samodzielny. Nagle odkryłam, że wszystko jest możliwe. Nowe życie, nowy dom, nowa miłość, tylko... Tylko że dla mnie było już za późno. Okrutna ironia tej lekcji polegała na tym, że trafiła mi się właś—nie tu i teraz. Tu, gdzie wyjechałam, żeby umrzeć, i teraz, kiedy wkrótce to miało nastąpić.

Czy musiałam ją dostać, tę lekcję pokory? Może i tak, ale nie powinna była trafić mi się teraz, bo to właśnie, że trafiła mi się teraz, było najokrutniejszym żartem, jaki

zrobiło mi życie. Co chciało mi udowodnić? Ze widzisz, idiotko? Wszystko mogłaś. Mogłaś żyć jak człowiek. Mogłaś się z nim nie mordować przez te wszystkie lata, wystarczyło tylko chcieć. Aleja przecież chciałam i to nie wystarczyło... Bo błąd leży nie w życiu, tylko we mnie. We mnie i w innych, takich jak ja kobietach.

Zamykamy się. Nieświadomie, po trochu, wbrew woli, dajemy się zamknąć w klatkach domowej niewoli. Bo nieświadomie i wbrew woli, po trochu, zaczynamy wierzyć w to, co mówią nasi strażnicy. Ty się do niczego nie nadajesz. Jesteś głupia. Kto by cię chciał. I wszystkie inne słowa, które same w sobie nic nie znaczą, choć bołą. Powtarzane sto, tysiąc, milion razy, z uporem, codziennie, zapadają w duszę i po jakimś czasie, po miesiącu, roku, dziesięciu latach, zaczynają być prawdą. I to my sobie zaczynamy powtarzać. Ja się do niczego nie nadaję. Jestem głupia. Kto by mnie chciał...

A kiedy już zaczynamy w nie wierzyć, stajemy się własnymi strażniczkami i nie da rady już nic zrobić. Nigdzie uciec. Nie da rady nawet się zbuntować, bo przeciw komu?

I wtedy najprostsza czynność staje się wyczynem. I zaczynamy się ukrywać. Bo po co wychodzić między ludzi, kiedy jest się takim głupim i nic niewartym?

A kiedy nie wychodzimy do ludzi, nikt nie ma okazji powiedzieć nam najprostszego, głupiego komplementu czy nawet prawdy.

Ładnie dziś wyglądasz. Świetnie sobie radzisz. Cokolwiek by to było. I więzienie zamyka się. I już nie ma wyjścia, a nawet gdyby ktoś zostawił otwarte drzwi, nie ma po co uciekać, przecież sobie nie poradzisz. Ty, taka głupia, beznadziejna, do niczego...

— Zaraz, zaraz — przypomniałam sobie nagle zdarzenie sprzed tygodnia czy dwóch. — A twoja żona? Pamiętam, że ktoś mówił, żebyś pozdrowił żonę. Wyjechała? Na święta?

Janusz najpierw zrobił okropną minę, a potem dziwnie zagul-gotał. W chwilę potem płakał. Ze śmiechu.

— Nie jestem żonaty — powiedział, krztusząc się. — Chodziło o mój komputer... To taki kawał. Śmieją się, że spędzam z nim tyle czasu, jakby był moją żoną!

— Nie widziałam, żebyś... —• powiedziałam trochę urażona, ale nie dokończyłam.

— Bo teraz mogę... — zawahał się — teraz jesteś ty i mała... Lubię z wami spędzać czas...

Zrobiło mi się głupio. Ta dyskusja trochę mnie przestraszyła. Wstałam i delikatnie obudziłam Agusię.

— Zabieraj prezenty, idziemy — powiedziałam, popychając ją delikatnie w kierunku wyjścia. Nigdy nie pozwalałam sobie na to, żeby zasypiała w obcych miejscach, ale tym razem zauroczyła mnie ta atmosfera ostatnich przecież moich świąt Bożego Narodzenia.

Mała zabrała misia z kokardą, którego dostała od Janusza. Kredki. Blok rysunkowy. Mazaki. Zabrała też kolorowe papiery, w które to było opakowane, i prześliczne czerwone kokardy. Kto wie, co dla niej było ważniejsze. Prezent czy... opakowanie?

— Powiedz: dziękuję —■ poprosiłam — i dobranoc.

— Szkoda, że już idziecie — powiedział Janusz. — Fajnie było...

— Tak. Dziękuję. Było wspaniale — powiedziałam szczerze, aż się zdziwiłam tą swoją szczerością. Z mojego dystansu nie zostało już nic. Janusz przytrzymał moją rękę, a ja nie miałam ochoty jej wyrwać. Zdecydowanie powinnam przestać się z nim widywać — pomyślałam, choć wcale nie miałam na to ochoty.

Ale co? Za miesiąc, dwa, najdalej dwa, mnie już nie będzie, więc po co mam mu zawracać głowę? Tylko że z jednej strony jest on, a z drugiej ja. A to, co ja czułam, było tak miłe, tak niesamowicie budujące i przyjemne, że nie chciałam się tego pozbawiać. Egoizm w czystej formie.

Bo to był tylko i wyłącznie mój egoizm. Chciałam go spotykać. Do końca, dopóki się da. Z moich planów zaś nie chciałam rezygnować, bo tego niestety nie mogłam zrobić.

Czasami marzyłam, że dostaję list ze szpitala, że się pomylili. Że nie. Nie mam raka. Możemy zaczynać wszystko od nowa.

Tylko że życie to nie serial brazylijski. Życie to nie romansidło. Nikt mi niczego nie wyśle. Nikt nie ma nawet mojego adresu, ale gdyby miał, to i tak nikt mi nic nie wyśle. Badania robiłam dwa razy. Nie ma mowy o pomyłce. Nawet jeżeli to straszne, to jest to cała prawda.

Okrutna, ale prawda.

Wróciłyśmy do pokoju. Mała zasnęła natychmiast jak zabita. Jeszcze musiałam jej zdejmować ubrania, bo leciała po prostu przez ręce. Ja nie spałam przez całą noc. Nie spałam, bo tysiące myśli i dobrych, i złych kłębiło mi się w głowie, jedna po drugiej bombardując mnie pytaniami, na które nie było odpowiedzi nigdy, a tym bardziej teraz.

Dlaczego wyszłam za Michała. Dlaczego? Za jaką karę? Czy nie mogłam spotkać kogoś innego? Dobrego, prawego, kochającego? Dlaczego Bóg, los, natura, przypadek, cokolwiek to było, pozbawił mnie tej możliwości, stawiając mi na drodze człowieka, który wypełnił moje życie nienawiścią?

A Janusz? Po co właściwie go spotkałam? Za jaką karę musiałam się w nim zadurzyć? Za jaką karę musiałam się dowiedzieć, jaki ma smak takie dziwne, oszłamiające uczucie? Na chwilę świat wywrócił się do góry nogami i z trudem go rozpoznawałam.

Późno, kiedy w pensjonacie wszyscy spali, a cisza za oknem była prawie idealna, wyszłam na balkon w koszuli nocnej. Chciałam popatrzeć na śnieg. Popatrzyłam na okna Janusza. Nie spał, a może spał? Światła w jego oknach nie musiały niczego oznaczać, ale się paliły. Dlaczego? Może to był jakiś znak? A może po prostu przyszła do niego siostra?

Ile mi jeszcze zostało tego szaleństwa? Minął grudzień, więc dwa miesiące, pomyślałam. Dwa miesiące... Całe mnóstwo czasu i mgnienie. Powinnam być ostrożniejsza. Powinnam natychmiast przestać...

Tylko dlaczego? Powiedziałam sobie, że to będą najwspanialsze dwa miesiące w naszym życiu. I będą najwspanialsze, nawet jeżeli nie wszystko idzie tak, jak sobie to ułożyłam. A Janusz? Potem?

Jego sprawa. W końcu takie jest życie. Niech cierpi. Tak pomyślałam, ale za chwilę

chętnie spoliczkowałabym sama siebie. Egoistka, wredna, samolubna, nieuczciwa...  
Tak właśnie się poczułam.

Jeszcze później, kiedy tak stałam w nocnym, śnieżnym zimnie, moje serce zmroził  
inny lód.

To tylko mój wymysł. Nie ma nic między nami. Nie ma i nie będzie. To tylko bajka.  
On z litości dla mnie zaprosił mnie na Wigilię. Z litości dla Agi zajmuje się nami.

Wszystko z litości. Z litości, więc nie ma się czym przejmować.

Zamknęłam swoje serce na klucz i rozprawiłam się z głupimi mrzonkami. Jakie to  
bezdennie głupie. Ja się do niczego nie nadaję! Jestem głupia! Kto by mnie chciał...  
Kiedy wracałam do łóżka, drżąc z zimna, świat stał na swoim miejscu. Tak jakim go  
znałam. Wszystko było na swoim miejscu i to było dobre. Taki był przynajmniej  
doskonale znajomy.

## ROZDZIAŁ XII

Potem były święta. To znaczy drugi dzień świąt. Uroczysty i zupełnie inny od innych.  
I następny dzień. Też wspaniały. Odkąd przywołałam serce do porządku, nie robiło  
mi głupich kawałów, choć trudno j e było utrzymać w ryzach. Z coraz większym  
trudem powtarzałam sobie jak pacierz:

Ja się do niczego nie nadaję. Jestem głupia, kto by mnie chciał...

W moim pokoju po jednym ze spacerów zauważyłam zmianę. Na stoliku pod lustrem  
pojawił się komputer.

— Powiedziałem, że pożyczę, to pożyczyłem — powiedział Janusz, kiedy  
zaczęłam mu robić coś w rodzaju wymówek. Ze po co, że i tak to mi się nie przyda,  
że tyle zachodu, a i tak nic z tego nie będzie...

— Powiedziałem, że pożyczę, to pożyczyłem — powiedział twardo,  
niewidzącymi oczami patrząc mi w oczy, jakby wiedział gdzie się znajdują. —Ja  
dotrzymuję słowa.

— Ja też— powiedziała głośno do siebie, ale znaczenie tej deklaracji znałam  
tylko ja.

Świat trochę zaczynał wymykać mi się spod kontroli. A może by spróbować...  
dudniło mi w głowie, ale zaraz potem to samo dudnienie odpowiadało, że przecież  
żadnych szans. Żadnych, najmniejszych.

Z tamtego świata, świata Michała odchodziłam bez żalu, ten był o wiele za piękny i  
raz po raz coś mnie ścisnęło w duszy i w sercu, że tak krótko, że po co było to  
wszystko? Ze trzeba było do końca tam. Byłoby o wiele łatwiej, a tu? Jakieś  
niewidzialne nici zaczynały mnie pętać.

Jakieś obrazy, jakieś zdarzenia, jakieś słowa powoli zamieniały się w łańcuchy, które  
przywiązywały mnie wbrew mojej woli do życia. A mała? Ona nie miała tu nic do  
powiedzenia, jakkolwiek byłoby to okrutne, jej śmierć była tylko dodatkiem do mojej  
śmierci, tak jak jej życie bez mojego nie było możliwe. Bo było jakby dodatkiem do  
mojego i tylko wraz z moim stanowiło całość.

Po tych wszystkich szczęśliwych chwilach i po trzech dniach świąt moja dusza była  
rozdarta. Niech to się wreszcie, do cholery, skończy, a tak bym chciała, żeby trwało.  
Dlaczego święta w ogóle są? Po co? Albo niech nie istnieją, albo niech trwają!

\*



Stałam kiedyś w kolejce w sklepie. W czasach, kiedy były jeszcze kolejki. W czasach, kiedy wszystko wydawało się o wiele prostsze, choć takie przecież nie było.

I stała przede mną kobieta. Jedna z tych bezkształtnych, szarych, otyłych, jedna z tych, których włosy przypominają burego baranka. Kobieta w nieokreślonym wieku, ale stara.

Stara i szara. Jedna z tych wiecznych gospodyń domowych, która w kurzu dnia codziennego zgubiła kobiecość, a wcale nie zyskała człowieczeństwa, tylko brzydotę. I ja. Nastoletnia. Zapatrzona w ideały moich nastu lat. Przez chwilę wpatrywałam się w jej plecy, obszerne i bezkształtne, i czułam się lepsza. Od niej i od wszystkich jej podobnych. Czułam, że moje ideały są o wiele lepsze, o wiele trwalsze. Miłość, przyjaźń i dobro w zestawieniu z czystymi talerzami i umyтым oknem, z obiadem na czas i koszulą z krochmalonym kołnierzykiem.

Myślałam, że byłam lepsza.

Nagle obok tamtej wyrosła jeszcze jedna podobna do niej kobieta. Zaczęły nic nieznaczącą rozmowę. Ze jakoś leci, że jako tako, ale takie czasy, że nie wiadomo, a co u ciebie, bo podobno...

— Wiesz. Najmłodsza wyszła za męża. Mogę już spokojnie umrzeć — powiedziała stojąca przede mną kobieta.

O nie! Ja bym tak nie mogła! — zakrzyczało we mnie z całych sił. Ja bym tak nie chciała. Jak to? Mogę umrzeć, ale po co umierać?! To już nie można żyć dla siebie? Jakże ograniczona wydała mi się wtedy ta kobieta. Jak beznadziejnie głupia.

Więc wychowała dzieci i już? Tak po prostu? Do trumny? Więc wychowała dzieci i już koniec? Nie ma nic więcej? Nie będzie?

Jakże ograniczona wydaję się sobie sama dzisiaj, kiedy sens tego, co powiedziała zupełnie nieznana mi kobieta, dotarł do mnie po latach.

To nie chodziło o chcieć, ale o moc.

Powiedziała:

— Mogę już spokojnie umrzeć...

Nie chcę, ale mogę! Sens tego dociera do mnie jeszcze dzisiaj i mrozi mi duszę. Ona mogła umrzeć, mogła, i to spokojnie. Ja nigdy nie będę mogła spokojnie umrzeć.

Mnie ten stan nie został dany.

Powoli nastoletnie ideały zostały starte na proch rzeczywistością. Przyjaźń? Może nigdy jej nie było? Miłość? A po co komu jakaś cholerna miłość? Dobro? A czy ono w ogóle istnieje? Czy istniało kiedykolwiek?

I ona wygrała. Został obiad na czas, prasowanie, kurze. Czynności na miarę zachwytu i pogardy.

I to zdanie...

— Mogę już spokojnie umrzeć...

I pewnie nawet już umarła. Spokojnie. Jakże ja byłam głupia, tam w tej kolejce, i jakże byłam głupia potem, w życiu. Myślałam: ja będę żyła dla siebie. Co to za życie żyć tylko dla dzieci? Toż to beznadzieja! Jak można?! Jak można samemu tak się pograżać? Zabijać?

Może za to właśnie, za to, co myślałam, za to, że sądziłam, choć nie powinnam była, bo nie ja od sądenia jestem, bo nie sądziecie, a nie będziecie sądeni... Może właśnie za to teraz żyję tylko dla mojego dziecka? Dla niego i w nim? Może właśnie dlatego

nigdy w życiu nie powiem:

— Mogę już spokojnie umrzeć...

Może właśnie dlatego moje życie ma wartość tylko dzięki życiu mojego dziecka, a śmierć jest możliwa jedynie wtedy, kiedy umrze i ono. Tylko że ta kolejność tak pieczołowicie rozważona przeze mnie nie została zaakceptowana przez Boga. On chce inaczej, ale ja mam wolną wolę.

Sam mi ją dał, więc mogę z niej skorzystać.

Kiedyś więc na krótką chwilę będę mogła pomyśleć, że teraz to już spokojnie, że już mi wolno, że nie muszę się pazurami trzymać życia, że mogę, wreszcie mogę! Mogę spokojnie umrzeć.

To oczywiście nie będzie to samo. Nie to samo i nie tak samo. Nie będzie w tym stwierdzeniu ani spokoju, ani ulgi, a tylko rezygnacja i pewnie coś na kształt rozpacz, że można by jeszcze trochę, choć kilka dni, że można by jeszcze pójść choćby do kina... Ze można by ukraść życiu jeszcze tydzień, dwa... Ze mała by się tak cieszyła. I pewnie będzie przerażenie, przerażenie tym, co zobaczę w jej oczach. Co tam będzie? Strach? Zal? Nienawiść? Coś na kształt: co robisz, mamó, to boli. A żadne słowa świata nie wystarczą, żeby jej wytłumaczyć, ani co robię, ani dlaczego musi boleć. Przez chwilę. Potem już będzie po wszystkim.

\*

Ze świata Michała odchodziłam bez żalu, Aga chyba w jakimś sensie też. Ten był o wiele za piękny, żeby odejść bez słowa, bez żalu, bez zastanowienia, że tak krótko, że po co było to wszystko? Że trzeba było do końca tam. Byłoby o wiele łatwiej. Albo nawet tu, ale od razu, już pierwszego wieczora.

Nawet ten głupi komputer... Bo los spełnia marzenia nie tak, jakbyśmy tego chcieli. Spełnił właśnie jedno z nich. Tylko dlaczego dopiero teraz? I dlaczego teraz, skoro to już nie miało mieć znaczenia?

Inność. Zawsze mnie zastanawiała, nie tylko jako moja inność, inność mojej córki, ale jako inność jakakolwiek. Na czym polega? Przecież jest w każdym z nas.

Jaka jest, jeżeli siedzi starannie ukryta, zamaskowana grzecznymi słowami? Jaka jest, kiedy nagle zaczyna ogarniać wszystko?

Kiedy zaczynamy sobie z niej zdawać sprawę? Nie tylko we wnętrzu, ale zewnątrz?

Do którego momentu coś, cokolwiek by to było, jest nieszkodliwym dziwactwem, a od którego zaczyna być niebezpieczną manią?

Światy, w których żyjemy, oswajamy codziennie od nowa, coraz dalej i dalej przesuając granicę normalności, dlatego że właściwie, co mi tam, to przecież nikomu nie przeszkadza, dlatego że Boże, a cóż w tym złego? Dlatego że i tak nic już się nie da zmienić... Dla różnych powodów, z których najrzadszym jest miłość, a najczęstszym święty spokój. Pewnego dnia ta naciągnięta do kresu wytrzymałości granica pęka i już nic się nie da zmienić, a może od dawna nic już nie można było zmienić, a jednak ta pęknięta granica pokazuje nam dopiero, że to nie jest normalne. Ze to poszło już za daleko, że nie ma „co mi tam, to przecież nikomu nie przeszkadza”, bo przeszkadza, nie ma „Boże, a cóż w tym złego?”. Bo jest w tym tak wiele złego, ale i tak nic już się nie da zmienić...

Niewinne manie. Niewinne, a nagle tak wrogie, zaczynają obezwładniać. Ale poza tą naciągniętą do ostateczności granicą, poza tym nie ma nic, bo nie da się nic już zmienić, jest tylko nagle zrozumienie. Boże! On nie jest normalny! I tak jak nie było możliwości uciec, tak nadal jej nie ma.

Chciałam odejść. Zabrać córkę i odejść, ale zamknięty świat zamknął mnie na wiele kluczy, postawił tysiące barier, drobnych i wielkich. Od najprostszych: uciec, ale dokąd, po dużo większe: za co będę żyła?! Za co? Przecież nie pójdę do pracy... A co będzie, jeżeli wpadnę z deszczu pod rynnę? Co będzie, jeżeli tam, dokąd ucieknę, będzie jeszcze gorzej niż tu? Bo człowiek boi się niewiadomego, nawet jeżeli żyje w piekle, woli znane piekło od nieznanego raju.

Michał bardzo powoli stawał się inny. Tak bardzo powoli, że właściwie nawet niezauważalnie.

Tak niezauważalnie, jak codziennie.

We wnętrzu naszego domu, we wnętrzu naszej rodziny, bo mimo wszystko byliśmy rodziną, rodziną z zasadami, że brudów się nie pierze przy obcych i jak coś do mnie masz, to nie przy ludziach, i niech to dziecko nie wrzeszczy, bo co powiedzą sąsiedzi, we wnętrzu naszej zamkniętej społeczności tworzyły się nowe prawa, nowe zasady, usankcjonowane świętym spokojem z mojej strony, a świętym: ja tu rządę z jego strony.

Skąd mogłam wiedzieć, że to, co się tam działo, już było nie-normalne? Mogłam się domyślać, ale nie wiedzieć.

Wszystko wokół mnie robiło się coraz bardziej niezrozumiałe.

— Bo ty to chyba jesteś diabłem — mówiła teściowa. — Ty i to dziecko. Jesteś karą boską albo diabłem, ale Bóg nie byłby taki okrutny, więc musisz być diabłem. 1— Masz. Wypij. Wypij! Wypij! — wtykała mi do ust spodeczek z wodą święconą, przekonana, że od tego spalę się na proch. — Musiała być zleżała. Jutro przyniosę nową.

— Masz. Wypij. Wypij! Wypij!

Musiałam tylko pamiętać, żeby się nie skrzywić, choć woda była obrzydliwie ciepła i przynoszona z bardzo niewiadomego źródła. Bo kiedy się skrzywiłam...

— O! Odrzucają! Musi! Musi być diabłem!

Nie miałam jej za złe. Nie było w tym gościu właściwie nic złego... Nic, co by mnie poniżało.

\*

Oderwana od gęstej domowej atmosfery, tu, w Zakopanem, musiałam się uczyć od nowa. Uczyć wszystkiego. Najdrobniejszych gestów codziennej wolności. I dopiero tu zrozumiałam, jak bardzo byłam zniewolona.

— Gdzie?! Gdzie?! Do ubikacji? Po dwudziestej drugiej?! Mowy nie ma!

Bo sąsiedzi usłyszą, że spuszcza wodę. A to straszny huk, więc ich pobudzę. A oni zaczną myśleć, że w naszym domu mieszkają chamy, co nie umieją się zachować po ludzku.

— Proszę! Nie spuszcza wody...

— Mowy nie ma! Przecież nie może śmierdzieć przez całą noc!

Wolni ludzie nie doceniają daru, jakim jest codzienna wolność. Myślą, że to im się

należy, i nie mają racji. Wolność codzienną trzeba szanować, a przejawia się we wszystkim. W zupie, do której nie wolno wrzucać selera, bo to afrodyzjak.

— Ty widzisz?! Ty widzisz, co ona tam wrzuciła? Seler? Wiesz, do czego chce doprowadzić?! Wiesz? Ona chce cię zmusić do spółkowania! Ona chce cię pojąć. Może nawet urodzić drugiego takiego samego diabła.

Wolność.

Z jakim zdziwieniem zobaczyłam w jadłospisie: zupa krem z selera naciowego... A może naciowy nie jest afrodyzjakiem?

Wolność w naszym domu ograniczana była bardzo stopniowo. Tak bardzo stopniowo i po trochu, że właściwie tego nie zauważałam. Nie zastanawiało mnie, że kolejne zakazy były coraz dziwniejsze.

— To mój dom — słyszałam odpowiedź na każde z postawionych w tej kwestii pytań i właściwie odpowiedź ta była wyczerpująca. To był jego dom, więc mógł w nim robić dosłownie wszystko. Wszystko, co chciał.

Miał komputer. Piękny, nowy komputer. Kupił go sobie. To wymarzone przeze mnie cudo pojawiło się pewnego dnia w dużym pokoju, na stoliku, na którym dotychczas był ołtarzyk na cześć Michała, ozdobiony zdjęciami, sztucznymi kwiatami i smutnym Chrystusem, tylko dlatego, że Jego rysy to był dosłownie Michał.

— Az profilu? Widzisz? No i ten nos... No Michał! Wykapany Michał.

Ołtarzyk przeniesiono do mieszkania matki. Komputer ustawiony na stoliku został podłączony. Jego klawiaturę przykryła przezroczysta plastikowa pokrywa. I tak zostało.

— Ale nie zamierzasz chyba tego używać? — zapytała z oburzeniem matka. — Czy wiesz, jakie to jest szkodliwe? Promieniowanie rakotwórcze, no i zżera prąd...

— Ale mam... — czasami i jemu brakowało słów.

— Nie wiem, po co to w ogóle kupiłeś?

— W każdym szanującym się domu musi być komputer!

I odtąd, odkurzany starannie, codziennie, na ołtarzyku stał komputer. Nigdy nie widziałam, żeby Michał go używał. Może robił to nocą? Ale chyba nie, ograniczając mnie, ograniczał także i siebie. Jeżeli choć przez chwile pomyślał o promieniowaniu, nie włączył go nigdy. Nie ośmieliłby się sprzeciwić matce.

A tu, pod lustrem, na stoliku stał stary komputer Janusza. Dziwne to było uczucie. Z jednej strony promieniowanie... Z drugiej tam podobno jest program dla dzieci.

A jeżeli ona miała rację z tym promieniowaniem?

Ponowna lekcja wolności i zwyciężył zdrowy rozsądek. Jedno przyciśnięcie guzika, cichy szum i migotanie światełek obwieściło mi, że komputer zaczyna działać.

Długo siedziałyśmy wpatrzony w migający ekran, obie zaczarowane możliwościami tego pudła.

— Co on robi? — zapytała mnie Agusia, a ja nie umiałam jej odpowiedzieć. Bo co on robi? Jakie ma możliwości? Nie wiedziałam.

— Dlaczego świeci?

Bajka trwała nadal. Święta i prezenty. Janusz i jego uśmiech, nawet komputer i tyle wolności, że aż nie umiałam sobie z nią poradzić. Bo właściwie po co chodzić do ubikacji po dwudziestą drugą? Po co, skoro można przed dwudziestą drugą? Co z tego, że wolno, skoro po co?

Że wolno zapalać światło w łazience, nawet w dzień? No, chyba wolno, skoro jest. Tylko ja już się przyzwyczałam i Aga też.

\*

Przez wiele lat zastanawiałam się nad pojęciem normalności. Co jest normalne? Normalne, czyli powszechnie akceptowane. Nie dobre, nie uczciwe, nie szczere, ale powszechnie akceptowane.

Powszechnie, czyli jak? Że wszyscy? Wszyscy. Czyli to, co było powszechnie akceptowane w naszej rodzinie, bo wszyscy bardziej lub mniej dobrowolnie to akceptowali, to było normalne. Czyli byliśmy normalną rodziną. Na zewnątrz i od środka.

W każdym z tych przypadków inaczej. Wizerunek zewnętrzny był starannie wypielegnowany, niemalże stworzony na potrzeby tych z zewnątrz.

— Następny razem nie kupuj nerek w sklepie na osiedlu. Jeszcze ludzie pomyślą, że nie stać nas na mięso! Wiesz, że tu wolno ci kupować tylko szynkę! Żadnej margaryny! Żadnej kiełbasy zwyczajnej!

W niedzielę owiniętym w mokry ręcznik tłuczkiem do kartofli teściowa stuknęła nieregularnie w deskę do krojenia.

— Nie mam zamiaru ci się z niczego tłumaczyć! Ty flądro! — powiedziała, kiedy zapytałam, co to za rytuał. A to chodziło tylko o schabowe.

— A co! Niech wiedzą! Niech wiedzą, że mamy schabowe co niedzielę! Niech zazdroszczą!

— Ale my nie mamy schabowych — wyrwało mi się zdziwione stwierdzenie.

— I co z tego?! I co z tego?! To nie twoja sprawa!

Cóż więc ci ludzie omamieni starannością naszego zewnętrznego obrazu wiedzieli o nas jako o rodzinie?

Cóż ja sama wiedziałam o niej, ja, będąca jej członkiem? Członkiem, choć czasami czułam się jak zakładnik.

To nienormalne! Krzyczało we mnie, kiedy ten czy inny zakaz, nakaz, czynność wywoływała wewnętrzny sprzeciw. To nienormalne! To chyba nienormalne...

Chyba... Bo cóż ja mogłam wiedzieć o normalności? A ojciec? Czy był normalny?

Facet, który odebrał sobie życie w urodziny córki i zostawił jedyne dziecko? On, który przez lata kazał mi się modlić na grobie obcej kobiety do zmarłej matki, która wcale nie umarła?

Z normalnością jest chyba jednak tak jak z przyzwyczajeniem. Wystarczy dostatecznie długo i dostatecznie często.

A inni?

Przecież nie zacznę pytać ludzi na ulicy, czy zapalają światło w łazience w ciągu dnia?

Nie zapytam, czy chodzą do ubikacji po dwudziestej drugiej. To dopiero byłoby nienormalne!

Pukanie Janusza wyrwało mnie z zamyślenia. Zdziwiona zobaczyłam, że w rękę trzyma gruby plik papierów pokrytych drobnym drukiem.

— Przetłumaczysz to? — zapytał, kładąc plik kartek koło komputera. — Za standard, 1800 znaków ze spacjami, dają dwadzieścia pięć netto. Wiem, że mało, ale

warto spróbować. No co?

Jakie: no co? Pomyślałam, niepewna, dwadzieścia pięć to mało? To cała kupa forsy! Mogłabym zarobić... Zostać dłużej...

Właściwie nie musiałam, pieniądze, które zabrałam Michałowi, wystarczą na wszystko, a jednak pokusa była ogromna. Przetłumaczę, zobaczę, czy nie zapomniałam, jak się czyta po francusku, zobaczę, jak to jest zarobić pieniądze.

Pracować. Jak smakują własne, nieukradzione pieniądze.

Praca uszlachetnia. To nie slogan. To prawda. Bo czujesz, że możesz, że umiesz, że jesteś czegoś wart, że warto się było uczyć, że życie jest piękne, bo jak zarobiłam teraz, to mogę i potem, że jak się postaram, to wszystko będzie dobrze.

Nie będzie dobrze, a przynajmniej nie wszystko, ale miło to czuć, tę zależność własnego losu od własnej pracy.

Potem, kiedy już wyszedł, pomyślałam, że Bóg właśnie spełnił moją prośbę, tamtą sprzed lat. Może nawet wszystkie naraz. Wszystkie prośby o marne pięćdziesiąt złotych spełnił naraz i do tego w chwili, kiedy już się nie liczyły.

Czy nasze modlitwy docierają do niego z opóźnieniem?

Potem dotarła do mojej świadomości jeszcze jedna myśl. Janusz załatwił to dla mnie.

Dlaczego? Dlaczego jakaś całkowicie mi obca osoba chce mi pomóc? Dlaczego?

To dopiero jest nienormalne!

Przesiedziałam całą noc jak w gorączce. Szkoda mi było kłaść się spać. Kusiły mnie całe, nieprzetłumaczone jeszcze strony i klawiatura, którą poznawałam dopiero w dzikim chaosie myśli. To ona właśnie sprawiała, że pisałam wolno i starannie. O. Gdzie jest O? Aha, na prawo, w górnym rzędzie. Dobra. K? Pod O. Ale znowu zgubiłam E! Czyja się tego nigdy nie nauczę?

I tak jednym palcem prawej i jednym palcem lewej ręki, wcale nie wskazującymi, a serdecznymi, zapisywałam kolejne zdania tłumaczenia, z zachwytem patrząc na ekran komputera.

Zapomniałam o promieniowaniu.

Zresztą nawet gdyby? W śmierci dobre jest także i to, że odgania od ciebie dodatkowe, niepotrzebne lęki.

Przetłumaczyć i szybko oddać. Niech zobaczy, jaka jestem szybka. Niech zobaczy, jaka jestem zdolna. Potem pewnie zapłacą. Kto? Jacyś bliżej nieokreśleni oni. Czy zapłacą mi jeszcze przed śmiercią? Czy zdążę to wydać? Bo własne pieniądze wydaje się o wiele przyjemniej. Inaczej.

Wstał dzień. Jak tylko za zamglonym oknem pojawił się najpierw szary, potem coraz bardziej jasny świt, zostawiłam pracę. Dzień miał być cały dla Agatki.

\*

Wciąż od nowa raz po raz zastanawiałam się, po co Michał przyjechał. Jak nas znalazł. Po co ogóle szukał?

Bo po co? Po co? Po co?

Przecież nie po nas. Albo właśnie po nas?

Siedział przy stoliku, kiedy wyszłyśmy rano z pokoju. Nie uwierzyłam własnym oczom. Siedział i patrzył na mnie kpiącym wzrokiem, tak jakby mówił:

— Widzisz kretynko? Widzisz? Oddawaj mi kasę i możesz tu zostać. Razem z tym

gównem, co się za tobą chowa. Wcale was nie chcę! Kto by was tam chciał!  
Więc dlaczego?

Dlaczego wszystko to się stało? Po co w ogóle mnie wziął za kochankę, za żonę? Bo byłam mu potrzebna. Potrzebna jak powietrze do oddychania. Nie po to, aby kochać, po to, aby nade nią panować. Był jak król z jednej z kolejnych planet Małego Księcia. Musiał mieć kogoś, nad kim mógłby panować.

Kogoś bezgranicznie od niego zależnego, kogoś, kto dawałby mu poczucie, że jest wielki. Kogoś małego i bezbronnego.

Bo co to za król, co nie ma poddanych?! Co to za władca, co każe słońcu zachodzić wtedy, kiedy ono samo układa się do snu? On nie chciał słońca, gwiazd. On potrzebował prawdziwej władzy.

Kogoś, kto spełniłby najbardziej niedorzeczny z jego rozkazów.

— Gdzie?! Gdzie?! Do ubikacji?! Po dwudziestej drugiej?! On chyba naprawdę był zły. Przecież chciał, żebym... Choć moje cierpienie było także efektem ubocznym jego władzy. On robił to celowo. On tylko w taki właśnie sposób rozumiał świat, który miał być dokładnie taki, jak go sobie wyobrażał.

Kiedyś, dawno temu, jego matka tak właśnie mu ten świat wytłumaczyła, tak go pokazała, tak go ustawiła. I nauczyła, że nie będzie się dopasowywał do świata, jest na to zbyt mądry, zbyt dobry, zbyt inteligentny, a cała reszta to gówno, szajs, o dupę roztrzaskać.

Nauczyła, że co to, to nie! Świat ma się do niego dopasować. I wpoila mu to, bo dla niej był najwspanialszy. Mężczyzna jej życia, słońeczko kochane, synuś mamusi... Tak długo go tego uczyła, że on, on, i nikt więcej, że się do tego przyzwyczaił. Ale świat to świat. Całkiem zmienić się go nie da, więc raz po raz wracał do domu z płaczem i z rozbitą wargą.

— To nic! To nic, synku — powtarzała wtedy, tuląc go do siebie. — Oni są głupi! Tylko ty jesteś mądry! Nie zwracaj na nich uwagi!

Wtedy właśnie zrozumiał, że każdy, kto ma inne zdanie niż on, jest głupcem, że świat został stworzony tylko dla niego, że to, co on powie, jest święte, a przynajmniej takie powinno być.

Znużony zmienianiem świata do swoich potrzeb i rozmiarów, postanowił, że trzeba inaczej. Nie! Nie poddał się, ona by mu na to nie pozwoliła! Nie! Postanowił jak Bóg stworzyć swój idealny świat od nowa. Dokładnie taki, jaki chciał, aby był.

Wziął więc żonę. Dziewczynę bez rodziny Niezbyt pewną siebie, niezbyt ładną, żeby wszystko było OK. Zamknął ją w czterech ścianach i zaczął swoje panowanie.

To właśnie tak powstał jego idealny świat, w którym jego słowo jest święte, jego wola zostaje wykonana bez szemrania i natychmiast, a każde z jego życzeń, choćby najbardziej niedorzeczne, jest spełniane w imię autorytetu.

Wiec tak naprawdę Michał nie był zły. On był tylko chory. Chory na miłość własną, która rozrosła się wspomagana troską matki do gigantycznych rozmiarów.

Była tak wielka, że wypełniała całe jego życie, ale się w nim nie mieściła, więc zaczęła wypełniać i moje. Była tak wielka, że stwierdzenie, iż ryż jest smaczniejszy od kaszy, było traktowane jak zamach stanu, a jakakolwiek opina niezgodna z wersją oficjalną, czyli akceptowaną przez Michała, była świętokradztwem.

Byłam mu potrzebna. Potrzebna nie tylko dlatego, że miał nad kim panować. Istniała między nami matematyczna zależność. Jedna z tych, o których uczą na lekcjach fizyki. Im, tym. Wprost proporcjonalna.

Im ja byłam mniejsza, tym on był większy.

Im byłam słabsza, tym był silniejszy.

Im byłam bardziej upodlona, tym on był bardziej dumny. Jego duma tego potrzebowała. PCarmiła się tym i nawet jeżeli to nie mieściło się w ramach jakiegokolwiek normalności, to było mu to niezbędne do życia.

Nie rozumiałam tego, aż do tamtej nocy, kiedy obudziłam się pod wpływem obrzydliwego, ciepłego, mokrego odczucia, które kazało mi się zerwać na równe nogi.

Stał nade mną. Stał nade mną i sikał.

Patrzył na mnie i oddawał mocz wprost na moją twarz, głowę, kołdrę.

Zrobiło mi się niedobrze.

— Widzisz, do czego ty się nadajesz? Widzisz! — powiedział trzeźwym, zadowolonym głosem, w którym pobrzmiwała nuta oskarżenia, że to wszystko moja wina. — Patrz, do czego mnie doprowadziłaś, ty głupia dziwko jedna.

Po co to zrobił? Bo: im, tym! Potrzebował mojego upodlenia, Zeby samemu poczuć się wielkim.

'Widzisz, do czego ty się nadajesz? Widzisz? —■ powtórzył z satysfakcją jak po spełnieniu dobrego uczynku i poszedł spać.

Do rana wycierałam z siebie ten mocz. Do łazienki wolno mi było pójść dopiero o szóstej.

Czułam do niego nienawiść pomieszana z litością, choć nie powinno się czuć nienawiści do kogoś chorego. Nienawiść odczuwałam także do siebie. Najbardziej za to, że się do niego odzywałam.

Powinnam była robić swoje i po prostu milczeć. Milczeć niepy-tana, aleja nie. Ja czasami sama się do niego odzywałam. Obrzydliwie przymilnym, śliskim, miłym głosem. Tak, miłym, i tego w sobie nienawidziłam. Najbardziej.

Zaczynało się zazwyczaj niewinnie. Trzasnęły drzwi. Skrzypnęło okno. Teściowa popatrzyła na mnie trochę jakby krzywo. Michał wylał do zlewu dopiero co ugotowaną zupę.

— Chyba nie miałaś zamiaru mi tego podać?!

Coś zaczynało gęstnieć. Jakiś lęk zaczynał we mnie kiełkować. Nie strach, a lęk, niekonkretny, nierealny i niemający podstaw, przecież on nigdy nawet mnie nie uderzył, a jednak coś zaczynało we mnie drzeć.

Potem następowała cisza. Jak cisza morska. Nie zbawienna, nie lekka, nie spokojna, ale złowroga i gęsta. Przeszywana spoj-rzeniami, lęklivymi z mojej strony i chyba wściekłymi z jego, cisza trwała. I mogła trwać wiecznie. Tylko że ja jej fizycznie nie znosiłam. Dałabym wszystko za porządną awanturę z rzucaniem talerzami. Bo po nocy nadchodzi dzień, a po burzy spokój, dałabym wszystko za wyzwiska, za bicie, za cokolwiek, bo po burzy powietrze jest o wiele czystsze.

Ale cisza trwała. Chodziłam więc w kółko, szukając pretekstu, żeby ją przerwać.

Jakiegokolwiek. Może powiem, że kwiaty w tym roku piękne na balkonie? Nie, to było dwa dni temu! Może, że zrobię naleśniki? Nie lubi...



Kiedy znalazłam pretekst i cisza zostawała przzerwana jakimś głupim, nic nieznaczącym zdaniem, kiedy raczył się do mnie odezwać, na jedną krótką chwilę odczuwałam ulgę, a potem czułam się podła.

Podła. Podła, zła, obrzydliwa i nic niewarta. Po raz kolejny nie wytrzymałam. Po raz kolejny odezwałam się do niego, jakbyśmy byli zwykłym małżeństwem. Jakby wszystko było w porządku.

Dlaczego to robiłam? Dlaczego, skoro tak bardzo nienawidziłam siebie potem za to?

Dla świętego spokoju. Oddałabym dla niego wszystko. Dla świętego spokoju gotowa byłam znieść wszystko. Zresztą nic innego nie wchodziło w rachubę. Żadne skargi, żadne płacze, żadne wymówki.

Bo jemu nie robiło się wymówek. To byłoby nie do przyjęcia, a skarżyć się? Skarżyć się mogłabym jedynie teściowej, a ona zawsze i tak brała jego stronę.

— Czego wrzeszczysz? — teściowa wzruszyła ramionami nawet wtedy, kiedy zgwałcił Agatkę. — Przesadzasz! Dziewucha to dziewczucha, o co ci chodzi?

## ROZDZIAŁ XIII

Święta odeszły tak samo szybko, jak przyszły.

Poczułam się jeszcze bardziej pusta i smutna.

Właściwie po co było to wszystko? Po to, żeby mi uświadomić moją duchową bezdomność?!

Wkrótce Janusz przyniósł mi pieniądze za tłumaczenie. Sześćset złotych. Potem kolejne sześćset, w końcu dwa tysiące. Tłumaczyłam jak w gorączce wszystko, co mi przynosił. Oddawałam. Podpisywałam jakieś umowy. Kosztowało mnie to dużo samozaparcia. Bezustannie tkwiłam w wypożyczonych z przeróżnych bibliotek słownikach, od nowa ucząc się tak dawno zapomnianych słówek i ich znaczeń.

Janusz pościagał dla mnie książki do francuskiego od wszystkich swoich znajomych. Aż wstyd powiedzieć, ile zapomniałam...

Nagle przyszło mi do głowy, że moje dotychczasowe życie było jednym wielkim kłamstwem. Mogłam jednak zarabiać, i to całkiem duże pieniądze. Mogłam żyć choć odrobinę lepiej, odrobinę na własny rachunek. Ale te pieniądze teraz to było coś innego. Zbędna rozrzutność losu.

Dlaczego właśnie teraz? Po co?

\*

Kiedy sąd oddał opiekę jemu nad dziećmi, nie wytrzymała. Bo jak miała wytrzymać? Jak? Zgodzić się na to, co robił? Przecież wiedziała, że znowu to robi.

Najpierw jeszcze wierzyła w sprawiedliwość. Że sąd, że dowody, że lekarz. Ale nie. Nic nie wskazywało, że to ojciec. Owszem, pewne ślady. Krocze i tak dalej, ale przecież dziewczynka chodziła do przedszkola.

Nie znaleźli dowodów, że to ojciec. Kto był świadkiem? Ona. Ale ona przecież nigdy się nie liczyła.

Więc zabrała dzieci i skoczyła. Co miała zrobić?!

Czas. Mijał. Jak to czas... On zawsze mija i kiedy spojrzeć wstecz, to widać to aż za bardzo.

Zadomawialiśmy się. Zadomawialiśmy się w tym miejscu bez domu. Co dzień oswajaliśmy kolejny kawałek miasta. Kolejną uliczkę. Kolejny zaułek.

Stary cmentarz na Pęksowym Brzyzku po prostu nas oczarował. Zaczarował.

Pewnie mnie inaczej i małą inaczej. Ja chodziłam tam dla Makuszyńskiego, Aga dla drewnianych rzeźb.

— Dlaczego tu stoją? — zapytała, kiedy trafiłyśmy tu po raz pierwszy.

Jak zwykle nie umiałam jej odpowiedzieć. Bo dlaczego? Kto wie dlaczego? Ale są. Chodziłyśmy więc i patrzyłyśmy każda na co innego. Ja na nagrobki, mała na rzeźby. Mała. Mała duża dziewczynka. Wyższa ode mnie dziewczyna, która uporczywie trzymała mnie za rękę.

I przestałyśmy być anonimowe, ale w inny, o wiele przyjemniejszy sposób. Kiedy nie było z nami Janusza, stawałyśmy w miejscu, z którego odchodziły busy, i czekałyśmy, aż któryś nas zabierze.

— Gdzie panie wysadzić?

Po jakimś czasie to pytanie zamieniło się w miłe:

— A wiem! Wiem! Tam gdzie zwykle!

Pewnie byłyśmy w jakiś sposób rozpoznawalne i nie łudziłam się w jaki. Niewielka kobieta za rękę z dużym... dzieckiem. Ale to było miłe.

To było miłe aż do tamtego dnia, kiedy zrozumiałam, że ją krzywdzę. Że ją na swój sposób ograniczam.

Mój pobyt w szpitalu uświadomił mi, że nie będzie taryfy ulgowej. Nie ma pominięć, ani dnia, ani tygodnia dłużej. Nie będzie nam to darowane, choć na to Uczyłam. Tak jak każdy, świadomie czy podświadomie liczyłam na okrucuch cudu. Ze ból się nie powtórzy, będę czekać, a tu maj... Zobaczę słońce, kwiaty. Wiosnę.

Ze popatrzę na siebie i powiem ze spokojem: tak. Jeszcze jest OK. Zabiję się w przyszłym miesiącu. To byłoby trochę jak poranne wstawanie. Dźwięk zegarka rozrywa czaszkę i otwiera na siłę oczy, a ty go ciach. Milknie. Jeszcze dziesięć minut, mówisz do siebie i zapadasz w najrozkoszniejsze dziesięć minut snu, jakie istnieje...

A tu Janusz i te jego pytania.

— Dlaczego nie powiedziałaś? Przecież to rak... Ja wiem, co chcesz zrobić.

Wiedział, nie wiedział... Nie mogłam ryzykować. Musiałam jakoś sobie poradzić.

Spakowałam walizki, z trudem dotaszczyłam je do głównej drogi. Potem było prosto i łatwo. Jakaś taksówka. Jakiś pensjonat, sama nie bardzo wiem jaki. Ważne, że był daleko. Bardzo daleko.

Jakieś świerki za oknem. Jakby inne. Cisza, jakiej dawno nie słyszałam. Stromizny co krok, tak strome, że raz po raz z Agusią lądowałyśmy w śniegu.

— A Miś? — Aga przez cały czas powtarzała jedno i to samo pytanie.

— Nie ma Misia — odpowiadałam z coraz większą rozpaczą w głosie. — Nie ma, nie było i nie będzie! — krzyknęłam w końcu tak głośno, że Aga aż podskoczyła.

— Umarł? — zapytała i wybuchnęła szlochem.

— Nnnnie — powiedziałam, zupełnie nie wiedząc, co robić. Bo co robić? Zostało niewiele czasu, a tu taka zmiana. Ani Janusza, ani psa. Ani psa z kulawą nogą. Świat ogłuchł i zaniemówił. Tylko co rano kelnerki pytały, czy śniadanie smakowało. Głuche ściany i telewizor. A tak niedawno wydawało mi się, że to mi wystarczy. Czy mnie szuka? Oczywiście, że nie szuka, odpowiadałam sama sobie z największym okrucieństwem, na jakie było mnie stać. A kto by ciebie szukał? I po co? Przecież zapłaciłaś?

Bo kto by ciebie szukał? Pies z kulawą nogą... Pies z kulawą nogą...

Przecież nawet Michał... On szukał.

Nie ciebie! Nie ciebie, kretynko! Pieniądzy! Tylko tego szukał! Gdybyś ich nie ukradła, nawet by się nie zastanawiał, co się z tobą stało.

A Janusz? Po co miałyby...

Co? Myślisz, że szuka każdej turystki, która mieszka w pensjonacie jego siostry?

Jak to każdej? A czym ty się różnisz? Kretynko.

Nie byłam czuła wobec siebie. Nigdy za bardzo mi to nie wychodziło, teraz tym bardziej. Co ja zrobiłam? Co ja najlepszego zrobiłam?!

Wydawało mi się, że to mus. Ze tak trzeba. Ze inaczej się nie uda. Że mnie powstrzyma. Ale po co miałyby mnie powstrzymać? No po co?

Przez trzy dni siedziałam jak w otępieniu między ścianami nowego pokoju, zastanawiając się, co zrobić. Zostało mi niewiele czasu, ale jednak coś zostało. Jak go spędzić? Co zrobić? Jak odnaleźć dawny spokój duszy? Kiedy jeszcze nie było ani świąt, ani Zakopanego, ani Janusza?

Spacerowałam z małą w tę i z powrotem stromą uliczką pnącą się do kościółka, a potem w dół do poczty. Jeszcze raz i jeszcze raz.

— Mamo — zapytała mała po kolejnym kursie tam i z powrotem — czy my czekamy na Janusza?

— Oczywiście, że nie! — odpowiedziałam, zdając sobie sprawę, że właśnie czekamy. Ja czekam. — Janusz ma inne sprawy. Janusz jest zajęty...

— To już nas nie lubi?

Czyja oszalałam? Czyja oszalałam? Zapytałam sama siebie. Jeszcze bardziej pogmatwałam nasze życie. Jeszcze bardziej i po co? Po co, skoro to już i tak koniec? Więc co my tu robimy na tym końcu świata, w miejscu, skąd widać prawie dookoła strzępiaste góry, z których każda się jakoś nazywa i tylko cepry nie wiedzą jak. Co my w ogóle tu robimy? Po co to było? Żeby żałować? Tak, żeby żałować. Chyba wszystko co robie, robię po to, żeby żałować.

\*

Robi się zimno i strasznie. Na co ja jeszcze czekam? Już dawno powinnam to załatwić! Czyżbym się wahała?

Boże! Tylko nie to! Nie odbieraj mi pewności właśnie teraz! Przecież tyle razy Ci tłumaczyłam, że to konieczne!

\*

— Posłuchaj — powiedział wtedy Janusz. — Pytałem lekarzy... On jest złośliwy,

ale...

- Mniej niż dwadzieścia pięć procent! A co, jeżeli?
- Można próbować! Jeżeli nie spróbujesz, nie przekonasz się...
- A co, jeżeli spróbuję?
- Nie bądź dzieckiem! Musisz!
- Nic nie muszę! Nic! Nic! Nic!

Jak to łatwo i trudno już nic nie musieć.

\*

Nie chciałam, żeby tak było. Nie chciałam, żeby życie skończyło się tak nagle i tak bezsensownie. Próbowałam wszystkiego. Nawet odnalazłam Marię.

\*

Wszystko się zmieniło. Zepsuło. Skarłało. Nasz mały pokój w tym pensjonacie miał co prawda telewizor, ale nie było tu nic poza tym. Nic i nikogo. Nagle puste, obce ściany. Niby tak samo i nie tak samo.

Wszystko przestało mieć sens. Nawet nasze spacerowanie przestały być tak piękne jak dawniej. Ogarnęła mnie niewytłumaczalna tęsknota. Mnie. Mnie obcą wśród obcych i uodpornioną właściwie na wszystkie uczucia poza miłością do Agusi.

Ucieczka wydała mi się konieczna. Dlaczego? Te jego słowa. Pytania. Mimowolne chyba gesty. Wszystko to mówiło:

— Wiem, co chcesz zrobić.

Nie zrozumiałby. Zepsułby wszystko. Zepsułby ostatnie chwile, bo zaczęłabym się bać. Bać się, że mi przeszkodzi, że powie komukolwiek, cokolwiek, że ktoś za bardzo się tym przejmie i stanie na mojej drodze. Jakaś policja. Jakaś opieka społeczna...

Opieka społeczna? A kimże ci ludzie się opiekują? Kto ich tak nazwał? Kto im dał prawo tak działać? Tam, gdzie ich nie ma, dzieją się rzeczy straszne. A tam, gdzie są...

Nic nie rozumieją! Wciąż litera prawa, dura lex sed lex i inne slogany, w imię których nie widzą człowieka.

Pamiętam ją. Miała na imię Dorotka. Od zawsze. Odkąd się urodziła... Tak mówiła jej matka. Dorotka. I wszyscy tak mówili. Od zawsze. Dorotka to, Dorotka tamto...

A ona nie odpowiadała. Nie umiała mówić. Umiała trochę pisać... Ile miała lat?

Wyglądała na czterdzieści, ale nie mogła mieć więcej jak sześć.

Bawiła się lalkami. Dorotka. I nagle stało się to, co nie powinno się było stać. Starsza kobieta wyszła na ulicę. Spieszyła się. Przecież zostawiła dziecko w domu. Co z tego, że dorosłe... Dziecko! I niech nikt nie usiłuje zrozumieć. Tego się nie da zrozumieć.

To przychodzi tylko wraz z dzieckiem. Właśnie takim. I niech nikt na litość Boską nie osądza!... Że upośledzone, że nie takie, że to z pewnością czyjaś wina, czyjaś kara... Mówi się: nie sądźcie, a nie będziecie sądzeni. I nawet jeżeli mówi to największy autorytet, to i tak sądzą. Osądzają, nie rozumiejąc, jak ślepcy.

Ona właśnie zostawiła w domu dziecko, ale tamten kierowca tego nie wiedział. Co się stało? Może zaszkoziła mu ta wódka wypita późnym wieczorem? Albo kłótnia z żoną? A może te dwa piwa? Nikt właściwie nigdy się tego nie dowie.

Jakieś niepotrzebne słowa. Jakieś krzyki.

— I gdzie leziesz? No gdzie leziesz, babo?!

Ale ona nie usłyszała. Tego dnia tak bardzo się martwiła. Właśnie o Dorotkę. Jak ona sobie poradzi? Nie poradzi sobie.

A może ojciec? Nie... On jej nie kocha. On nie nauczył się nawet języka migowego.

A zresztą ile jeszcze pożyje? Przecież ma już ponad osiemdziesiąt lat.

Ale ona nie usłyszała. Tego dnia tak bardzo się martwiła. Może to było przecucie?

Weź ją ze sobą. Stańcie razem na tym przejściu, co ci szkodzi?

Bo może to było przecucie, ale w telewizji leciał krecik. Ten śmieszny krecik.

Napisała:

„Nie. Idzie sama. Ja zostawać. Dobrze”.

Ale to właśnie zmieniło wszystko. Pisk hamulców i maleńka skurczona postać wysoko nad przejściem. Prosto do nieba. Prosto do nieba. Chyba nawet nie zauważyła, że umarła.

— O kurwa!

Tylko tyle powiedział kierowca.

— O kurwa. Gdzie, do cholery, się pchała ta stara ropucha? No gdzie?

Miała mu odpowiedzieć, że na drugą stronę ulicy. Do tego domu obok. Na drugą stronę. Po pasach... Ale niczego mu nie powiedziała.

Potem Dorotka już się nie uśmiechała. Chodziła oberwana. Brudna. Pijana.

— Dorotko, co ty robisz? — wyrwało mi się jeden raz, kiedy weszłam w tę ciemną bramę, której zawsze tak się bałam.

— Spierdalaj! — usłyszałam w odpowiedzi. Nie. Dorotka nie nauczyła się mówić. To powiedział tamten mężczyzna, który to z nią robił.

— Spierdalaj! Jak chce zryć, musi zarabiać.

A Dorotka lubiła jeść. Cukierki. Ciastka. Kanapki z szynką. Wszystko właściwie, tylko jej ojciec jakby tego nie zauważał.

— Jak chcesz zryć, to musisz na siebie zarobić.

Więc zarabiała. Cztery złote za numer. Nikt jej nie powiedział, że przecież ma rentę. Ojciec też nie...

— A ile tego jest? Ile? A pani sama wie, ile ona zeżreć potrafi? I co? Za te marne czterysta sześćdziesiąt złotych? — odpowiadał na każdą zaczepkę.

Wszyscy martwiliśmy się o Dorotkę. Wszyscy. Nic jej z tego pewnie nie przyszło.

Tylko my. My mieliśmy czyste sumienie... A opieka społeczna?

Jej matka... tam w niebie... Bo chyba ono gdzieś tam jest. A jeżeli jest, to ona tam poszła... Co ona tam czuje?

Jak bardzo musi się martwić? Bać? Bać i nienawidzić siebie za to, że ją zostawiła?

Bo przecież mogła wyłączyć to głupie pudło. Pociągnąć ją za rękaw. Mignąć jej.

Wstawaj. Pójdziemy. Kupię ci loda...

I nawet jej kupiła, ale rozpuścił się w jej torbie, którą ktoś bezmyślnie rzucił na trawnik.

Ucieczka wydała mi się konieczna. Nie chciałam, żeby Agusia tak jak Dorotka...

Nie chciałam jej zostawić samej...

A Janusz? Bałam się, że zrozumiał za dużo i że nic tak naprawdę nie zrozumiał.

Tylko że wszystko było nie tak. Wszystko. Nawet ściany tego nowego pokoju jakieś

takie głuche. Nie odbijały śmiechu mojej córeczki.

— Bo się nie śmiała.

— Bo się nie śmiała!

Nie było złotych oczu psa i niewidzących oczu, które tak wiele widziały.

\*

— Nie. Słuchaj. Co ty wyprawiasz... Przecież ty padasz z nóg!

— W nocy trochę tłumaczyłam...

— Nie bredź. Czuję, że jesteś strasznie słaba, a nie zmęczona. Co ci jest?

— Wiesz...

— Więc dlaczego?

— Dlaczego? Dlaczego? Bo nie chcę brać chemii, rozumiesz? Nie chcę! Bo nie chcę żadnych operacji! Rozumiesz? Żadnych nadziei, oczekiwań, złudzeń! To i tak nic nie da! Rozumiesz?

— Nnnie, nie rozumiem — powiedział wtedy cicho. I właśnie zrozumiał.

Poczułam to. Zrozumiał to, co chciałam zrobić...

\*

Nie mogłam jej zostawić z Michałem. Nie po tym, co zrobił. Nie! Nigdy! Jeżeli był zdolny do tego, to do czego jeszcze?

— Tata powiedział, że pogłaska, ale zrobił ból — powiedziała mi dużo później Agusia.

Powiedziała. Ja wiedziałam dużo wcześniej i nie mogłam pojąć. Jak mógł zrobić coś takiego?

Moje podejrzenia stały się oczywiste jak krew, która zabrudziła narzutę na łóżku i wszystko dookoła.

— Zgwałciłeś ją! — krzyknęłam, kiedy wpadłam do jego pokoju.

— Spierdalaj! — odpowiedział mi tylko. — Gównu cię to obchodzi... Ty...

Nie wiedziałam, co zrobić. Co zrobić? Nie mogłam zawiadomić policji. Tydzień wcześniej otrzymałam wyniki badań. Nie mogłam. Uciekłam.

Uciekłam, ale najpierw odszukałam Marię.

\*

Nasze spacerunki stały się smutne. Chodziłyśmy tam i z powrotem po zaśnieżonej drodze otępiele, każda ze swoim bólem. Aga tęskniła...

— A Miś? — pytała raz po raz.

— Nie ma! — odpowiadałam z całym okrucieństwem, wiedząc, że tylko to pozwoli jej o nim zapomnieć.

Zapomnieć. Jak to łatwo powiedzieć.

Zapominanie jest czymś zupełnie niezależnym od woli. Jak długo zapomniałam matkę? Tę prawdziwą? Nigdy się o tym nie dowiem, bo nie mam już kogo o to zapytać.

Ile to trwało? Rok? A może tylko miesiąc? Dwa miesiące?

Jak długo pamiętałam jeszcze ją prawdziwą? Jak długo ojciec musiał walczyć o to,

żeby jej wspomnienie odeszło i zostało tylko to, co mi o niej opowiadał? Czy pytałam? Płakałam? Tęskniłam? Nawet tego nie pamiętam. Pamiętam ojca. Nie w dzień mojej pierwszej komunii. Nie w pierwszy dzień szkoły, kiedy odprowadzał mnie po raz pierwszy. Nie kiedy gotował obiad... Pamiętam tamtego ojca, który mnie zostawił. Jak psa. Pamiętam ten dziwny zapach. Ten cień na ścianie, który zmroził mi krew w żyłach, i to jego lekkie kołysanie, kiedy już odcięli ojca i zabrali po kawałku sznura. Na szczęście.

— Bo wisielcy przynoszą szczęście.

Mnie wisielec przyniósł tylko straszną samotność. Samotność i to jedno przeświadczenie, że nie mógł mnie kochać, bo inaczej kupiłby chociaż chleb... Nie pomyślał nawet, że będę głodna. Że świat się skończy, że zostawia mnie samą, samotną, na pastwę losu i obcych ludzi, dla których przecież znałam jeszcze mniej...

\*

Dwa razy pojechałyśmy do Zakopanego. Prawie na stare śmiecie. Prawie. Przepelniony bus zatrzymał się niedaleko Krupówek i nagle zapragnęłam go spotkać. To było głupie pragnienie, bo nieziszczalne. Nawet gdybym go zobaczyła, uciekłabym jak najdalej.

— Daj mi pieniążek... — powiedziała Aga jak nigdy, wyciągając do mnie rączkę.

— Po co ci? — zapytałam bardzo zaskoczona. — Po co ci pieniążek?

— Chcę kupić batonik...

— Dobrze, kochanie — odparłam uspokojona. — Wejdziemy do sklepu i kupię ci tyle batoników, ile zechcesz...

— Nie! — powiedziała podniesionym głosem. — Nie. Nie chcę ty. Chcę ja! Daj! Popatrzyłam na nią, jakbym widziała ją po raz pierwszy. Co się z nią stało? Dlaczego ten podniesiony głos? Dlaczego ten upór? Przecież nie o batonika?

— Nie chcę mieć! Chcę kupić! — dodała po chwili z czymś w rodzaju dumy w głosie.

Nie chce mieć? Chce kupić? Dlaczego? Wszystko zupełnie mi się pomieszało. Jak to? Dałam jej pięć złotych. Położyłam na jej wyciągniętej rączce.

— No to idziemy — powiedziałam, biorąc ją za drugą rękę.

— Nie! Sama! — powiedziała twardym głosem i weszła sama do sklepu.

Zmartwiałam. Zadrzałam. Rozedrgałam się wewnętrznie. Co to jest? Co się z nią dzieje? Nagle ogarnęła mnie nieopisana panika.

Ona tam jest sama! Boże! Jak ona sobie poradzi? Jak?! Jak?! Jak?!

\*

Najpierw odnalazłam Marię. Nie szukałam jej dla siebie. Dla mnie mogłaby nie istnieć... Miałam tylko nadzieję, że może... Może... Kto wie?

Babcie przecież kochają swoje wnuki? Prawda? Wystarczy, że je zobaczą. Może i ona? I nie będę musiała jej zabijać? Zabierać ze sobą? Nie będę musiała się bać? Bardzo chciałam, żeby ją pokochała. Żeby się uśmiechnęła. Przytuliła. Pocałowała. No, teraz wszystko będzie dobrze, rozbijajcie się, dziewczyny, zrobię herbaty.

Szłam na miękkich nogach do tamtego domu, trzymając małą za rękę.

— Będzie OK — powtarzałam sobie — przecież nie znam jej. Nie znam, znam tylko ojca. Wiem tylko to, co wiem. Może będzie OK.

Nie było.

Ale ja jeszcze miałam tak wiele nadziei. Nadzieja to głupie, bezpodstawne uczucie, którego powinno się zabronić wszystkim matkom. To głupie i szkodliwe uczucie, które przynosi tylko rozczarowania. Po co?

— Tak? Słucham panią?

Stałam przed piękną zadbaną kobietą, która wpatrywała się we mnie świdrującymi oczami, jakby chciała mnie przewiercić na wylot.

Jej elegancja była zimna. Jasny sweterek na malinowej bluzce. Sznur koralii udających perły. Żywe lata sześćdziesiąte. Włosy w kok.

To nie była moja teściowa. To była wielka pani.

Bo moja teściowa to taka fartuchowa staruszka z ognistym kolorem włosów, z setką zmarszczek wokół ust od wyrazu niezadowolenia, który tak często przybiera, i te powyciągane swetry, i przydeptane kapcie, i rajstopy z oczkami, które wcale nie mrugają.

I te spódnice wytarte na kolanach.

Nie, to nie była moja teściowa.

To była wielka pani. Pachniała czymś ładnym i pewnie eleganckim, a na rękę miała sto cienkich bransolet, które pobrząkiwały delikatnie przy najmniejszym nawet ruchu.

Potem je policzyłam, nie było ich sto. Były trzy.

— Tak? Słucham panią?

Jej wyraz twarzy wcale nie był zachęcający. Ani to „tak”, ani to „słucham” nie brzmiało przyjaźnie.

— Tak? Słucham panią?

I jak tu cokolwiek wydukać? Jak i co? Jak nie udławić się własnymi słowami?

— Bo... Ja... No...

— Niechże się pani zdecyduje! — powiedziała. — I od razu uprzedzam, że pieniędzy nie daję... Do pracy! To wstyd tak żebrać... I do tego to biedne dziecko...

Nie. Ona nie była zachęcająca.

— Bo ja jestem pani córką — wydukałam wreszcie upokorzona do szpiku kości.

Upokorzona tą jej elegancją i tym, jak mnie odebrała. Mnie, własną córkę, potraktowała jak żebraczkę. Nie byłam chyba za bardzo do niej podobna...

Grymas? Zdziwienie? Nie potrafię określić miny, jaką wówczas zrobiła.

— To jeszcze nie upoważnia do żebractwa — powiedziała, wzruszając ramionami.

— Ja nie żebrzę — wydukałam i zdałam sobie sprawę, że tak. Owszem, właśnie żebrzę. Żebrzę jak najgłodniejsza żebraczka ojej akceptację. Nie o miłość, o pomoc.

O litość nad moim dzieckiem. A właściwie o życie. Bo przecież o życie tu chodziło, inaczej bym jej nie szukała. Inaczej bym o niej nie pomyślała. Wybrała inne życie.

Nie chciała mnie. Zostawiła mnie...

Ona też!

— Słucham, o co chodzi?

Powiedziała wcale nie przyjaźnie, nie wpuszczając nas nawet do środka.



— To moja córka — powiedziałam, wskazując głową w kierunku Agatki. — Masz wnuczkę...

— Nie spieszyłaś się zbytnio z zawiadomieniem mnie — wycedła pogardliwie usta. — A zresztą...

Jakiś hałas jej przerwał. Drzwi się otworzyły trochę bardziej i zobaczyłam w nich chłopca. Wzięła go na ręce.

— Ja mam już wnuka — powiedziała oschle, całując chłopczyka, który w jakiś sposób był do niej podobny. Elegancka koszulka polo. Włosy na żel, miniaturowe jeansy. Ja mam już wnuka — zadzwieczało jakoś głucho i głupio w mojej głowie. Serca nie starczy na dwoje.

— Czy coś jeszcze?

— Czy coś jeszcze?! — chciałam krzyknąć. — Czy coś jeszcze?! Przecież ja ci jeszcze nic nie powiedziałam?! Nie zdążyłam powiedzieć nawet, że umieram, że ją zgwałcił, że uciekam, nic! A ty mnie pytasz, czy coś jeszcze?

— Nie. Nic — powiedziałam tylko, odwracając się, bo chciało mi się najzwyczajniej w świecie wyć. — To wszystko. Do widzenia.

Do widzenia? Przecież ja jej już nigdy więcej nie zobaczę. Do widzenia? To może: żegnaj? Nie zrozumiałaby. Nie chciała nawet wpuścić nas do domu. Dobrze, że nie padał deszcz... A gdyby padał? Też by nas nie wpuściła!

Do widzenia. Kobieto, która mnie urodziłaś, nie zauważyłaś nawet istnienia mojego dziecka. Kobieto, która mnie urodziłaś, nie miałaś dla mnie szklanki dobrego słowa z herbatą?

Co ci zrobiłam tak strasznego, że udało ci się wymazać moje istnienie z serca? Co?! Nie odpowiesz mi na te pytania, bo ich nie zadam. Nie odpowiesz, bo nawet gdybym je zadała, i tak byś nie odpowiedziała.

Więc odnalazłam Marię. Ale to nie była moja matka. To nie była nawet Maria z moich wyobrażeń. Była obca. Nie strasznie obca, nie strasznie. Tak samo jak wszyscy ludzie na ulicy. Obcość to coś naturalnego, ale czy u matki?

## ROZDZIAŁ XIV

Minęły wieki, zanim Agusia wyszła z supersamu na rogu. Zdążyłam już oszaleć trzy razy i wyobrazić sobie wszystko łącznie z trzęsieniem ziemi.

Zdążyłam odmówić pacierz i wynaleźć nowe określenie mojej głupoty. Bo po co ja się na to zgodziłam?

\*

— Powinna pani dać jej trochę więcej swobody. W szkole nie nauczyła się niczego.

— Bo widzi pani...

— Tak. Tak, powinnam.

Nie powinnam. Nie. Muszę ją chronić. Chronić przed światem, ojcem, teściową i przed nią samą! Muszę!

\*

Wyszła uśmiechnięta. W ręku trzymała jakieś słodkie nie wiadomo co.

- A reszta?
- Mam w kieszeni — odpowiedziała nawet rozsądnie.
- Pokaż...
- Nie!

I wróciłyśmy do domu. Co ja opowiadam. Do nowego pensjonatu. Do tego smutnego świata, gdzie nikt nikomu nie mówił nawet dzień dobry, tylko kelnerki trzy razy dziennie pytały, czy smakowało. To nie za dużo.

- Dlaczego tu mieszkamy? — zapytała, kiedy wysiadałyśmy z busa.
- A co? Chcesz wracać do domu? — zapytałam mściwie, udając, że nie rozumiem, o co pyta. Rozumiałam aż za bardzo!
- Nie do domu! Do Misia... — odparła prawie z płaczem, a ja wcale nie wiedziałam, co mam jej powiedzieć.

Odnalezienie Marii spowodowało jedynie, że straciłam nadzieję... Ostatnią nadzieję na cokolwiek. Może gdybym jej nie odszukała... Może wtedy zostałyby mi marzenia. Te same co kiedyś. Nawet piękne, choć już wówczas nierealne. Ktoś puka do drzwi. Tam stoi ona, moja Maria z Marzeń. Wcale nie taka piękna, zwyczajna. Wchodzi i... Co potem? Różnie. Przytula... Różnie. W zależności od potrzeb. Marzenia uzależnione są od potrzeb. Moje były wielkie. Moje potrzeby były wielkie, marzenia okrajałam, jak się dało, ale nawet te okrojone nie przetrwały.

\*

Noc była straszna. Dzień jeszcze gorszy, ale te dwie straszne rzeczy, które mnie spotkały, jedna w nocy, a jedna nad ranem, były nieporównywalne.

Która mniej potworna? Która bardziej?

Ból skręcił mnie w kłębek i zawłókł do łazienki. Jedna tabletka... dwie... trzy... Powinny były w końcu zadziałać. W końcu. Ile potrzebuje taka tabletka? Wieczność. Wieczność, która trwa zaledwie kilka minut, ale to jednak wieczność.

Ból odbiera poczucie czasu i rzeczywistości. Mogłabym wyc, gdybym mogła.

Mogłabym cokolwiek. Odgryźć sobie rękę w nadgarstku, aby inny ból odwrócił moją uwagę, ale nie odwracał.

Słaba jak niemowlę tarzałam się po zimnej posadzce, usiłując nie robić hałasu. Jak mi się to udało? Bo chyba się udało...

Myśli kłębiące się wokół mojego wnętrza cichły, słabły wraz z tym, jak zaczynały działać tabletki, ale to one zniknęły pierwsze, ból nie odchodził.

Kiedy wreszcie odszedł, minęła wieczność, a ja byłam tak otepiała, jakby ktoś zatopił mi głowę w betonie. Nie docierało do mnie nic. Nic. Wtedy chyba jeszcze była...

Ale czy jestem pewna, że spojrzałam w tę stronę? Czy jestem pewna, że mój wzrok się nie pomylił? Czy jestem pewna, że w ogóle o niej pomyślałam?

Niczego nie jestem pewna.

Ona, taka bezpiecznie przewidywalna. Zniknęła.

Kiedy się obudziłam, już jej nie było. Nie przestraszyłam się. Nie od razu. Nie mogła zniknąć. NIE MOGŁA. Pomyślałam:

- Łazienka.

Nie miałam racji. Ledwie ubrana, wypadłam na korytarz, wzbudzając zdziwienie jakichś ludzi.

— Stołówka. Może była głodna.

Nie była głodna. W stołówce nie było jeszcze nikogo. Pięknie nakryte stoliki gotowe na przyjęcie pierwszych gości i zdziwione oczy kelnerek.

— Ale co też pani... Tu nikogo nie było!

Przebiegłam wszystkie korytarze. Te na górze i te na dole. Piwnice.

— Aga! Aga! Agusia... Nie chowaj się! Gdzie jesteś?! Nigdzie. To była jedyna odpowiedź, którą uzyskałam, sama od siebie. Dopiero wtedy wróciłam, żeby przeszukać pokój.

Serce uwięzło mi w gardle, kiedy odkryłam, że nie ma butów i kurtki, i rękawiczek...

Gdzie ona się podziała? Gdzie ona się podziała i jak sobie poradzi tam, gdzie się podziała? Ktoś ją porwał? Michał? Boże... Tylko nie to! Już jej nie odzyskam!

Policja? Gdzie tu jest policja? Przecież nie przyjmą zgłoszenia... Jeszcze nie przyjmą. Co robić?!

Wybiegłam przed pensjonat. Siady! Żadnych śladów. Śnieg zamazał wszystko i choć zawsze wydawał mi się piękny, teraz go zniechęcałam. Pobiegłam w dół.

Przeleciałam wszystkie uliczki. Wszystkie zaśnieżone ścieżki. Wszystkie zaułki.

Ludzie patrzyli na mnie oszalała, ale nic nie rozumieli. Bo jak mogli zrozumieć?

Pobiegłam do góry, pod kościół. Co jej strzeliło do głowy?! Co?! Przecież nigdy nie uciekała! Nigdy! Nawet wtedy, kiedy było tak bardzo źle! Nawet kiedy się bała...

Pod kościołem kilka busów.

— Ta dziewczynka? Ta, co zawsze z panią? Tak... Widziałem, jak wsiadała do kolegi do busa. O, do tego tam... Boja to pełny byłem...

Wsiadała do busa?! Boże. Teraz to ja już jej nigdy nie znajdę?!

— Jak pan mógł!?! — rzuciłam się na kierowcę. — Jak pan mógł?!

— Co jak mogłem? Pani chyba oszalała! — Kierowca popukał się w głowę. — Wsiadła?\*

Wsiadła? Wsiadła. Zapłaciła... Wysiadła. Ja się tam nie wtrącam...

Bo nikt nigdy do niczego się nie wtrąca, bo tak jest wygodniej!

Moje myśli oszalały i nie wiedziałam już, ani kim jestem, ani gdzie jestem.

— Proszę mi pomóc... Trzeba ją znaleźć...

Krzyczałam do otaczających mnie ludzi, ale nikt nie pośpieszył mi z pomocą. Zresztą, jak ja to sobie wyobrażałam? Ze obcy? Ze pomogą?

— Niech pani wraca do hotelu... Zaziębi się pani, a dziewczyna się znajdzie. Na pewno...

\*

Bolało mnie wszystko. Serce, które przyspieszyło swój bieg, i powietrze, które ze świstem wdierało mi się do płuc, ostre jak nóż i zimne jak rozpacz. Wokół mnie nie było już nic. Ani drzew, ani lasu, ani ludzi. Z daleka dobiegały mnie jakieś słowa i własne myśli, które nie wiadomo dlaczego oddzieliły się ode mnie i bombardowały, jakby chciały mnie unicestwić.

Wszystkie pytania świata. Dlaczego? Po co? Kiedy? Jakim cudem? I po raz kolejny: dlaczego... Kiedy? Którędy?

Biegłam, potykając się o nie jak o kamienie na wyboistej drodze. Poczucie winy ogromne jak cały świat zawisło nade mną w niemym oskarżeniu. To moja wina... To moja wina! Gdybym...

I co się stało? Co? Jak? Kiedy? Może wpadła pod pociąg? Pod samochód? Może złamała nogę? Może... Ktoś ją porwał? Narkotyki? A może...?

I nie było już nic, co mogłabym wykluczyć. Zredukowana do bicia serca i bólu w piersiach, biegłam na oślep znowu, to w tę, to w tamtą stronę, licząc, że za zakrętem... Za drzewem, za budynkiem... Ale jej nie było.

— Boże? Dlaczego? — wykrzyczałam w myślach pytanie do Stwórcy, który wszystko wie i wszystko rozumie. Do Niego, który zawsze ma jakiś Boski plan. Tak strasznie Boski, że aż niepojęty dla ludzi.

— Dlaczego? Za mało mnie jeszcze doświadczyłeś? Musiałeś sobie znowu przypomnieć o mnie? Teraz?

Biegłam rozdarta pomiędzy nadzieją a rozpaczą. Upadłam, potknąwszy się o wystający spod śniegu kamień. Podniosłam się i znów upadłam. Przestałam już nawet odczuwać zimno i ból. Nogi bezwiednie ślizgały się po zamrożonym śniegu. Skręć do pensjonatu. Wbiegłam na stromą ścieżkę. Pośliznęłam się jeszcze raz i dopiero wtedy zdałam sobie sprawę, że byłam w kapciach. A właściwie w jednym. Drugi musiałam zgubić po drodze.

Szlafrok płątał mi się między nogami, a koszula nocna furkotała na wietrze.

Poplamiona śniegiem, błotem i chyba krwią.

— Co pani robi?! — usłyszałam koło siebie jakiś głos. — Przecież się pani przeziębi...

— Co pani robi?

— Co pani robi?

Szumiało mi w uszach, a przed oczami miałam tylko ciemną pustkę. Ona gdzieś musi być... Musi!

Wbiegłam, potykając się o schody, do budynku. W drzwiach zderzyłam się z jakąś grupą ludzi.

— Co pani robi...

— To chyba jakaś wariatka...

Dopiero wtedy ich zobaczyłam. Stali przed wielkim lustrem. Janusz i Agata.

Co poczułam? Że wariuję. Nie! Tylko nie to! Nie teraz! Boże, za-bierz ode mnie te halucynacje! Nie zniosę ich! Nie wytrzymam.

— Proszę pana! Proszę natychmiast wyprowadzić stąd tego psa! Widział pan napis? Wprowadzanie psów zabronione!

— Nie widziałem...

Więc był prawdziwy. A jeżeli on był prawdziwy...

— Gdzie byłaś?! — krzyknęłam, rzucając się do córki. — Gdzie byłaś?!

— U Misia — odpowiedziała, patrząc na mnie dziwnym wzrokiem. — On jest.

— Proszę natychmiast zabrać stąd tego psa...

— Jak się masz?

To Janusz. Tylko co mam mu odpowiedzieć. Jak się mam? Nie wiem, jak się mam.

Nagle fala wściekłości zalała mi serce tak, jakbym zupełnie zapomniała, co się stało. Tak jakby radość z odnalezienia Agatki zamieniła się w agresję.

— Jak mogłeś?!

Był w tym żal i złość.

— Jak mogłeś?

Bo przecież to była jego wina! Jego i tego głupiego psa!

— Jak mogłeś?!

— Proszę nie robić scen! — głos właścicielki dotarł do mnie, ostry jak nóż. — Tu są małe dzieci! I proszę się ubrać...

— No gdzie! No gdzie z tym psem?! Tu nie wolno wprowadzać psów!

— Ale proszę pani...

— Nie ma „proszę pani”! Nie ma „proszę pani”! Nie dość, że przyjmujemy... To jeszcze to? I ten pies... Będę musiała panią prosić o opuszczenie...

W jakiś czas potem znów stałam z walizkami przed tamtym domem. Palił mnie wstyd. Złość. Bezradność i pozdzierane o grudy zmarzniętego, twardego śniegu nogi.

— Jak to się stało?

Zadałam wreszcie właściwe pytanie, wokół którego krążyłam, nie umiejąc go wypowiedzieć.

— Przyjechała — powiedział Janusz, wznosząc ramionami.

— Ale jak? Jak przyjechała?

— Zwyczajnie. Busem — odpowiedziała za niego Aga. — Miałam pieniądze.

Nie. Nie! Nie? A jednak tak... Jak sobie poradziła? Skąd wiedziała, gdzie wsiąść?

Gdzie wsiąść? Do którego busa?

Nagle wydało mi się, że to wszystko mnie przerasta. Wróciły niechciane myśli.

— Powinna pani dać jej trochę więcej swobody.

W szkole nie nauczyła się nic. Nic? A może to właśnie nieprawda? Może to ja... Ja ograniczyłam ją swoją miłością? Może nie pozwoliłam jej się rozwijać?

— Bo widzi pani...

Nic nie widziałam. Nic nie chciałam widzieć. Musiałam ją chronić. Chronić przed światem, ojcem, teściową i przed nią samą! Musiałam!

A może kochać to nie tylko chronić?

I przypomniałam sobie tamten dzień w szpitalu.

— Masz tu dwa złote. Pójdiesz do tamtego automatu na dole i kupisz sobie batonika. Tak jak cię uczyłem. Poradzisz sobie?

— Tak! — przypomniałam sobie, z jakim zachwytem krzyknęła Aga i chwyciwszy pieniądze, nie zwracając uwagi na protesty, wybiegła z sali.

Może trzeba było inaczej?

A może to wcale nie była miłość? Ograniczyłam ją. Ograniczałam na każdym kroku przez całe lata.

— Nie, herbaty nie... Bo się jeszcze poparzysz...

— Nie, ja ci naleję zupki... Jeszcze wylejesz.

— Zakupy? Nie! Jesteś na to za mała...

Ile w niej zabiłam? W imię miłości? Ile zabiłam w niej nadziei, spontaniczności, woli?

— Nie. Sama nie pójdziesz. To niebezpieczne.

A teraz poszła sama. Wiem. Wiem, co się mogło stać. To wiem najlepiej, ale się nie stało. A jeśli się nie stało, to nie mogło. Stało się to, że jestem znów tu, gdzie tak bardzo chciałam być.

— A ten pan powiedział: Cześć, a gdzie mama?

- Jaki pan?
- Ten z busa.

\*

Wszystko się skończyło i zaczęło od nowa. Tylko o wiele gorzej. Byłam znów na swoim miejscu. Czekał pokój. Nie wiem, jakim cudem, ale czekał i komputer, i Janusz, który teraz nie odstępował nas już ani na chwilę.

— Poczekaj. Ty chyba masz gorączkę — powiedział i położył mi na czole lodowatą zimną rękę. Ten gest był tak ciepły mimo odczucia chłodu, że zakręciło mi się w głowie.

Przytulić się. To takie proste, a jednak tak strasznie niemożliwe. Gdzieś w środku głowy zbiegowisko myśli recytowało mi jedna przez drugą swoje „ale”. Nie wypada. Ale byłoby miło. Ale nie wypada. On przecież by cię wyśmiał. Ale dlaczego miałby wyśmiać? Dlatego, że to głupie...

Wokół mnie robiło się coraz ciemniej i zimniej.

— Poczekaj. Ty chyba masz gorączkę...

\*

I znów byłam tam, pod tamtymi drzwiami, za którymi odnalazłam Marię. Tylko teraz szukałam jej dla siebie. Dla siebie i dla niej. Żeby mogła mi powiedzieć. Powiedzieć wszystko to, czego nie mogła mi powiedzieć: że mnie kochała, że kochała ojca, że coś się zepsuło. Żebym zdołała zrozumieć. Bo żeby wybaczyć, najpierw trzeba zrozumieć, a nawet kiedy nie ma co wybaczać, bo może to nie była jej wina, albo kiedy się nie chce wybaczyć za nic na świecie, to i tak trzeba zrozumieć.

Ojciec nie powiedział mi nic. Nie zdążył albo nie chciał. W końcu mógł się powiesić kilka godzin, minut, dni później...

Albo się nie powiesić. Wcale. Albo powiedzieć mi wcześniej. Cokolwiek miał mi do powiedzenia, ale pewnie nie miał mi nic do powiedzenia albo... Albo nie byłam ważna. Dla niego. Niedostatecznie ważna, żeby sobie zawracać głowę...

— Chciałam cię odzyskać... Bo matki kochają swoje dzieci...

— To dlatego się zabił.

O ileż łatwiej i trudniej byłoby wtedy żyć.

— Chciałam cię zabrać. Wiedział, że to zrobię. Dlatego się powiesił. Bo nie umiał bez ciebie żyć...

Bardzo chciałam, żeby mnie kochała. Żeby się uśmiechnęła. Przytuliła. Pocałowała. No, teraz wszystko będzie dobrze, wreszcie jesteś, zrobię herbaty.

— Będzie OK. — Powtarzałam sobie. — Przecież nie znam jej. Nie znam, znam tylko ojca. Wiem tylko to, co wiem. Może będzie OK.

Było we mnie tyle nadziei. Nadzieja to dziwnie miękkie uczucie.

— Tak? Słucham panią?

Stała tam piękna, starsza, z kokiem i fartuchem zawiązanym wokół tali. Pachniała wanilią i pączkami, wpatrywała się we mnie ciepłymi oczami.

Włosy w kok.

To nie była moja teściowa. To była Maria. Nie ta prawdziwa. Ta, która umarła. Ta, na której grobie co roku w listopadzie paliłam świece, żeby znalazła drogę do domu.

— Tak? Słucham cię, dziecko?

Uśmiechała się do mnie. Jedno oko zmieniło kolor z brązowego na niebieski i zaczęło do mnie przyjaźnie mrugać.

— Tak? Słucham cię, dziecko? Przyszłaś do mnie? Tutaj? Powiał dziwny zimny wiatr, przyprowadzający o dreszcze.

— Nie zabrałaś swojej córki? Jak ona sobie poradzi! — powiedziała. — Przecież wiesz, jaka ona jest nieporadna... To biedne dziecko...

— Bo ja jestem pani córką — wydukałam wreszcie. Uśmiech? Niedowierzanie? Nie potrafię określić miny, jaką wówczas zrobiła.

— Przecież wiem — powiedziała, wzduszając ramionami.

— Czekam tu na ciebie... Ojciec ci nie mówił?

— Nie zdążył — wydukałam.

— Słucham, o co chodzi? — z pokoju usłyszałam głos ojca.

— Czego nie mówiłem? Czego nie zdążyłem?

Powiedział wcale nie przyjaźnie, nie wpuszczając nas nawet do środka. Stał za nią na progu, cały jeszcze siny na twarzy.

— Nie spieszyłaś się zbyt — wydukał pogardliwie usta.

— Zresztą... Zresztą. No, czekamy tu na ciebie... Tu jest lepiej. Widzisz te drzwi? To tylko atrapa. Tak na początek. Ty chyba nie boisz się cmentarzy? Prawda?

— Nie. Nie — powiedziałam tylko, odwracając się, bo chciało mi się najzwyczajniej w świecie uciekać. — To wszystko. Do widzenia.

— Do widzenia?

— No... Do widzenia... — wydukałam przestraszona.

— To ty nie jesteś jeszcze gotowa? Musisz się pospieszyć. Jutro przeprowadzamy się do nowego grobowca. Wygodny, czteroczęściowy z kuchnią i łazienką. Tylko okna wychodzą na prosekatorium, sama rozumiesz.

Zadrżałam wewnętrznie. Więc oni też? Też uciekają?

— Ale ja zaraz... No, może nie jutro, ale za kilka dni... Za kilka. Poczekajcie.

— Na co mamy poczekać?

Poczułam nagły ból głowy i coś w rodzaju mdłości zawładnęło mną całkowicie.

— Na co mamy poczekać? Przecież właśnie czekamy.

Ale to nie był głos ojca. Dochodził zza gęstej mgły, ale był bardzo przyjazny i ciepły.

— Czekamy, aż się obudzisz. Miałaś wysoką gorączkę. Oczy otworzyły się z wielkim trudem i raz jeszcze poczułam mdłości.

Biała sala. Białe łóżko. Białe tango... Szpital.

— Miałaś wysoką gorączkę. Bardzo wysoką. Trzeba było cię zawieźć do szpitala.

— Miałaś wysoką gorączkę. Bardzo wysoką. Trzeba było cię zawieźć do szpitala. Powtórzyło echo w moich myślach. Czy to już to? Nie zdążyłam?

— Bardzo się przeziębiłaś — odpowiedział głos obok mnie i odpowiedź wydała mi się śmiesznie oczywista. Więc to tylko przeziębienie?

— Więc to tylko przeziębienie?  
— Nie tylko! Nie tylko! Byłaś w strasznym stanie! Czwierdzieści stopni gorączki...  
Majaczyłaś...

Siedzieli obok mnie oboje.

— A pies? — zapytałam, sama nie wiem po co i dlaczego.

— Tu nie wprowadza się psów. Agatka mnie przyprowadziła.

\*

Świat obrócił się wokół własnej osi i znów poczułam się zniewolona. Zniewolenie nie musi być uczuciem, ale predyspozycją duszy. I spotkało mnie po raz kolejny. Ale tym razem to było inne zniewolenie. Otoczyło mnie, opiekuńcze, ciepłe, delikatne jak pajęczyna, objawiając się dobrymi słowami tych, którzy chcieli tylko dobrze. I też nie było mi wolno, ale inaczej. Nie było mi wolno wstać z łóżka i wyjść w piżamie na balkon, nie wolno się było odkrywać i nie wolno było nie zjeść zupy.

Nie wolno. Takie samo, a jakże inne. To „nie wolno” było ciepłe i takie obezwładniająco przyjemne.

Janusz od samego rana przychodził do mnie zawsze tak samo cichy i tak samo ciepły. Głaskanie po rękę, pocałunek w czoło, poprawienie poduszki.

— To co? Lepiej już się czujesz? Bo musimy porozmawiać. Ten zgrzyt odsuwałam od siebie jak najdalej. Porozmawiać.

Oboje wiedzieliśmy o czym.

— Twoje wyniki...

— Daj spokój...

— Nie ma mowy! Nie uciekniesz...

— Ucieknę...—Tego nie powiedziałam. To tylko pomyślałam, bo wcale nie chciałam tak bardzo uciekać. Gdybym tylko nie musiała.

— Za dwa tygodnie powinnaś zacząć chemię...

— Ty chyba oszalałeś!

— Wszystko już załatwiłem. Wysłałem papiery do tej kretyńskiej Kasy Chorych... Zameldowałem cię...

— Co?!

— Tylko czasowo! Za dwa tygodnie powinnaś zacząć chemię...

— Nie ma mowy! Niczego nie zacznę! Niczego nie będę robić. Nie trzeba było się wtrącać! To nie twoja sprawa!

— Trochę już teraz moja...

— Dobry samarytanin? Jeśli tak się zajmujesz każdą zbłąkaną turystką, to twoją siostrę to musi nieźle kosztować. Pokój, za który przez cały tydzień nie płaciłam, czekał? A komputer i te wszystkie inne atrakcje...! Macie przecież mnóstwo innych gości...

— Goście to jedno, a ty to co innego!

— Nie! Nic innego! Jestem takim samym gościem! Nie chcę od ciebie niczego!

Ani współczucia, ani litości, ani tej twojej głupiej dobroci...

Wypaliłam z całym okrucieństwem, na jakie było mnie stać. Chciałam go urazić najbardziej, jak potrafiłam, żeby go zabolalo i zmusiło do ucieczki. Żeby sobie poszedł. Odszedł. Zostawił mnie w spokoju już na zawsze. Jakkolwiek krótkie miało



być to na zawsze.

— Więc uważasz, że jestem dobry...

Odwrociłam głowę, żeby nie zobaczył mojej twarzy. Wiem, wiedziałam, że on nigdy jej nie zobaczy, ale on sprawiał swoją postawą, że trzeba go było traktować tak jak każdego innego. Tak, jakby każde odstępstwo na rzecz jego ślepoty godziło w jego godność.

— Więc uważasz, że jestem dobry... Ale to nie to. Doskonale wiesz, że tu nie chodzi o dobroć, tylko nie chcesz się przyznać, że wiesz, że widzisz...

— Widzę, nie widzę, co to zmienia — odpowiedziałam zmieszana.

I nagle przypomniałam sobie tamten wieczór na Krupówkach. Wtedy, kiedy tak bardzo jeden komplement wytrącił mnie z mojej bezpiecznej równowagi.

— Myślałam, że jesteś normalny, a ty... tani podryw na Krupówki nocą?! Szkoda, myślałam, że jesteś inny...

— Inny, czyli jaki? Bez duszy? Bez serca?

Bez duszy? Bez serca? Czy on zwariował? Przecież on się we mnie nie zakochał!?

— Jeżeli chemia nie pomoże...

—Janusz! Daj spokój! Żadnej chemii! Żadnych operacji, rozumiesz?! Nic! Nic! Nic już się nie da zrobić! To koniec! Koniec! Czy ty, człowieku, do cholery ślepy jesteś, że nie widzisz, że ja się kończę?

— Jestem ślepy i co z tego? Widzę więcej niż ty, bo ty nie chcesz nic widzieć! Martwię się o ciebie. Tyle! Koniec! Kropka! Może powinienem za to jeszcze przeprosić, co?

\*

Po wyjściu ze szpitala było jeszcze kilka cudownych chwil. Kilka spacerów zaśnierzonymi ulicami miasta. Śmiech małej dużej dziewczynki; która nie zdawała sobie sprawy, że życie przepływa obok niej po'raz ostatni, i moje niechciane łyzy, łyzy kogoś, kto właśnie z tego zdawał sobie najbardziej sprawę.

Oszukałam sama siebie. Oszukałam sama siebie, uciekając z tamtego domu.

Myślałam, że będzie łatwiej, że będzie łatwo, ale zrobiłam sobie krzywdę. Gdzieś przypadkiem odkryłam pokłady ludzkiej dobroci, o której nie miałam pojęcia.

Pokłady radości ukryte dotychczas przede mną jak najcenniejszy skarb. Słowa i gesty, w których istnienie nie wierzyłam.

Jeszcze kilka ukradzionych chwil i oczy, które nie patrzą, a widzą, śmiech małej dużej dziewczynki, która sama sobie nalewa zupę, sama sobie robi herbatę, sama wychodzi po zakupy...

— Widzisz, ile ona potrafi? —Janusz, doskonały nauczyciel, dumny z siebie jak dziecko, które po raz pierwszy robi samodzielnie zakupy.

Ile ona potrafi? Za mało! O wiele za mało, żeby przetrwać w tym dzikim świecie, w którym bogiem jest pieniądz.

— Widzisz, ile ona potrafi?

Potrafi kupić chleb. Ja też kiedyś to potrafiłam. Czy uchroniło mnie to tamtego dnia? Nie. Bo w domu nie było pieniędzy. A może były? W jakimś tylko ojcu znanym miejscu?

I byłam głodna. Więc i ona będzie.

— Widzisz, ile ona teraz potrafi?

Idealny ojciec. Idealny mąż. Człowiek, którego nie można nie kochać.

— A ty, dlaczego się nie ożeniłaś?

— Bo ludzie zamiast patrzeć mi w oczy, patrzą tylko na nie... Ile ona teraz potrafi? Tysiąc razy więcej, ale nie umie kłamać.

Bez tego nie przeżyje. Nie umie kraść. Kto jej da jeść? Nie umie przepychać się bezczelnie łokciami przez życie. Tylko tyle. Jak ją tego nauczyć?

W naszej cywilizacji cwaniactwa skazana jest na głód i samotność.

## ROZDZIAŁ XV

Znów wróciliśmy na Krupówki nocą. Rozmowa jak wtedy się nie kleiła. Znów na chwilę zamknęłam oczy i zapomniałam, kim jestem i po co tu jestem.

Zachłysnęłam się szczęściem aż po żołądek, z premedytacją. Skoro i tak ma boleć, trudno, pozwolę sobie na więcej.

— O czym myślisz? — zapytał Janusz, zgadując moje zamyslenie pewnie z ciszy, która zapadła wokół nas.

— O śmierci — odpowiedziałam i aż się przestraszyłam swojej odwagi. Odwagi, a może tchórzostwa, bo sama nie wiem, co to było. Powiedzieć mu i sprawić, żeby wbrew mnie samej uratował mnie od tego, co chciałam zrobić?

Tyle że nawet gdyby mnie uratował, co by to zmieniło? Rak pozostanie, a wraz z nim to samo pytanie o przyszłość. Co z nią będzie?

Boże, który stworzyłeś niedoskonałe dzieci, dlaczego ich los tak mało Cię obchodzi? Dlaczego są maltretowane, głodne, bite, dlaczego są składowane jak przedmioty w przechowalniach wśród obcych nieprzyjaznych ludzi?

Czy nie wystarczy ci to, że są niedoskonałe? Muszą do pełni Twego szczęścia być jeszcze nieszczęśliwe?

— Nie myśl o śmierci — poprosił po chwili milczenia. — Pomyśl o życiu...

— Życia już nie ma — odpowiedziałam bezwiednie — jeszcze kilka chwil...

— Ty masz wybór! Ty masz! Możesz się leczyć! — powiedział, biorąc mnie za rękę.

— Zrób to dla niej!

— Właśnie dla niej tego nie zrobię...

Milczenie wokół nas nasycone głosami i śmiechami obcych, przechadzających się ulicami ludzi, zgęstniało na chwilę tak bardzo, że można by je kroić nożem.

— Ja wiem, co chcesz zrobić...

— Ja wiem, co chcesz zrobić — powiedział po raz kolejny tak jak wtedy, kiedy leżałam w szpitalu.

— Co ty wiesz?! Co ty wiesz? — krzyknęłam, żeby zatrzeć wrażenie, jakie te słowa na mnie zrobiły. — Wiecznie ukryty za swoją dobrocią przerabiasz świat na swoją modłę. Obudź się! Obudź się i rozejrzyj dookoła! Wiesz, co chcę zrobić?

Wiesz? Ty? Ty? Ty, który byłeś za leniwy, żeby się ożenić i wziąć odpowiedzialność za własne dzieci, ty będziesz teraz mówić mi o mnie? Nic nie wiesz! Nic! Tylko ci się wydaje!

— Dlaczego krzyczysz?

— Dlaczego? Bo muszę! Odczep się ode mnie! Raz na zawsze! Dość tego!  
Tydzień litości dla zwierząt już się skończył!  
Mój krzyk wywołał dysonans w tym spokojnym tłumku wokół nas. Nastrój prysł.  
— Odejdźmy każde w swoją stronę — powiedziałam, po-wstrzymując atak  
kaszlu, wywołanego krzykiem. — Po cichu i spokojnie.

\*

Po cichu i spokojnie przeklinałam go bardziej niż Michała. Za jego bezczelną dobroć.  
Za to, że przywiązał mnie do życia, że pokazał, iż można inaczej. Że w ogóle był, że  
istniał. Że dopiero tu i teraz.

\*

Zaśnieżony Giewont zza okna posłużył mi za konfesjonał. Łańcuch prawie  
niewidocznych gór za witraże. Niebo pokropione łezkami gwiazd za ołtarz.  
Musiałam się wyspowiadać. Ze swojego żalu do Boga i do ludzi. Z poczucia  
niesprawiedliwości. Z poczucia, że ten Boski plan, mocno przereklamowany i niby  
taki doskonały, nie wziął mnie pod uwagę. Że byłam niczym, nic nieznaczącą kropką  
we wszech-świecie, że nawet On, Bóg, najzwyczajniej mnie zdradził.  
Bo cóż to za Boski plan, w którym jest tylko cierpienie?  
Wybaczyć?

Przyszło mi do głowy, że powinnam to zrobić. Jeszcze przed... Ale jak się wybacza?  
Jak to się robi?

Co mam powiedzieć ojcu? OK. Powiesiłeś się, pieprzę, że w moje urodziny, pieprzę,  
że za wcześniej, nie kochałeś mnie, trudno. Kochałeś? Jeszcze trudniej...

Co mam powiedzieć matce? To samo, tylko inaczej? A Mi-chałowi? A sobie?

Co powinnam sobie wybaczyć?

Ze nie uciekłam wcześniej. Ze nie spotkałam Janusza dziesięć lat temu? Że żyłam jak  
roślina? Że? Że? Że? Ale jak to się robi?

Nic się nie stało, już w porządku? Kupimy nową szklankę? Tak? Ale życie to nie jest  
rozbita szklanka. Tego się nie da odkupić!

Cholerne, głupie życie. Zmarnowałam cię. Dobra. I tak nic się nie da uratować. Jutro  
zmarnuję cię do końca.

\*

Szłam, trzymając ją za rękę. Poszłyśmy piechotą, żeby te ostatnie chwile pozostały  
gdzieś w nas. Żeby nie przeciekły przez palce.

— A potem pójdziemy do Misia? — zapytała, a ja już bez okrucieństwa  
odpowiedziałam.

— Nie.

— Dlaczego?

— Bo widzisz...

I znów się zacięłam. Bo widzisz, muszę cię zabić? A gdyby zapytała dlaczego, co  
bym jej odpowiedziała? Że tak będzie lepiej?

Szłyśmy ulicami skąpanymi w słońcu poranka, w słońcu, jakie w żadnym wypadku

nie powinno było świecić tego dnia. Wolno. Noga za nogą.

— Wiem, co chcesz zrobić, i nie pozwolę ci na to...

\*

Szliśmy jeszcze raz po Krupówkach, trochę z konieczności, tamtędy było bliżej, trochę z potrzeby. Tamtędy było ładniej.

Przechodziłyśmy obok wystaw zamkniętych sklepów. Nagle niepotrzebnych już nikomu.

\*

— Wiem, co chcesz zrobić, i nie pozwolę ci na to... Za bardzo cię kocham.

\*

Szliśmy obok Urzędu Miasta i dziwacznej okrągłej rzeźby. Obok nas defilował Giewont...

— Śpiąca Góra!

...który jakimś cudem przemieszczał się wraz z nami.

\*

— Wiem, co chcesz zrobić, i nie pozwolę ci na to... Za bardzo cię kocham.

Zostaniesz. Zostaniecie obie. Dostaniesz pracę... Będziesz się leczyć. Nie możesz mi tego zrobić...

— Tobie?

\*

Z daleka dojrzałam budynek dworca. Jakaś rzeczka. Jakieś przejście. Ulica w dół. Świat się kurczył. Jeszcze tylko kilka kroków.

Już z daleka dostrzegłam wybrany wcześniej blok. Nic imponującego. Blok jak każdy inny. Do dzisiaj. Potem już każdy będzie go znał, każdy w najodleglejszym zakątku Polski.

„Dzisiaj, w godzinach porannych...”

\*

— Nie możesz mi tego zrobić...

— Tobie?

\*

Biegliśmy? Nie. Szliśmy bardzo powoli, a jednak dotarliśmy. Za szybko. W głowie huczały mi słowa Janusza. Nie możesz mi tego zrobić. Nie możesz.

Jak teraz będzie żył? Ze świadomością, że nie zapobiegł? Ze nie zdążył?

Jak będzie żył? Ze świadomością, że nas nie upilnował?

Zapłatałam się jednym nieopatrzonym ruchem w jego życie i jestem teraz na miejscu własnego ojca.

Tato? Więc to tak? Więc to nie takie proste? Myślałam, że to inaczej... Więc to nie

miało nic wspólnego ze mną?

Nie napisałam. Nie wytłumaczyłam.

Choćby: to nie twoja wina. To nie mogła być jego wina, a jednak, gdzieś tam w środku poczuje, że może jednak jego? Ze był za mało ważny, bo gdyby był bardziej ważny, może bym tego nie zrobiła?

Myślał, że go kocham. Nie pytał o to nigdy, bo był na to za twardy, ale myślał, że go kocham. To były drobne gesty, jakieś niby nic nieznaczące słowa. A jednak odeszłam...

Odejdę...

Gdzieś w głowie wyobraziłam sobie pogrzeb i serce ścisnęło mi się z bólu. Wcale tego nie chciałam. Tylko Michał będzie zadowolony.

Zwolniony z małżeństwa, z ojcostwa i z jakiegokolwiek odpowiedzialności...

\*

Więc już tu jestem, na tym dachu, na końcu drogi. Wiatr przestał targać moje myśli, szarpać włosy, już nie rozwiewa mi ubrania. Dookoła czysta jasność. Olśnienie.

Wyzwolenie. Już się nie boję. Na dole zostawiłam wszystkie problemy, wszystkie tęsknoty i nadzieje. Za chwilę po prostu ich nie będzie. Po prostu, pstryk i skończy się wszystko jak za dotknięciem czarodziej-skiej różdżki. Nie będzie wiatru, drzew, miłości, nie będzie nic. Odpowiedzialności, bólu i żalu. I nie będzie przyszłości.

Nareszcie jej nie będzie. Żadnych: a jeśli, a może, a gdyby. Nic, czysta cisza i spokój duszy, nawet jeśli za cenę piekła.

Nie będzie: co by było, gdyby, ani co będzie, kiedy..., ani nawet co będzie. I żadnych myśli. Żadnych łez, żadnych lęków. Odejdziemy zwyczajnie. Wcale nie z twarzą, wcale nie z honorem i wcale nie z tarczą. Bo tu nie chodzi o twarz...

I będę wolna. Tylko dlaczego nagle tak strasznie przejmująco chce mi się żyć?!

Dlaczego nagle do oczu płyną mi łzy i chciałabym choć przez chwilę znów poczuć dłoń Janusza na mojej dłoni? Tylko tyle. Żadnej miłości, żadnych wzruszeń, nic, tylko dotyk?

\*

Jak ja ją zepchnę? Co zobaczę w jej oczach? Powinam najpierw ją zepchnąć, potem zejść, zobaczyć, że na pewno nie żyje, potem wejść jeszcze raz i dopiero skoczyć. Powinam się upewnić, że nikt nie będzie jej ratował, że nikt nie będzie w stanie jej uratować.

Co poczuje? Czy śmierć bob?

— Mamo?

Nie! Tylko do mnie teraz nic nie mów. Chciałabym krzyknąć: tylko nie mów!

— Mamo... Kupisz mi lody? Kupisz mi lody, kiedy już zejdziemy?

I co mam jej powiedzieć? Że nie zejdziemy? Że nie będzie lodów, że nie będzie nic? Że przed nami...

— A potem pójdziemy do Misia.

— Nie ma potem — odpowiadam machinalnie.

— Jest potem. Potem, kiedy jest potem — mówi i przeczuwa, że dzieje się ze mną coś złego. Szarpie mnie za rękaw.

— Mamo...

Co mam jej powiedzieć? Co mam jej powiedzieć? Ze muszę ją zabić? Że muszę?! Muszę ją zabić!

Powinłam ją zepchnąć, potem zejść, zobaczyć, że na pewno nie żyje, potem wejść jeszcze raz i dopiero skoczyć. Powinłam się upewnić, że nie żyje. Tak byłoby najlepiej, ale nie będę miała czasu.

Ktoś może mnie zobaczyć i odbierze mi drogę odwrotu.

— Patrzcie... Ona zabiła własne dziecko! Co za matka! Tfu! Więc nie zejdem, żeby sprawdzić. A co, jeżeli przeżyje?

— Mamo, dlaczego Janusz nie jest moim tatą?

„Dzisiaj, w godzinach porannych, policja została powiadomiona o...”

„Dzisiaj, w godzinach porannych...” „Dzisiaj, w godzinach porannych...”

— Co ty mówisz, kochanie?

Za bardzo się zamyśliłam, żeby jej słuchać. I jest samotna. Nawet w tej ostatniej, najbardziej ostatniej chwili życia jest sama. Sama ze sobą.

— Dlaczego Janusz nie jest moim tatą?

— Bo nie jest — odpowiadam bezmyślnie, przytulając ją do siebie. To takie proste. Nie przytulić. Powiedzieć.

Nagle jednym zdaniem naprawiła świat. Bo gdyby Janusz... Gdybym ja...

— Nie idź tam! Tam się spada!

\*

Wtedy, nocą, zdałam sobie z tego sprawę, że Bóg znowu wszystko skomplikował.

\*

— Dwadzieścia pięć procent? Pan żartuje, prawda? Pan żartuje?

— Nie. Nie żartuję. Dwadzieścia pięć procent to naprawdę dużo.

Podczas drugiego pobytu w szpitalu wszyscy uparli się, by nawracać mnie na życie. Lekarz stał nade mną w białym fartuchu, czyściutkim jak z reklamy pasty do zębów, patrzył znad okularów, wymachując bezwiednie raz po raz kartkami. Kartkami na życie...

Śmieszne, ale na nich właśnie je zapisano. Jakieś niezrozumiałe fakty z życia moich komórek rakowych. Jakieś obliczenia. Jakaś hemoglobina i inne mieszanki moich naczyń krwionośnych. Właściwie do czasu odkrycia raka nie wiedziałam, że coś takiego mam. Życie dzieliło się dla mnie jak przecięty nożem tort. Do raka i po raku. Ale po raku to byłoby po chorobie, więc nie. Do raka i w czasie raka. Albo do wiadomości o nim i po niej.

Właściwie rak zmienił dla mnie wszystko, nie tylko życie. Nie tylko to, że jak pisał Bułhakow, nagle okazało się, że jestem śmiertelna.

Ta śmierć, która czaiła się i rosła we mnie, dała mi życie. To nie paradoks. Nagle dowiadując się, że umieram, przestałam bać się żyć.

I zabrałam małą, i uciekłam. Ukradłam pieniądze i te kilka miesięcy pięknego życia.

— Czy pani wie, ile to jest dwadzieścia pięć procent?

— Panie doktorze! Może na to nie wyglądam, ale skończyłam studia... To nie jest nawet wyższa matematyka... Wiem, ile to jest.

— Nie! Nie wie pani, ile to jest. I może nigdy by pani nie zrozumiała, ale dwadzieścia pięć procent to jest jeden.

— Jeden? — zapytałam zdziwiona, ale wcale nie zainteresowana.

— Jeden żywy człowiek na czterech, którzy zachorowali. Jeden żywy, zdrowy człowiek. Wzruszyłam ramionami.

— Niech pani tego nie robi. — Lekarz wskazał głową w moim kierunku. — Niech pani nie rezygnuje... Może to pani jest tym człowiekiem. Znow wzduszyłam ramionami.

— A ból?

— Są leki...

— A jeżeli nie? Jeżeli nie?

— Jeżeli... Dopóki się pani nie przekona... Dopóki śmierć...

— Panie doktorze! — powiedziałam, patrząc mu beczelnie w oczy. — To mój rak. Moje życie. Moja sprawa...

Odwrócił się. Wszedł. Na moim kocu w okolicy podbrzusza rozsypał się plik białych kartek zapisanych medycznymi hieroglifami. Pozbierałam je i położyłam na stoliku obok łóżka. Wcale nie dodawały mi pewności.

Były jak wrzód. Jak wysypka na sumieniu. Wszystko, co sobie poukładałam, miało sens... Jakiś sens. Teraz jakby go traciło.

Bo co, jeżeli te kartki mówią prawdę? Co, jeżeli nie trzeba umierać? Co, jeżeli nie trzeba zabijać?

A może odwlec?

A może odłożyć?

Pożyć jeszcze trochę. Pożyć.

Popatrzeć na słońce. Pooddychać. Wciągnąć w płuca ten nieprawdopodobny narkotyk, powietrze. Górskie, czyste, świeże. Pożyć.

Pożyć i nie musieć zabijać.

A przecież wcale mi nie zależało na życiu. Do raka. Nie. Więc dlaczego teraz?

Wtedy, nocą, zdałam sobie z tego sprawę. Bóg znowu wszystko skomplikował.

Wszystko. Nagle zdałam sobie sprawę, że mnie wysłuchał... Tylko jak? Zupełnie inaczej, niż tego chciałam. Nie wyleczył mnie. Nie zmienił Michała. Nie uzdrowił mojej córki, a jednak mnie wysłuchał...

Nie wyleczył mnie. Nie zmienił Michała. Nie uzdrowił mojej córki, a jednak mnie wysłuchał... Znalazł inne, trudniejsze dla mnie wyjście.

Masz. Daję ci nadzieję, a ty wybieraj!

0 ile łatwiej było wybierać, kiedy jej nie było? Tylko czy wtedy to był wybór?

Ta nadzieja to nie te marne dwadzieścia pięć procent... To za mało. Ta nadzieja to coś o wiele gorszego. To Janusz. To Agatka. To praca... Samodzielność. Życie. Bo teraz to zaczyna być życie. Zaczyna, choć się kończy. I jak tu wybierać?

— Dlaczego Janusz nie jest moim tatą?

1 nie wystarczy już powiedzieć: Bo nie jest. Nie wystarczy. Bo właśnie jakby jest. On uczy ją tego, czego nie nauczył jej Michał, czego nie nauczyłam jej ja, on sprawia, że się śmieje, on jest, kiedy go potrzebujemy.

\*

— Gdzie on jest?!

Słowa rozumiem, choć nie rozumiem ich sensu. Kto? Kto gdzie jest?

Siostra Janusza wpadła do mojego pokoju roztrzęsiona.

— Co mu zrobiłaś?! Co mu powiedziałaś? Co mu zrobiłam? Przecież nic. A co mi powiedziałaś...

\*

— Wynocha! Słyszysz? Nie chcę mieć z tobą nic wspólnego!

Płacz małej i ten jego dziwny głos.

— Ale Hanka...

— Żadne ale! Żadna Hanka!

— Mamo... Dlaczego krzyczysz?

— Idź sobie! Idź! Przepadnij! Nie chce cię!

Ja tylko układałam świat z powrotem na swoim miejscu. Chciałam, żeby było jak najlepiej. Żeby było jak dawniej. Tyr co mówiłam, raniłam bardziej siebie niż jego, a przynajmniej tak myślałam.

\*

— Co mu zrobiłaś?! Co mu powiedziałaś? Co mu zrobiłam? Przecież nic... Nic...

— Coś musiałaś mu powiedzieć! Ty samolubna... Jak mogła: Przecież widziałaś...

Widziałaś... Przecież to było widać! Egoist Myślałaś, że co? Że jest z żelaza?

On tylko tak wygląda...

— On tylko tak udaje...

\*

— Wiem, co chcesz zrobić! Wiem i nie pozwolę ci na to

— Wynocha! Słyszysz? Nie chcę mieć z tobą nic wspólnego i,

— Gdzie on jest?

\*

Tej nocy w pensjonacie działo się coś dziwnego. Szumy i ł • nie dawały mi spać. A może to nie te głosy z zewnątrz, tyli ze środka, te w mojej głowie, które nie chciały iść spać i które nie miały nade mną ani odrobiny litości.

— To twoja wina. Znów wszystko zepsułaś.

— To twoja wina! A jeżeli coś mu się stało? Jeżeli wpadł pod samochód... pod pociąg... jeżeli coś sobie zrobił?

Stałam bezmyślnie, wpatrując się w noc za oknem, i wiedziałam już, że albo, albo. Albo. Albo.

Jedno albo znaczyło: jeżeli masz to zrobić, to już teraz. Jutro rano. Drugie znaczyło: albo nie rób tego wcale.

Nie rób tego wcale. Tylko jak? Jeżeli coś mu się stało?

Nie rób tego wcale. Zgódź się na ten Boski plan. Dobry czy zły, ale Boski. Jest w nim jakieś, nawet jeżeli krótkie, życie. Jakaś miłość. Jakaś nadzieja.



Bo jak zwykle wszystko skomplikował ten Boski plan. Nie miało być nic, tylko kilka dobrych wspomnień, a wszystko się wysypało jak z rękawa. Ludzie. Przyjaźń, miłość.

Aga jak za dotknięciem czarodziejskiej różdżki zaczęła się rozwijać. Wiem. Nigdy nie będzie taka jak inne, ale teraz już robi sobie zakupy. Zaparzy herbatę. Należy zupy... Może kiedyś ją nawet ugotuje.

Tak jakby trzeba było uśmiechu, żeby się rozwijała. Uśmiechu, Misia. Janusza i tego miasta.

Stałam, bezmyślnie wpatrując się w noc za oknem, i wiedziałam już, że albo, albo. Janusz nie wracał.

A może wrócił?

Może tylko go przegapiłam.

I zrozumiałam, że to właśnie był ten dzień. Albo. Albo.

Postanowiłam.

Jutro rano.

\*

Tej nocy nie spałam już wcale. Jeszcze się wyśpię tam, gdzieś... Po śmierci. Po co tracić noc. Patrzyłam na gwiazdy, ale nic z nich nie umiałam odczytać. Pewnie mówiły coś do mnie, o czymś

przypominały, może nawet coś mi obiecywały, ale dla mnie tej nocy były jedynie martwymi kropkami światła ostatniej nocy.

Rano ubrałam małą. Ładnie. Tak, żeby ludzie... Zresztą, co ludzie?!

I poszliśmy.

I doszliśmy.

I stałyśmy na dachu. Stałyśmy, czekając... tylko na co?

— Mamo! Miś.

— Miś — powiedziała, pokazując coś przed sobą.

— Mam twojego misia, córeczko — odpowiedziałam resztką głosu, który wiązał mi w gardle. W moich płucach ktoś rozpalił płomień. Powietrze raniło je z każdym kolejnym oddechem.

— Nie. Miś. Miś — powiedziała. — Nie Miś. Miś! — dodała twardo jeszcze raz, tak jak tylko ona umiała. — Miś.

— Nie mam siły, dziecko — mruknęłam zdezorientowana. Podałam jej burego misia, którego zabrałyśmy w ostatnią drogę. Bez niego nie zaśnie.

Stałam nad przepaścią, nie wiedząc, co zrobić. Skoczyć? Teraz? Teraz, kiedy tyle nadziei?

Może okazać się płonna. Może mnie oszukać. A jeśli nie?

Jeśli właśnie jest? Ona, której nigdy nie było? Ona, o którą zebrałam i której bałam się najbardziej. Skoczyć?

Nie skakać?

— Mamo, Miś!

— Agatko... Proszę... Nie teraz...

Tylko jej oczy były jakieś takie roześmiane... Skoczyć? Nie skakać?

Ile mam jeszcze czasu na zastanowienie? Minutę? Dłużej? Nagle na dachu usłyszałam warczenie. Wielki pies wbiegł na dach, warcząc głucho, podbiegł do Agatki.

— O Boże! Uważaj! On cię zepchnie...

Pies złapał ją za brzeg kurtki i zaczął ciągnąć w kierunku schodów. W ciemnym otworze drzwi zamajaczyła jakaś twarz. Boże! I co ja mam tera<sup>z</sup>zjębić?!